

KRWAWE LATO NA WOŁYNIU, TRZY POKOLENIA KOBIEC, TRAUMA.

KOLONIA MARUSIA

SYLWIA ZIENTEK

wydawnictwo
ab

Sylwia Zientek

KOLONIA MARUSIA



Copyright © by Sylwia Zientek, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

Spis treści

Dedykacja

Motto

Warszawa, 26 maja 2016 roku

Kolonia Marusia, styczeń 1933 roku

Olsztyn, 10 sierpnia 1955 roku

Kolonia Marusia

Moja matka

Kolonia Marusia, luty 1940 roku

Olsztyn, marzec 1958 roku

Kolonia Marusia, wrzesień 1942 roku

Biskupiec/Warszawa, 1978 rok

Skurcze na Wołyniu, luty 1943 roku

Warszawa, cmentarz Północny, czerwiec 2016 roku

Warszawa, osiedle Gocław, 12 grudnia 1981 roku

Kolonia Marusia, 12 lipca 1943 roku

Odezwa Wołyńskiego Komitetu Ukraińskiego¹

Griante di Cadenabbia, 11 lipca 2016 roku

Kolonia Marusia

Warszawa, maj 1986 roku

Kolonia Marusia, 31 lipca 1943 roku

Warszawa, czerwiec 1998 roku

Marianówka na Wołyniu, 3 sierpnia 1943 roku

Warszawa, luty 1988 roku

Antonówka, sierpień 1943 roku

Warszawa, czerwiec 2016 roku

Warszawa, grudzień 2014 roku

Łuck, wiosna 1945 roku

Warszawa, listopad 2006 roku

Warszawa, czerwiec 2016 roku

Warszawa, 3-4 grudnia 2006 roku

Griante di Cadenabbia, 20 lipca 2016 roku

Epilog. Łuck, 7 sierpnia 2016 roku

Od autorki

Przypisy



Pamięci mojej matki Haliny Znojek, z domu Błońskiej, urodzonej dwudziestego lipca 1937 roku w kolonii Marusia, zmarłej czwartego grudnia 2006 roku w Warszawie

Józef Czechowicz

westchnienie

[z ostatniego tomu poetyckiego Nuta człowiecza, Warszawa 1939]

którem nieraz w księżycu pobiałach przemierzał

urocze miasteczko

włodzimierzu

pod perłowym stepem nieba

kiedy noc majowa

ogrom cerkwi płynął w drzewach

gwiazdy stały w rowach

parowozy gdzieś za stacją

oddychały długo

powiew niósł to i akacją

pachniało nad rzeczką

nad ługą

cień dzwonnicy w ogrodzie

wskazał krzak słowiczy

wołyńskie coraz słodziej

pianie okolicy

o miasteczko

Warszawa, 26 maja 2016 roku

Wstydziałam się jej. Najbardziej tych wczesnie zwiędłych warg, które pociągała krwistą szminką firmy Celia, ilekroć opuszczała nasze mieszkanie w bloku z wielkiej płyty. Dzieci z mojej podstawówki szydziły z jej wyglądu i śmiały się z jej sztucznej szczęki. Mówiły, że wygląda staro, jakby była moją babcią. Skóra, kiedyś delikatna, teraz pomarszczona, przypominająca pergamin, zgaszone spojrzenie nieumalowanych oczu, wieczny papieros w kąciku ust, krótkie i ufarbowane na ciemny brąz włosy przypominające strukturą baranią sierść – wszystko to dodawało jej lat.

Bywały dni, kiedy w ogóle nie wychodziła z domu. I wtedy czekałam w napięciu na sygnał, abyśmy pojechały razem na bazar Szembeka albo do domu handlowego Latawiec. Byłam gotowa na udrękę, jaką stanowiło trwające wieczność wybieranie najlepszych warzyw, najświeższych wędlin i odpowiednich kawałków mięsa. Zniosłabym nawet to męczące czekanie, aż matka dotknie każdego wieszaka z ubraniami, po czym ze skrzywionym i wyrażającym niezadowolenie wyrazem twarzy zada zniecierpliwionej ekspedientce serię pytań. Towarzyszyłam jej w tych wyprawach, byle tylko zechciała opuścić nasze zawsze wysprzątane i przesiąknięte papierosowym dymem mieszkanie.

Nie mogłam pojąć jej marazmu, wiecznego niezadowolenia i lęku, przez który była zawsze w stanie pogotowia. Żyła tak, jakby czyhało na nią złe лихо, śledziło każdy jej ruch. Wystarczyłaby chwila nieuwagi, a nieszczęście spadłoby na nią, spełniając obawy z czarnych snów.

W końcu kiedyś ten napawający lękiem moment nastąpił.

Widzę ją dokładnie, mimo iż mija właśnie dziesięć lat od tamtej chwili. Widzę, jak stoi na lśniącej posadzce szpitala dla gruźlików w Otwocku. Jest tuż przed bronchoskopią – badaniem, które potwierdzi podejrzenia lekarza, z okrutnym uśmiechem mówiącego o prawdopodobieństwie raka płuc. Ale ona już wie.

Żegnamy się. Każe mi odejść. Mam małe dzieci i powinnam unikać kontaktu z chorymi na gruźlicę, którzy snują się długim korytarzem niczym anorektyczne, przeraźliwe widma. Spojrzeniem

przekazuje mi najgorszą wiadomość. To koniec. Dopadło ją to, czego zawsze bała się najbardziej. Szare oczy wyrażają grozę śmierci. Jakby wiedziała, że nie miną trzy miesiące, a jej ciało spocznie w grobie obok męża, którego pochowała zaledwie przed dziewięcioma miesiącami.

Odchodziłam tym długim korytarzem, mijając po prawej stronie rząd drzwi wiodących do sal pacjentów, po lewej otwarte okna, a za nimi szpaler olbrzymich drzew, których bujne korony śpiewały hymn na cześć dogasającej pełni lata. Dławił mnie szloch.

Opuszczałam oddział, gdy zaczepiła mnie przełożona pielęgniarek. Upewniwszy się co do mojej tożsamości, powiedziała:

– Proszę pani, przecież na pierwszy rzut oka widać, że pani matka jest lekomanką. Garściami łyka relanium, nic z niej już nie będzie... – rzuciła to z pogardą, jakby mówiła o kimś pozbawionym wszelkiej wartości.

Nazajutrz lekarz prowadzący kazał matce wypisać wszystkie zażywane przez nią na stałe leki, wraz z informacją o dawkowaniu. Broniła się, ale zmusił ją do sporządzenia listy groźbą usunięcia ze szpitala.

Na kartce ze szkolnego zeszytu wynotowała ponad szesnaście specyfików. W trakcie rozmowy ze mną kilka dni później lekarz stwierdził, że wedle jego wiedzy medycznej matka nie powinna w ogóle żyć, skoro przyjmowała dzień w dzień koktajl z tak różnorodnych lekarstw.

Nie spodziewałam się, że wszystko potoczy się tak szybko. Trzy miesiące jej choroby były najgorszym okresem w moim życiu. Momenty wywołanej lękiem furii, której matka dostawała w obliczu nadchodzącej śmierci, wydają mi się wręcz niemożliwe do opisanie. A jednak chcę spróbować.

Nigdy nie była wylewna, nie umiała mówić o swoich uczuciach, przytulać ani okazywać czułości. Tylko raz poczułam, że mnie kocha. Było to w jedno z tych wczesnojesiennych przedpołudni, gdy za sprawą babiego lata wszystko staje się przesycone szczególnym rodzajem szklistego światła. Stałyśmy przed budynkiem oddziału onkologicznego szpitala przy Szaserów. Matka, zapalając kolejnego papierosa, powiedziała:

– Jak ty sobie, dziecko, poradzisz w życiu? Zostaniesz sama, z dwójką malutkich dzieci. Nie będziesz miała żadnej rodziny w Warszawie, zupełnie nikogo, kto cię pocieszy, kto naprawdę zrozumie twoje problemy, zajmie się tobą w chorobie...

Wiedziałam, że jej troska jest szczerą, tak jak obawy związane z moim dalszym życiem. Fakt, iż był przy mnie ojciec moich dzieci, nie wydawał się jej zbyt znaczący. Życie nauczyło ją, że kobieta sama dźwiga wszelkie ciężary i troski związane z macierzyństwem, a mąż jest raczej wrogiem niż przyjacielem.

Kiedy zaledwie kilkanaście tygodni po tamtej rozmowie w słoneczny wrześniowy dzień załatwiałam formalności związane z aktem zgonu, pani w urzędzie stanu cywilnego na Pradze zapytała o miejsce urodzenia matki.

– Kolonia Marusia – odparłam bez zastanowienia.

– A gdzie to jest? – Urzędniczka parsknęła śmiechem.

– Na Wołyniu. W tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku była tam Polska – odparłam, pamiętając, że matka zawsze bolała nad faktem, iż w jej dowodzie osobistym wpisane było jako miejsce urodzenia ZSRR.

– A dzisiaj?

– Dzisiaj to jest terytorium Ukrainy – wtrącił się urzędnik, siedzący dotąd w ciszy przed komputerem.

I wpisali jej do aktu zgonu miejsce urodzenia: Ukraina. Okrutna przykrość, wręcz zniewaga dla kogoś, kto nienawidził Ukraińców tak bardzo jak ona.

Wiele razy myślałam o tym, żeby pojechać kiedyś na Wołyń, stanąć na tej ziemi, spojrzeć na bezkresną równinę i nieboskłon, o którym Józef Czechowicz pisał: „Perłowy step nieba”. Ale mój mąż miał rację, mówiąc, że niczego tam nie zobaczę, że tam nic nie zostało. Po kolonii Marusia i tysiącach innych polskich osad oraz wiosek nie ma właściwie śladu. Tylko porośla zielskiem i trawą ziemia kryje przejmujące trwogą tajemnice.

Czasami, nie mogąc spać – a zdarza mi się to nader często – wyobrażam sobie tę mityczną kresową krainę. Ogromna połać muśniętego chłodnym błękitem nieba. Pod nią pas płaskiej jak blat stołu

równiny. Wypalone słońcem łany zbóż, smugi zieleni. Tylko to. Pozorny spokój, pełnia lata. W tej ziemi, o której mówiło się, że póki Rosjanie jej nie zmarnowali metodami gospodarki komunistycznej, wystarczyło rzucić kilka nasion, aby obrodziła bogatym plonem, teraz spoczywają dziesiątki tysięcy kości.

Kiedyś jednak tam pojadę.

Muszę wiedzieć, co się czuje, stojąc na tak wielkim, niepoświęconym cmentarzysku. Na razie czytam poezje Józefa Czechowicza, piewcy sielskich kresowych pejzaży. Wiersz *Lato na Wołyniu* z wydanego w 1932 roku tomu *Ballada z tamtej strony*, który powstał w okresie, gdy młody poeta pracował jako nauczyciel we Włodzimierzu Wołyńskim, to niemal ewokacja szczęścia i sensualnego spełnienia.

Lato na Wołyniu

łąka huśtawka

sznury pogody chrzęszczą

rozwiewa się nieba kaftan

w rozkołysaniach

kołyszą się gałęzie pachnąc szczęściem

tryumfowania

od chmur dalekich do suchych skał

młot słońca potysk

moich stóp chwala

tratuje wołyń

*unosimy się falisty dym
to słoneczna głowa i ja
opadamy jak zgaszony wybuch
krąży fosforyczny rym
napowietrzną rybą
z rozkoszą gwizdzę w czerwcowy czad
skaczę kołuję tętnię
25 lat
nagiego ciała ogień
ręce ptakami na niebie
wiatrem nad trawą nogi
to pięknie
to pięknie słuchaj
gdy karminowy grzebień
południa żłobi upał
gdy lazurowym koniem na nas
przyfruwa z gorącej przestrzeni
asonans*

ukochanej ziemi

hej

Poezja Czechowicza nastraja mnie nostalgicznie. Wyobrażam sobie ten pejzaż wołyński, śpiewny akcent mowy – dialekt polsko-ruski, te „chaty pachnące stepem”, jak pisał Czechowicz, te wijące się przez równiny wstążki rzek, gęste bory, usiane kwiatami łąki. Czasami wydaje mi się, że pamięć o tamtej nieistniejącej krainie zamknięta została w ramy sielskiego krajobrazu. Wołyń to lasy, pola, rzeki o malowniczych zakolach, proste chaty i drewniane dzwonnice kościółków, malwy i skowronki, prości ludzie i ich dni wypełnione ciężką pracą.

Ale przecież historia tego regionu i relacje polsko-ukraińskie miały skomplikowany i niejednoznaczny przebieg. Nam, Polakom, wszystko wydaje się proste, a tamta strona widzi zabiegi o odzyskanie niepodległości zupełnie inaczej.

Nie jestem nawet historykiem amatorem, nie czuję się kompetentna, aby przeprowadzić analizę przyczyn wydarzeń z lat 1943–44. Jednak faktem jest, iż podjęta w marcu czterdziestego trzeciego przez dowództwo Ukraińskiej Powstańczej Armii decyzja o „usunięciu Polaków”, czyli o eksterminacji mniejszości polskiej, była aktem ludobójstwa. Doprowadziła do rzezi, z której cudem uratowała się rodzina mojej matki. Niewiele brakowało, abym nie miała szans pojawić się na tym świecie.

Kolonia Marusia, styczeń 1933 roku

Boże Narodzenie 1932 roku to pierwsze święta, jakie Konstancja przygotowywała we własnym domu jako samodzielna gospodyni na swoim gospodarstwie. Nie skończyła jeszcze dziewiętnastu lat, ale starała się ze wszelkich sił pokazać jako dojrzała do tej roli kobieta. Jej starsza siostra Danka nie ukrywała zazdrości o to, że Władysław – najbogatszy kawaler w okolicy – wybrał na żonę właśnie młodzieńką Kostunię.

Była śliczna i świeża jak dojrzewający owoc, małomówna, drobna, pracowita – idealnie wpisywała się w marzenia Władysława o pani na jego gospodarstwie i matce jego dzieci. To swat Józef podpowiedział mu tę właśnie dziewczynę pochodzącą z zacnej rodziny Omelańskich z Michałówki, proponując z początku dwie siostry i zachwalając je obie jako świetny materiał na żonę. Wybrał tę ze złotymi warkoczami. Cóż z tego, że była o osiemnaście lat młodsza od niego. Podobało mu się to, że dziewczyna niewiele mówi i nigdy nie patrzy nikomu prosto w oczy.

Swat wszystko sprawnie przeprowadził – odpowiednio przedstawił kandydata rodzicom wybranej panny, a potem wystarczyło, że Władysław zabrał raz dziewczynę do kina do Łucka, na lody i rurki z bitą śmietaną. Sprawa już została ustalona przez swata, ojciec Konstancji próbował przeforsować kandydaturę starszej córki, ale potencjalny narzeczoną nie był nią zainteresowany. Ze swymi pieniędzmi i pozycją mógł stawiać nieograniczone warunki i brać najlepszy towar.

Ślub odbył się jesienią, panna młoda miała przepiękną suknię z białego atłasu, szytą w pracowni przy reprezentacyjnej ulicy Jagiellońskiej w Łucku. Wesele urządzono z wielką pompą, aby cała okolica wiedziała o tych niezwykłych zaślubinach.

Tuż przed Bożym Narodzeniem Konstancja już spodziewała się dziecka. Kobiety z wioski zajmowały się nie tylko swoimi zwyczajowymi czynnościami w tym okresie: darcie pierza, przygotowywaniem smakowitych potraw na nadchodzące po Święcie Trzech Króli zapusty i peklowaniem mięsa świeżo bitych wieprzy. Szykowano też wyprawkę dla pierworodnego Błońskich, wierząc, iż

będzie to chłopiec.

Niezwykłe były te pierwsze święta młodej mężatki, która spodziewała się pierwszego dziecka. Konstancja cieszyła się okazywaną jej przez wszystkich troską, a jednocześnie z dumą gospodarzyła we własnym domu. Zazdrozczono jej bogatego męża, pięknego domu, ciąży i urody, którą błogosławiony stan tylko podkreślał. Władysław pękał z dumy.

W rogu największego pomieszczenia w świeżo wykończonym domu ustawili ściętą w pobliskim lesie jodłę. Ledwie rok temu wraz z rodzeństwem szykowała własnoręcznie ozdoby na choinkę w rodzinnym domu – piekła kruche ciasteczka o wymyślnych kształtach i ze słomek oraz kolorowych bibulek przygotowywała stroiki doczepiane do tekturowych główek aniołków – a teraz robiła to wszystko, ozdabiając własny dom, chcąc ucieszyć oko męża i wzbudzić podziw gości odwiedzających jej nowe, pachnące świeżością gospodarstwo.

Mimo mdłości, które utrudniały pracę w kuchni, Konstancja przyrzadziła na świąteczny stół wszystko to, co każda szanująca się polska gospodyni na Wołyniu: upiekła bułkę z bielutkiej pszennej mąki, kołaczki, kulebiak z farszem z kapusty, pulchne pampuszki, przygotowała na wigilię postną kapustę z grzybami, kluski z makiem, śledzie w oleju, kompot z suszu i kisiel z żurawiną.

W Wigilię czekały już w spiżarni na pierwszy dzień świąt pieczone mięsiska, tłuste rolady i peklowane szynki, na których widok ślinka ciekła wszystkim po wielu dniach ścisłego postu. Poza tym – tak jak uczyła ją matka – Konstancja upiekła ciasta ucierane z czterdziestu jaj, makowiec i kruche maślane ciasteczka. Starła się, jak mogła, aby nikt z rodziny, kto odwiedzi jej domostwo, nie mógł powiedzieć, że jest zbyt młoda i nie nadaje się na gospodynię.

Wszystko udało się znakomicie. Pan domu zmówił modlitwę przed wieczerzą i wypowiedział ważne słowa: „Daj Boże za rok doczekać”. Goszczący w domu Błońskich na wigilii matka i ojciec oraz niezamężna siostra Konstancji, a nawet Władysław pochwalili przygotowane potrawy. Do późna – jak nakazywała tradycja – śpiewali kolędy i pastorałki z kantyczek, a potem nawet rosyjskie pieśni intonowane przez Władysława. Ten, jak każdy mężczyzna, z trudem znosił post

i czekał z utęsknieniem na powrót z pasterki, aby wreszcie spożyć trochę mięsa, którego tak wiele w formie pieczeni i wędzonek czekało w spizarce. Po całym domu niósł się zapach pieczystego, a na myśl o kawałku szynki boleśnie dawał o sobie znać pusty żołądek. Jednak nikt nie śmiał złamać zasad postu.

Na pasterkę jechano saniami do oddalonej o kilka kilometrów wsi Skurcze. W wypełnionym po brzegi, rozświetlonym i udekorowanym odświętnie starym kościele Konstancja wraz ze wszystkimi śpiewała kolędy i nie mogła powstrzymać się od śmiechu, gdy zmęczone wielodniowymi przygotowaniem do świąt kobiety przysypiały w trakcie tego zbiorowego śpiewania. Chwilami traciły kontrolę nad głosem i przy *Bóg się rodzi, moc truchleje* albo *Wśród nocnej ciszy* skrzeczały jak zarzynane kury, dopóki ktoś siedzący obok nie napomniął ich, aby zwalczyły senność i wytrzymały do końca uroczystości.

Początkowo Konstancja bardzo się cieszyła wszystkim, co dał jej los. Cóż z tego, że miała starszego o osiemnaście lat męża, który fizycznie wzbudzał w niej wstręt? Wystarczyło jednak popatrzeć na miny odwiedzających ich nowy dom znajomych i sąsiadów w okresie między Bożym Narodzeniem a Świętem Trzech Króli, aby zobaczyć, jak bardzo zazdroszą jej wszystkiego, co zdobyła dzięki małżeństwu z Władysławem.

Była panią, nie jakąś tam wieśniaczką, która wychodzi w pole żąć zboże albo przędzie len. To ona wydawała polecenia parobkom, zarządzała wielkim gospodarstwem, a wkrótce, jako matka pierworodnego syna, miała mieć jeszcze większą władzę i znaczenie.

Sprawiła sobie u krawca w Łucku kilka nowych sukienek, takich, jakie nosiły eleganckie panie w mieście, z tkanin w drobne kwiatki, z okrągłymi białymi kołnierzykami, a także dwa kostiumy w delikatne prążki i mały kapelusik, który należało nosić na bakier. Wyglądała w tych nowych strojach jak żona adwokata albo właściciela fabryki. Chciała też obciąć swoje jasne, sięgające pasa włosy, ale na to Władysław stanowczo się nie zgodził.

Czesała je więc teraz w gładki kok, nie ulegając jego prośbom, aby zaplotła warkocze.

– Co, ja wiejska dziewczyna jestem, żebym latała po obejściu

z warkoczami do pasa i komenderowała parobkami? – obruszała się.

– Nu, ale z ciebie gospodyni! – komentowały z podziwem w głosie jej koleżanki, gdy jak kiedyś spotykały się w kościele.

Konstancja zaś z poczuciem wyższości kwitowała to uśmiechem, hardo patrząc w oczy jednemu ze swoich odrzuconych absztyfikantów – Jurkowi, synowi kowala z Jędrzejówki, który spoglądał na nią z chmurną miną.

Kiedy rozpoczęły się zapusty, po Konstancji ciągle nie było widać, że jest brzemienna. Prosiła Władysława, aby nie dzielił się dobrą nowiną, dopóki brzuch nie będzie widoczny. Dzięki temu mogła wciąż tańczyć na zabawach i weselach, które w tym okresie umilały Wołyniakom mroźne zimowe dni.

Władysław początkowo tolerował wesołe usposobienie młodej żony, chociaż sam nie znosił tańców. Razem z innymi starszymi mężczyznami wolał wznosić toasty i pić wódkę. Jednak gdy któryś z kompanów przygadał mu, że jego Kostunia tak wyrywna jest do zabawy, iż niedługo obtańcuje każdego chłopca, który nie jest na tyle spity, aby leżeć pod stołem, Władysław wszedł do udekorowanej sali i siłą wyrwał żonę z objęć ogorzałego Tadka, syna swata, który doprowadził do małżeństwa Błońskich.

Przywołał Konstancję do porządku, polecił, aby poszła do studni i przemyła czerwoną od wysiłku, spoconą twarz.

– Nu, przecie ty brzemienna jesteś! – upomniał ją z niezadowolaniem.

Wkrótce żona dołączyła do niego przy długim biesiadnym stole. Siedziała obok męża wyraźnie znudzona, nie mając ochoty słuchać, jak podpici mężczyźni zaczynają rozprawiać o polityce. Matka jej mówiła, aby w okresie ciąży wystrzegać się gorzałki i ostrych przypraw, a mimo to wypła ukradkiem kieliszek wódki, bo Władysław już stracił w tej kwestii rachubę, a potem kolejny, z wielką zazdrością zerkając ku pomieszczeniu, w którym kłębowisko ciał poruszało się do skocznej melodii wygrywanej na skrzypcach.

Kiedy po kolejnym toaście za zdrowie młodej pary Władek – podobnie jak inni chłopcy – był już mocno podpity i głośno rozprawiał o tym, jak to w Ameryce inaczej ludzie podchodzą do pracy niż u nas,

Konstancja wymknęła się po cichutku do sali zabaw. Nic nie mogła poradzić, nogi same ją poniosły ku roztańczonym ludziom. Ani się obejrzała, a już jej dawny absztyfikant porwał ją do oberka. W zapamiętaniu wirowała i śmiała się w głos z komplementów, jakie Jurek jej prawił. Ponoć nocami nie może spać, tylko ciągle o niej myśli, żałując, że nie pracował ciężiej, bo może wtedy za niego by poszła, a nie za tego starego, co się w Ameryce dorobił, razem z Negrami najgorsze roboty wykonywał i teraz rżnie wielkiego pana.

A ona tylko zanosila się śmiechem i podskakiwała w rytm muzyki. Nagle poczuła, że jakaś ręka brutalnie wrywa ją z uścisku syna kowala, ciągnie za stanik sukienki, popycha brutalnie, aż upięte w kok włosy rozsypują się na plecach. Matka wyciągnęła ją z tłumu tańczących i wywlekła do bocznej izby, gdzie stały wiadra z kompotem i kwasem chlebowym dla tych, którzy chcieliby ugasić pragnienie.

– Ja ci pokażę!

Konstancja poczuła na policzku mocne uderzenie dłoni. Ostra krawędź pierścionka zostawiła jej krwawiącą ranę pod okiem.

– Wstyd przed całą okolicą robisz, ty dziewucho zepsuta! Takiego męża dostałaś, gospodynią jesteś i nie umiesz być wdzięczna! Dobrze, że nikt nie wie, że przy nadziei jesteś! Byłaby hańba na cały powiat! – syczała jej do ucha wściekła matka.

– Przecie tylko tańczyłam, nie wolno? Nic złego nie robiłam... – próbowała się tłumaczyć niepewnym głosem Konstancja.

– Ostatni raz! Ostatni raz widziałam cię przyciśniętą w tańcu do obcego chłopca! A teraz idź do męża, módl się, żeby cię nie złał za ten wstyd, co mu dzisiaj zrobiłaś! Może jutro będzie na tyle skacowany, że nie zapamięta... Mój Boże! Co za cholera w ciebie wstąpiła! Więcej masz w życiu szczęścia jak rozumu, głupia dziewucho! – Matka spojrzała na córkę z widoczną odrazą i popchnęła Konstancję do głównej izby domu weselnego.

Dochodziła dwunasta. Zbierano się, aby zacząć słodką kolację. Młoda para jeszcze w ślubnych strojach czekała za stołem ze słodkim winem i kawałkami tortu na talerzykach, którymi należało obdarować wywoływanych z nazwiska gości.

Kiedy wybrzmiała familia „Błoński Władysław i żona jego

Konstancja”, oboje podeszli i złożyli życzenia pomyślności państwu młodemu. On wziął kieliszki z winem, ona talerzyki z białym tortem.

Na widok tłustego kremu ledwie zdążyła odejść dwa kroki od stołu i zwymiotowała na podłogę.

– Oj, za dużo gorzałki! – zaśmiał się ktoś z weselników.

– Stul pysk! Ona spodziewa się mojego dziecka! – zawołał Władysław i otulił plecy żony swoją marynarką, po czym wyprowadził Konstancję na dwór.

Olsztyn, 10 sierpnia 1955 roku

W dalekiej stolicy działo się teraz wiele ważnych spraw. Powstał sojusz, o którym pisały wszystkie gazety, nazwany Układem Warszawskim, ukończono budowę Pałacu Kultury i Nauki imienia Józefa Stalina i wielki Stadion Dziesięciolecia po praskiej stronie Wisły. O tym wszystkim głos pełen entuzjazmu i wiary w przyszłość opowiadał w kronice filmowej, którą Halina i poznany na tańcach kolega Mietek oglądali w olsztyńskim kinie Przyjaźń w czerwcowe popołudnie.

Polski film pod tytułem *Godziny nadziei*, wybrany przez przyjaciółkę Haliny Lidkę, okazał się dramatem wojennym. Towarzyszący dziewczętom młodzi mężczyźni, obaj w stopniu kaprała Ludowego Wojska Polskiego, wydawali się naprawdę zainteresowani oglądanymi na ekranie scenami rzezi jeńców wyzwolonych z obozu koncentracyjnego.

Halina bardzo przeżywa film. Ilekroć twarze aktorów wykrzywia spazm cierpienia, ona przymyka powieki.

Randka jak dotąd nie toczyła się po jej myśli. Mietek i jego kolega nie przyszli w mundurach, a bez zielonych uniformów wydawali się tylko tymi, kim w istocie byli – biednymi chłopakami z prowincji, którzy poszli do wojska, licząc na lepsze życie. Okropne sceny na ekranie (dobrze, że czarno-białe – dzięki temu lejąca się krew nie wydawała się tak przerażająca) sprawiły, że Halina czekała niecierpliwie na koniec seansu. Obrazy wojenne budziły w niej myśli, od których z całych sił starała się uciec.

W pewnej chwili otwiera oczy i czuje przeszywający ją dreszcz. W ułamku sekundy ogarnia ją trwoga – wprost z kinowego ekranu zwraca się ku niej czarno-biała twarz tamtej dziewczynki z Krasnego Sadu.

Spotkały się tylko raz. Ledwie spojrzały na siebie w trakcie któregoś z masowych pogrzebów we wsi Skurcze czy może nawet w Czarukowie, które latem czterdziestego trzeciego odbywały się na Wołyniu co kilka dni. Wśród płaczących, modlących się na głos, przerażonych ludzi uwagę Haliny zwróciła śliczna buzia nieznannej dziewczynki w tym samym wieku. W oczach tamtej widniał paraliżujący

strach.

Zaledwie kilka tygodni później dziewczynka zginęła wraz z dwustoma innymi mieszkańcami swojej wioski.

Lata mijały, a Halina nie była w stanie uciec od wspomnienia tamtego przerażającego spojrzenia. Widziała to pełne napięcia oblicze w przeróżnych momentach i okolicznościach. Wspomnienie po prostu pojawiało się znenacka, przypominając Halinie o tym, że to, czego boi się najbardziej, kiedyś może się jej naprawdę przytrafić.

Teraz w kinie oddycha ciężko, rozchylając usta jak wyrzucona na brzeg ryba. Kwaśna woń potu stłoczonej w dusznej sali widowni przyprawia ją o mdłości. Nagłe zawroty głowy sprawiają, że ogarnia ją panika i strach, że zaraz tu, w tej dusznej sali, straci przytomność. Serce wali jak młot. Coraz bardziej brakuje powietrza. Nie może wytrzymać, już podnosi się z twardego, drewnianego fotela, aby opuścić kino, gdy w kulminacyjnym momencie czołgi Armii Czerwonej ratują nieszczęsnych ludzi. Wreszcie film się kończy i na ekranie przy akompaniamencie podniosłej pieśni pojawiają się ciągi napisów.

– Co ci jest, Halina? Jesteś blada jak ściana – pyta koleżanka.

Mietek bez słowa zapala papierosa. Zawsze sprawia wrażenie, jakby było mu wszystko jedno. Nawet nie zapytał, czy ona też ma ochotę zapalić. Niedawno zaczęła regularnie palić i dzięki temu czuje się bardziej dojrzała. Właśnie skończyła osiemnaście lat.

– Nic, nic, mam anemię i w dusznych pomieszczeniach robi mi się słabo... – wyjaśnia.

Po wyjściu z kina zegna się chłodno i wraca sama pieszo trzy kilometry do domu. Mietek proponował, że ją odprowadzi, ale robił to wyraźnie bez entuzjazmu, więc Halina dumnie odmówiła.

Kiedy dochodzi do wzniesienia, na którym znajduje się kolonia kilkunastu stłoczonych jeden obok drugiego domków, do jej uszu docierają odgłosy kłótni. Od razu wie, że to ONI – rodzice. Nieustające spory o wszystko, wyzwiska, dogryzania, złośliwości i krzyki były ich chlebem powszednim. Nie znali innej formy komunikacji, chyba że któreś poważnie zaniemogło, wówczas to zdrowe z przejęciem i nadgorliwością pielęgnowało chorego, zamęczając go tłustymi rosółami z gęsi i nadmiarem lekarstw.

Przed ich otynkowanym na szaro domem o spadzistym dachu stoi konny wóz jej starego ojca, służący do przewożenia towarów, które Błoński sprzedawał na okolicznych bazarach: emaliowanych garnków, staroci, które przetrwały wojnę, ścierek i niedrogich sprzętów domowych. Halina orientuje się, że tata musiał właśnie wrócić do domu i żeby zrobić matce na złość, zatrzymał wóz przy otwartym oknie kuchennym, po czym cmokając, wołał na konia: „Stój, Kostusia, prrrr... Stój, szkapo!”. Wiedział doskonale, że nazywając konia zdrobnieniem imienia swojej żony Konstancji, popsuje jej humor i doprowadzi do kolejnej awantury.

– Ty stary łachudro! Niech cię dorwę, ty dziadu! – darła się matka. Z czeluści okna na ulicę dochodziły odgłosy trzaskania garnkami i pełen złości głos kobiety: – Mówiłam ci, że jeszcze raz będziesz wołał na szkapę jak na mnie, nie odezwę się do ciebie do Nowego Roku!

– Nu, toż mnie przecie o to właśnie chodzi, kobieto! – zawołał ojciec ze śpiewnym, wschodnim akcentem i zaśmiał się złośliwie, po czym zszedł z wozu, by otworzyć bramę wiodącą na podwórko przed domem.

Halina wzdycha ciężko i popycha boczną furtkę, prowadzącą na porośniętą malwami i piwoniami ścieżkę do drzwi wejściowych. Wchodzi do ciemnej sieni. Skrzypi drewniana podłoga, a w jej nozdrza uderza dobrze znany zapach przysmażonych skwarek słoniny. Znowu będą jedli na kolację ziemniaki z okrasą.

Matka krząta się w niewielkiej kuchni. Drobna, przygarbiona, krótkie i rzadkie siwe włosy sprawiają, że wygląda na staruszkę. Jest niższa od Haliny, której wzrost nie przekroczył metra sześćdziesięciu. Burą spódnicę do kolan i bluzkę częściowo zakrywa przepocony kraciasty fartuch. Matka jest jak zawsze w ruchu, zawsze ma ręce pełne roboty. Zaciśnięte wąskie wargi, wzrok czujny, zaniepokojony.

Czy kiedyś, kiedy była młoda, jeszcze przed wojną, czy wtedy się uśmiechała? Halina wiele razy chciała zadać jej to pytanie, ale matka była tak oschła, tak skoncentrowana na wykonywanej w danej chwili czynności – wszystko jedno, czy było to oskubywanie gęsi z pierza, czy wyrabianie ciasta na pierogi – że nigdy tego nie zrobiła.

Nie chodziło jej przecież tylko o grymas ust, ale o radość. O taką

radość, jaką ona, Halina, czuła chyba tylko w tańcu. Muzyka porywała ją i sprawiała, że w ciało wstępowała jakaś niezrozumiała energia, a ona tylko poruszała się w rytm i zapominała o własnym istnieniu.

– A ty gdzie byłaś? Kolacja wystygnie...

Konstancja staje przy zlewie i zaczyna szorować garnki. Rzuca w kierunku córki trwające nie dłużej niż dwie sekundy spojrzenie. Mierzy ją wzrokiem od stóp do głów – patrzy na uszytą własnoręcznie przez Halinę białą sukienkę w czerwone kwiatki o rozkloszowanym dole i dopasowanej górze, klipsy ze sztucznymi perełkami w uszach, zaczerwienione wargi świadczące o tym, iż jeszcze niedawno pokrywała je szminka.

– Żebyś tylko nie wpędziła się w kłopoty z tym kapralem... – wzdycha.

Halina odwraca się i bez słowa wynosi z kuchni koszyk ze świeżo upieczonym, pokrojonym już chlebem.

Błońscy zasiadają do wieczornej stawy przy stole ustawionym na środku największego pomieszczenia domu. Konstancja krząta się, nosząc miski z ziemniakami i smażonymi kawałkami wieprzowiny.

– Dobry wieczór – mówi z nieskrywaną niechęcią dwudziestodwuletni Cyryl, siadając przy stole obok Haliny.

Ubrany w najmodniejszą koszulę non-iron, z umyтыми i zaczesanymi do tyłu włosami prezentuje się zupełnie inaczej niż na co dzień. Od jakiegoś czasu pracuje w warsztacie samochodowym i umawia się z dziewczyną z ich dzielnicy, Weroniką. Zapewne wrócił właśnie ze spotkania z nią.

Nie licząc wypowiedzianych z rezerwą, jak do obcych, zwrotów grzecznościowych, od trzech tygodni ostentacyjnie nie odzywa się do nikogo, chcąc pokazać rodzicom, zwłaszcza ojcu, swoją złość, która przepełnia go po tym, jak Władysław stłukł syna na kwaśne jabłko za udział w turnieju bokserkim. Co więcej, ojciec poszedł do trenera z klubu sportowego, zrobił mu karczemną awanturę i oświadczył, że jego syn nie będzie sobie obijał mordy. Za nic w świecie nie chciał się zgodzić, aby Cyryl został bokserem. I syn w końcu ustąpił.

Stać go było tylko na tyle, aby okazać niezadowolenie w momentach, gdy siedział z ojcem przy stole.

Nagle skrzypią drzwi i do pokoju wchodzi mieszkający w przybudówce ich domu młodszy brat Władysława, stryj Wacek. Jego zgaszone spojrzenie wędruje gdzieś po podłodze. Sprawia przygnębiające wrażenie – łysiejący mężczyzna o przygarbionej sylwetce, ubrany w obszarpaną koszulę. Spodnie noszone kiedyś przez Władka przytrzymuje pasek, inaczej zsunęłyby się z wychudzonego ciała. Nikt nie powiedziałby, że ten człowiek ma zaledwie trzydzieści pięć lat. Wygląda jak obłąkany starzec.

Prawie nigdy się nie odzywa. Przestał mówić, jeszcze zanim Błońscy opuścili Wołyń w 1945 roku. Wacek żył we własnym świetle i uważany był za nieszkodliwego idiotę. Pokazywał się tylko w porze posiłków, a całe dni spędzał w swojej malutkiej izbie, do której nikt inny nie miał dostępu.

Władysław tego wieczoru również jest milczący. Skręcił papierosa i pali go z namaszczeniem. Halina obserwuje ojca przez chwilę i nagle, nie mówiąc słowa, sięga dłonią po leżące na stole skręty. Drżącą ręką bierze zapalnik i jak gdyby nigdy nic przypala sobie papierosa. Zaciąga się chciwie i nagle czuje na policzku siarczyste uderzenie ojcowskiej ręki. Aż zachwiała się na krześle.

– Za co to? Przecież mam już osiemnaście lat! Pracuję, zarabiam, jestem dorosła! Mogę palić. Wszyscy w biurze palą... – mówi płaczliwie.

– Odczep się od niej, Władek – staje w jej obronie matka. – Zaraz kawaler będzie się jej oświadczał, a ona z obitą mordą...

– Jaki kawaler? Ten kapral? – Władysław aż podskoczył. – Co ty o nim wiesz? Jaka jego familia?

– Znojek – mówi Halina zrezygnowanym głosem. „Zaraz się zacznie – myśli. – Dla ojca najważniejsza jest «familia», nic innego się nie liczy”.

– Znojek? Taka jego familia? Co za jakieś dziwaczne nazwisko? Oni skąd?

– Z Chęcina. Tata wie, gdzie są Kielce? To zaraz pod Kielcami jest. Ojciec Mietka był stolarzem, w partyzantce siedział i krył się w lasach. Teraz chory jest, nie może pracować – opowiada Halina.

– Nu, mnie nie podoba się ta familia. Goły jest ten twój kawaler, a?

– podsumowuje Władysław i zabiera się do jedzenia.

– Jest żołnierzem Ludowego Wojska Polskiego, to nie byle co. Wojsko da mu mieszkanie! Jeśli się pobierzemy, będziemy mieli własną kawalerkę w nowym budownictwie – mówi Halina z dumą.

Mietek jeszcze co prawda nie zaproponował jej małżeństwa, ale ona dobrze wie, że jeśli tylko porozmawiają poważnie, nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby się pobrali. Sam wspominał, że teraz dają mieszkania w wojsku tym, którzy się żenią. Chociaż na razie ślub kościelny nie wchodził w grę, a ona chciała mieć piękną białą suknię. Ale wojskowy nie mógł ujawniać, że jest wierzący. Gdyby ktoś na niego doniósł, mógłby mieć kłopoty. Do tego, żeby złożyć wniosek o własną kawalerkę, potrzebny był tylko akt z urzędu.

Rzeczywiście ta informacja zrobiła duże wrażenie na siedzących przy stole. Własne mieszkanie – to przecież było marzenie większości ludzi.

– Nu, a ty co taki skrzywiony, dziewczyna buziaka nie dała, hę? – śmieje się Władysław, kierując uwagę na syna.

– Janek! Kolacja!!! – woła Konstancja nieprzyjemnym, zniecierpliwionym tonem, spoglądając w kierunku poddasza.

Po kilku minutach po skrzypiących schodach schodzi na dół najmłodszy Błoński, urodzony już po wojnie chłopak o figlarnych malutkich oczach i płowej czuprynie. Jak wszyscy w tej rodzinie jest szczupły, wysoki (jak na dziewięciolatka) i nie ma głowy do nauki. Z powodu wagarów ojciec zabronił mu opuszczać poddasze aż do najbliższego poniedziałku. Chłopak może tylko schodzić na dół na posiłki, bo chory kręgosłup Konstancji nie pozwala jej wdrapywać się po schodach.

Halina patrzy na Janka z mieszaniną niechęci i czułości. „Co ja się miałam przez tego chłopaka” – myśli, zanurzając łyżkę w masie tłustych ziemniaków. Bierze do ust łyk maślanki. Policzek ciągle ją piecze.

Od kiedy urodził się jej brat, to ona była jego główną opiekunką. Matka wręcz unikała najmłodszego dziecka. Zawsze zajęta pracą, karmiła inwentarz, siała, zajmowała się żniwami, nie miała czasu dla chłopca. To Halina musiała pilnować, karmić i zabawiać braciszka, który był jej kulą u nogi, ciężarem nie do zniesienia – przez niego nie mogła

się bawić z innymi dziećmi, zajmować się sobą. Zawsze tylko Janek, tylko on był ważny.

Ileż to razy modliła się w myślach, żeby Bóg zabrał Janka, jak zabrał w czterdziestym piątym jej braciszka Tadzia, który zmarł na dyfteryt w bydlęcym wagonie, w trakcie podróży z Wołynia na Zamojszczyznę.

– Czemu ty się nie przeżegnał przed jedzeniem, a? Podziękuj choć Matce Boskiej! – Władysław mierzy Cyryla srogim wzrokiem.

Ten wzrusza ramionami, nie przerywając jedzenia.

– A za co mam dziękować?

– Żyjesz i masz co do giemby włożyć! – krzyczy Władysław z kresowym zaciąganiem, trzęsąc się z oburzenia.

„O! Zaczyna się” – myśli Halina. Już wie, że musi zrobić wszystko, aby jak najszybciej uwolnić się od rodziny i zniknąć z tego domu.

– Ty patałachu! Pochyl choć głowę przed Matką Boską, przeproś za to, coś powiedział! Toż to cud boski, że żyjem! Ilu na Wołyniu zamordowanych, zakatowanych gorzej jak psy! Całą rodzinę wymordowano. Ty nie widział? Nie był tam? Przecie pamiętasz. I ty nie masz za co dziękować? Za życie dziękuj, każdego dnia! Za to, że masz strawę w brzuchu, dziękuj! Już żeś zapomniał, jak nam dom spalili, cały nasz dorobek, a my skrywali się w Łucku u ciotki? Już zapomniał, jak jeden posiłek dziennie tylko jadł? Matka całe dni po mieście krążyła, żeby chleba zdobyć, ziemniaków dla nas. A sama nie dojadła, chociaż dziecko w brzuchu nosiła! Już nie pamiętasz?

– Daj spokój, Władek, znowu serce cię rozboli – wzdycha Konstancja, krzątając się wokół stołu. Zbiera puste talerze i zanosí je do zlewu. Sama jak zwykle niemal nic nie zjadła.

– Mój ty Boże! Tam teraz pora żniw... Pamiętasz, Kostunia, tamto zboże?! – Władysław przestaje jeść, zapatrzony w wiszącą na ścianie nad wersalką tekturowy wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej pod szkłem, cały pozieleniały, o wystrzępionych krawędziach i z urwanym dolnym prawym rogiem.

„Wołyń, Wołyń... Znowu się zaczęło. Nie wytrzymam tego, nie zniosę tego babrania się w przeszłości. Muszę się wyprowadzić” – myśli

Halina. Nie było dnia, aby ojciec czy matka nie wspominali Wołynia, swego gospodarstwa w kolonii Marusia, boskiej interwencji, która – jak wierzyli – pozwoliła im uratować się z rzezi.

Tylko ta jedyna rzecz, ten właśnie obraz ocalał z pożogi po tym, jak Ukraińcy puścili z dymem całą osadę. Błońscy po wielu perypetiach zdołali uciec, chociaż większości członków ich rodziny to się nie udało. Ta Matka Boska nad nimi czuwała. Nie było innego wytłumaczenia. To musiał być cud i znak.

– Kończcie jeść. Ja jeszcze placek upiekła, z rabarbarem – przerywa ciszę Konstancja.

– Placek... Dzisiaj to żaden placek, na margarynie i kilku jajkach. Przed wojną u nas na Wołyniu to były placki, nie, Kostunia? Tego smaku nigdzie żem nie spotkał... – wzdycha Władysław.

– Ze czterdziestu jaj ciasto się ucierało, a na święta to i z pięćdziesięciu... – podchwytuje Konstancja. Na jej smutnej bladej twarzy pojawia się cień uśmiechu.

– A wiesz, że ja dzisiaj Negrów spotkał? – pyta Władysław.

– Negry tu, w Olsztynie? Jak to być może?

– No idę w stronę poczty list do Związku Kresowiaków nadać, patrzę i widzę na ulicy czarną kobietę i ciemnego jak nasz mahoniowy kredens chłopaka. Widać było od razu, że nie wiedzą, jak drogę znaleźć, nic po polsku nie rozumieją. A więc ja podszedł i po angielsku do nich zagadał. „*How do you do*” i tak dalej. Oczy im się zrobiły o, takie wielkie! Ja im powiedział, że byłem w Ameryce i pracowałem z takimi jak oni, no i że chętnie im pomogę. Tu w Olsztynie ludzie patrzyli na nich jak na odmieńców jakichś, jedna matka dziecku ich palcem pokazywała. Ja im wszystko wytłumaczyłem, jak dojechać, co tu gdzie załatwić. Na studia rolnicze tu przyjechali z Afryki. Na herbatę ja ich na jutro zaprosiłem...

– Co? Będziesz mi tu Negrów do domu sprowadzał! Za jakie grzechy! – Konstancja nie ukrywa oburzenia i kłótnia z Władkiem zaczyna się od nowa.

Zmywając naczynia po kolacji, Halina myśli o Mietku, o tym, że nazajutrz się z nim spotka i poruszy temat małżeństwa. Nie ma na co czekać. Przystojny jest, wysoki, ma piękne falujące włosy. Karierę

w wojsku ma szansę zrobić. Wspominał, że może kiedyś będzie nawet oficerem. Ambitny! Może Halina zostanie panią pułkownikową! To by dopiero było coś. Trochę jest małomówny, zamknięty w sobie, ale nie to jest przecież ważne, nie musi być wesołkiem. Ciekawe, jak długo będą musieli czekać na przydział mieszkania?

Matka jakby czyta w jej myślach, bo wychodząc ze spiżarki, mówi:

– Weź tego kaprała, Halina, co tam, że wojskowy, że do kościoła z nim nie pójdziesz. Ważne, że młody jest i jeszcze życia przy nim użyjesz. Nie jak ja... Kiedy wychodziłam za Władka, ja miałam osiemnaście, a on czterdzieści pięć lat. Wielkim panem był i mógł mieć każdą dziewczynę. Ale znał mojego ojca, bo jego ojciec jak i mój byli leśniczymi. Przy wódce dogadali się, że właśnie mnie weźmie Władysław za żonę. I stało się. Mieliśmy najbogatsze gospodarstwo w okolicy, pierwszy murowany dom, kryty dachówką, nie gontem. Wielki sad, inwentarz, konie mieliśmy...

Halina kiwa tylko głową. Zna te opowieści na pamięć, słyszała je tysiące razy.

– Ale co z tego, jak Władek już za stary dla mnie był. Ja byłam młoda, ładna, chciałam się bawić. Nogi same się do tańca rwały, a ten nigdzie nie chciał wychodzić, żadne potańcówki go nie interesowały. Tylko gorzałka, machorka i drzewka w sadzie, to go najbardziej zajmowało. Podobał mi się jeden chłopak, młody, wysoki taki. Ale było już za późno. Płakałam, że nie mam szczęścia w życiu. A potem przyszła wojna i dopiero się zaczęło...

Matka była tego wieczoru wyjątkowo – jak na nią – skłonna do rozmowy. Halina postanawia więc skorzystać z okazji i wyrywa się z pytaniem, na które od lat nie otrzymywała odpowiedzi:

– Mamo, powiesz mi wreszcie, dlaczego stryj Wacek zwariował?

Ale Konstancja tylko wydaje niewyraźny pomruk, coś szepcze pod nosem i znika w spiżarce.

Kolonia Marusia

Pierwszy w gminie Czaruków powiatu łuckiego murowany dom z dachówką wybudowano w 1933 roku. Jesienią wprowadził się do niego ze swoją młodą piękną żoną Władysław Błoński – najbogatszy gospodarz w okolicy.

Dziadek, którego nie miałam okazji poznać, urodził się dziewiętnastego lipca 1889 roku w domu nadleśniczego we wsi Mychlin pod Łuckiem w leżącej na terenie Cesarstwa Rosyjskiego guberni wołyńskiej. Jak podkreślał przy każdej okazji, był wnukiem polskiego szlachcica – Błońskiego, który za pomoc powstańcom w 1864 roku został zesłany na Sybir. Jego majątek skonfiskowano, pozbawiono go tytułu szlacheckiego. Jedyne dziecko, urodzone już w Rosji, zawędrował na południe Cesarstwa Rosyjskiego i osiadł na Wołyniu.

Dziadek kształcił się prawdopodobnie w miasteczku Czaruków, skończył siedem klas szkoły powszechnej, ale bardziej niż nauka interesowały go podróże. Powołany do wojska w 1914 roku, walczył w armii rosyjskiej na froncie pierwszej wojny światowej na Półwyspie Krymskim. Tylko tyle wiem o jego wojskowej karierze.

Pomagał prawdopodobnie swojemu ojcu w gospodarstwie, być może sam miał zostać leśniczym. Tego też nie wiem i nie ma nikogo z rodziny, kogo mogłabym o to zapytać. Trójka jego dzieci nie żyje – najszybciej odszedł najstarszy syn Cyryl, powalony przez wylew na olsztyńskim bazarku, na którym miał pawilon handlowy. Potem odszedł najmłodszy – Janek. Od lat bardzo poważnie chorował na serce, nie doczekał się przeszczepu, chociaż był wysoko na liście oczekujących. Ostatnia była moja mama. Gdyby nie wypalane przez pięćdziesiąt lat po dwie czy nawet trzy paczki papierosów dziennie, może zdołałaby uniknąć raka płuc.

Wszyscy Błońscy mieli słabe serca i skłonność do nałogów.

W pewnym momencie swojego życia Władysław podjął dosyć odważną decyzję o wyjeździe do Ameryki i zarobieniu tam fortuny. W 1928 roku wsiadł na statek płynący do Nowego Jorku, gdzie – jak głosiła rodzinna legenda – spotkał bajecznie bogatą wdowę, która w trakcie podróży zaproponowała mu małżeństwo. Ponoć była niczego

sobie, ale dziadek stanowczo odmówił. Jak opowiadał, zastanawiał się przez całą noc, ale uznał, że jako potomek polskiego szlachcica nie może się ożenić z Żydówką.

W Nowym Jorku Władysław mył szyby w drapaczach chmur, zatrudniał się jako tragarz i człowiek od wszystkiego. Nieźle sobie radził, ciułał dolar do dolara, marząc o chwili, kiedy wróci na Wołyń jako wielki pan, wybierze sobie ładną i młodą dziewczynę na żonę i na wielkiej działce postawi najokazalszy dom w okolicy. Jego plany chwilowo popsuł czarny czwartek na giełdzie. Nie wiedział, co robić, wracać do Polski czy zostać? Widział ludzi skaczących w rozpacz z okien biurowców, widział eleganckich mężczyzn grzebiących w śmietnikach.

Wielki kryzys, który w zastraszającym tempie ogarnął Amerykę, sprawił, że dziadek właściwie zdecydował się już na powrót do domu, gdy ktoś zaproponował mu prowadzenie pralni w Chicago. Pojechał tam i przepracował niemal cztery lata, mimo kryzysu zbierając pokaźną sumę dolarów.

Kiedy w 1932 roku wrócił do rodzinnej wsi, po okolicy szybko rozeszła się wieść o tym, że Błoński zbił fortunę w Ameryce, będzie tworzył gospodarstwo i szuka najładniejszej panny.

Dziadek zrealizował swoje plany w stu procentach. Nabył wielką połąć ziemi, założył rozległy sad, kupił krowy i konie, kury i gęsi. Wybudował wzbudzający podziw, nowoczesny dom o powierzchni trzystu metrów – jak na tamte czasy i warunki życia olbrzymi. No i znalazł śliczną młodziutką żonę, która przyjęła go chętnie, bo dzięki niemu stała się najbogatszą gospodynią w powiecie.

Ich dom, wybudowany jako ostatni w osadzie, położony był na skraju małej kolonii, w pobliżu lasu. Kolonia Marusia – przez niektórych nazywana Marysią – liczyła zaledwie dwanaście gospodarstw. Otaczały ją osady zamieszkałe przez Polaków oraz całkowicie ukraińskie, czeskie i żydowskie. W odległości około ośmiuset metrów na południe znajdowała się maleńka kolonia Krasny Sad, kilometr na północ Czarny Las, na zachodzie Andrzejówka, wieś blisko granicy powiatu horochowskiego. Około tysiąca trzystu metrów dzieliło Marusię od wsi Michałówka, przez którą przebiegała droga prowadząca do siedziby

powiatu, wioski Czaruków. Od wielkiego miasta Łucka kolonia Marusia była oddalona o trzydzieści kilometrów.

Większość działki o powierzchni ponad tysiąca hektarów zajmowały sady, w których Władysław hodował wiśnie, jabłonie i grusze. Oprócz kilkunastu pasiek, żywego inwentarza – kilku krów, prosiaków, kur i gęsi – główną działalnością prowadzoną w gospodarstwie była hodowla koni.

Ozdobiony gankiem z dwiema kolumnami dom Błońskich zdecydowanie wyróżniał się wśród pozostałych drewnianych chałup – biel otynkowanych ścian podkreślała czerwień dachówki stromego dachu. Od frontu był ganek, który latem obrastało dzikie wino, przed nim rozpościerał się wypielęgnowany ogród pełen przeróżnych kwiatów, głównie uwielbianych przez Konstancję róż.

Wewnątrz podłoga pokryta była olejowanym dębem, a na deskach leżały kupowane u Ormian dywany o przepięknych orientalnych wzorach. Meble, w tym będący ozdobą salonu pięknie rzeźbiony kredens z białego drewna brzoźowego, robił na zamówienie stolarz z Łucka, zawieszane u sufitów lampy przywiezione zostały aż ze Lwowa. Ręcznie dziergane szydełkiem obrusy zdobiły stoły i stoliki, a Konstancja zawsze stawiała na nich wazony ze świeżymi kwiatami.

Z sieni wchodziło się prosto do dużej jadalni, z której jedne drzwi prowadziły do kuchni i spiżarni, a drugie do kwadratowego salonu, do którego z kolei przylegała sypialnia.

Mały Cyrylek otrzymał własny pokój, co niektórzy sąsiedzi komentowali jako przejaw próżności bogatych Błońskich. Cztery lata czekali na kolejne dziecko, aż w końcu urodziła się im córeczka, oczko w głowie tatusia, który nieustannie nosił ją na rękach i z dumą pokazywał każdemu, kto zawitał w ich progi.

Jako pierwsi w powiecie Błońscy kupili czterolampowy odbiornik radiowy i każdego wieczoru okoliczni mieszkańcy po skończeniu prac w polu, a czasem po kolacji schodzili się do domu Błońskich, aby posłuchać nadawanych ze Lwowa audycji. Niekiedy tłum chętnych do posłuchania nowych szlagierów albo słuchowisk był tak duży, iż radio ustawiano blisko otwartego okna, tak aby siedzący przed domem ludzie mogli je słyszeć. Konstancja roznosiła na srebrnej tacy szklaneczki

z kompotem i herbatą oraz świeżo upieczone kruche ciasteczka, a Władysław – jak zawsze zainteresowany polityką i gospodarką – kurzył fajkę i w gronie mężczyzn dyskutował o tym, co też mądrego wymyślił rząd w Warszawie i czy Hitler odważy się zaatakować sojusznika Anglii i Francji.

Ich proste życie wypełniała ciężka praca, od czasu do czasu – zgodnie z rytmem pór roku i kalendarzem świąt kościelnych – przerywana przez wydarzenia, które przebiegały w myśl utrwalonego od lat porządku. Żyli w zgodzie z sąsiadami, choć raczej obok przedstawicieli innych obecnych na Wołyniu narodowości – wśród Czechów, Rosjan, Ormian, Żydów i Ukraińców. Nie bratano się ani nie żeniono między sobą. Każda narodowość miała swoje kościoły i własne obrządki.

Dzieci różnych narodowości chodziły jednak ze sobą do tych samych szkół, handlowano między sobą i czasami wdawano się w burzliwe dyskusje, choć pewnych tematów nigdy nie poruszano. Mniejszość polska zdecydowanie przewyższała Ukraińców czy Czechów, jeśli chodzi o zamożność i sposób zarządzania swoimi gospodarstwami, miała też dużo wyższe dochody.

Oboje, Władysław i Konstancja, tak jak ich rodzice urodzili się na drogim ich sercu Wołyniu i nie znali innej ojczyzny. Mogli czuć się jak u siebie – byli Polakami mieszkającymi na terytorium, które po wojnie Polski z bolszewikami od 1920 roku formalnie należało do Drugiej Rzeczypospolitej.

Czy w codziennych sąsiedzkich kontaktach babka i dziadek wyczuwali skrywaną złość, narastającą gorycz drzemającą w Ukraińcach, od czasu kiedy Wołyń zaanektowany został przez Rzeczpospolitą i oddzielony od kontrolowanej przez ZSRR Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej?

Nigdy się tego nie dowiem.

Dopóki Armia Czerwona nie wkroczyła na Wołyń jesienią 1939 roku, życie wydawało się pełne trudów, lecz wiedzione według boskich przykazań zwykle okazywało się sprawiedliwe. Ziemia wydawała obfite plony, nagradzając tych, którzy wystarczająco ciężko pracowali.

Ale w pewnym momencie wszystkie procesy sterujące ich życiem

przestały być zrozumiałe i przewidywalne. Wojna wywróciła wszystko do góry nogami.

Moja matka

Zawsze powtarzała jak mantrę, że kocha Mazury. „Usiąść tak nad jeziorem, patrzeć na wodę, nie robić nic więcej...”. Taki był początek tej opowieści. Po pierwszym zdaniu zaczynała się znana mi od najwcześniejszego dzieciństwa skarga: nigdy nie dorobiła się własnego domku z ogródkiem gdzieś w pobliżu wody. Nawet gdy mieszkała i pracowała w Olsztynie i okolicach, nie mogła się cieszyć bliskością ukochanych jezior, bo najpierw musiała opiekować się młodszym bratem, który sprawiał jej mnóstwo kłopotów, potem zaś własnymi dziećmi. Była sama, zawsze sama – niby mężatka, a bardziej jak wdowa, ciągle bez mężczyzny u boku.

„Waszego ojca zawsze tylko wojsko interesowało. Nigdy go nie było, a jak przychodziło lato i człowiek chciał posiedzieć nad wodą, pozbiierać jagody czy grzyby w lesie, to on mówił, że dość się napatrzył na przyrodę na poligonie i chce zostać w mieście. Nienawidził lasu, nienawidził wody... Więc sama z dzieckiem jeździłam. Dziwili się ludzie, że taka ładna kobieta jest ciągle bez męża. A byłam naprawdę zgrabna, zadbana, niczego sobie. Umiałam się dobrze ubrać, szyłam sobie sama garsonki i sukienki, tak taniej wychodziło. No ale co, jak łuszczycy nie pozwalała mi nawet pokazać kolana czy łokcia! Upał taki, a ja nie mogłam w kostiumie kąpielowym zaprezentować się na plaży...”

Tak lamentowała nad swoim losem dzień w dzień, z wiecznie przyklejonym do kącika ust papierosem. Stojąc nad garnkiem zupy albo skwierczącą patelnią, w wąskiej jak tramwaj kuchni naszego mieszkania w bloku przy Złotej Wilgi, podparta jedną ręką pod bok, drugą mieszała potrawy i mówiła, mówiła, byle tylko mówić. Otworzyć do kogoś usta. Nie było nikogo, kto chciałby tego słuchać, nie miała żadnej znajomej, nikogo bliskiego, zostawałam tylko ja.

Wracałam ze szkoły i siadałam przy nakrytym kraciastą ceratą kuchennym stole, ustawionym naprzeciwko otwartych na przedpokój drzwi, i czekałam na jedzenie. Matka *musiała* mnie nakarmić, inaczej nie zaznałaby spokoju. Karmiła ojca, karmiła mnie, tuczyła psa. Wszyscy oprócz niej byliśmy grubi i nieustannie przejedzeni. Wciskała nam swoje

tuczące zupy, tłuste sosy i smażone mięso z taką determinacją, jakby tylko przekarmienie mogło ją przekonać, że spełniła swój obowiązek matki, żony, niepracującej gospodyni domowej. Jak powtarzała, jedzenie jest najważniejsze. Ten, kto zaznał głodu w czasie wojny, zawsze będzie o tym pamiętał.

A więc szykowała codziennie kilkudaniowe obiady, kolacje, śniadania, wypełniając puste godziny pracą w kuchni. Nie słuchała radia, telewizję oglądała tylko wieczorami, z nikim – poza mną – nie rozmawiała i nieustannie skarżyła się na samotność. Od czasu do czasu wpadała do niej na plotki sąsiadka z przeciwka, ale jej wizyty wytrącały tylko matkę z równowagi. Nikt jej nie rozumiał, nikt nie był w stanie należycie jej współczuć i wyrazić ubolewania z powodu licznych schorzeń, na jakie cierpiała.

Tego właśnie oczekiwała – wysłuchania skargi na jej dolegliwości i wyrażenia na odpowiednim poziomie egzaltacji współczucia i podziwu, że znosi tak ciężkie życiowe przeszkody. Mało kto umiał odpowiednio się nad nią uzalić. Zostawałam tylko ja, kilkunastoletnia dziewczynka, która jako bierny słuchacz przyswajała codzienną dawkę żalu i utyskiwań na ojca, na jego wady, złe nawyki, zmarnowane szanse, niezaradność i despotyzm.

„Ona musi mieć wroga, a ja jestem pod ręką” – mawiał ojciec, zdając sobie sprawę, iż matka ma do niego żal o to niespełnione życie. Po powrocie z pracy w sztabie generalnym zjadał obiad, czytał gazetę i jeśli tylko mógł, wychodził z domu. Ruszał w rajd po aptekach (recept na relanium nie można było zrealizować w jednej aptece, trzeba było w przemyślny sposób kupować lekarstwo w różnych miejscach), podwoził mnie na dodatkowe lekcje i mnie z nich odwoził, robił zakupy, podejmował się nawet tak karkołomnych zadań jak kupno dla matki jakiejś potrzebnej jej rzeczy, na przykład beretu.

Kierując się jej skomplikowanymi instrukcjami, kilkakrotnie kupował, przywoził do domu wybrany towar i zaraz po tym, jak matka ze skwaszoną miną skrytykowała wybór, spokojnie odwoził go z powrotem do sklepu. Uprzedzał zapewne sprzedawczynię, że wróci i odda kupiony przedmiot.

Kiedy dzisiaj odtwarzam obraz rodziców, wiem, że stanowili

kompletnie niedobraną parę – zarówno fizycznie, jak i charakterologicznie. On wysoki, gruby, z wielkim brzuchem i malującym się na rumianej twarzy poczuciem zadowolenia z siebie. Ona drobna, sięgająca mu do ramienia, wysuszona, z wiecznym grymasem na pomarszczonej twarzy.

Na myśl przychodzą mi Frida Kahlo i Diego Rivera, oni także wyglądali razem kuriozalnie, wręcz groteskowo. Ale w przeciwieństwie do pary znanych artystów związek moich rodziców nie był oparty na namiętności. Nie było między nimi miłości, a tym, co ich łączyło, była udręka życia.

Bardzo często dochodziło między nimi do kłótni, spierali się o każdą drobnostkę. Matka czyniła ojcu ciągle te same wyrzuty – inni byli bardziej operatywni, umieli więcej zarobić, wykorzystać znajomości, załatwić sprzęt i meble do mieszkania, na których nabycie legalną drogą nie było szans. Najczęściej skakali sobie do gardeł o kwestie finansowe, a wówczas matka uderzała w wysokie tony. Zawsze czuła się poniżona, dramatycznym tonem przypominała, że jest chora i po dwudziestu latach pracy dostała od państwa głodową rentę.

„Halina, jaki z ciebie jest potworny człowiek... Jak się do czegoś przyczepisz, jak się na coś uprzesz, to nie masz litości. Wykończysz człowieka! Będiesz drażyć i drażyć każdą sprawę, doprowadzisz do tego, że kiedyś was zostawię. Wyjdę rano do pracy i nigdy więcej mnie nie zobaczycie!!!”. Ojciec często wytaczał jako ostateczny argument groźbę pozostawienia nas na pastwę losu i wtedy matka trochę spuszczała z tonu.

Mieszając w garnkach, serwowała mi dzień w dzień te same opowieści. Znałam je wszystkie na pamięć, ale to nie miało znaczenia. Chodziło tylko o poczucie, że z kimś się komunikuje. Czasami słuchałam po raz setny historii o życiu jej znajomych, koleżanek i członków rodziny, o ich spalonym domu na Wołyniu i o tym, jak cudem uniknęli rzezi, niekiedy zaś wyłączałam się i siedząc nad talerzem niesmakującego mi jedzenia, myślałam o swoich szkolnych sprawach.

Ani matce, ani tym bardziej ojcu nigdy o tym nie opowiadałam. Ojca – miałam wrażenie – niewiele to obchodziło, zawsze wydawało mi się, że jest mną rozczarowany i nigdy nie zdobędę w jego sercu takiego

miejsca, jakie zajmowała moja starsza siostra. Kiedy miała osiemnaście lat, wyjechała do Białegostoku na studia medyczne, tam wyszła za męża i została na zawsze, a ta rozłąka sprawiała, że oboje rodzice idealizowali ją i stawiali na piedestale, nieustannie wskazując mi starszą siostrę jako niedościgniony wzór.

Matce bałam się cokolwiek powiedzieć. Była podejrzliwa i w każdej sprawie dopatrywała się drugiego dna. Drażyla każdy temat i ilekroć wyjawiałam jakiś problem, nie dawała mi spokoju, domagając się nieustannie, abym postąpiła zgodnie z jej wskazówkami. Każdą drobnostkę rozdmuchiwała do niesłychanych rozmiarów, dlatego też większość swoich zmartwień i wątpliwości zatrzymywałam dla siebie.

Nieustannie coś mnie w niej denerwowało i odrzucało. Powtarzałam sobie w myślach, że zrobię wszystko, aby nie być kiedyś taka jak ona. Matka wyczuwała moją niechęć i starała się wzbudzić litość – ciągle źle się czuła, a ilekroć się z nią pokłóciłam, odgrywała scenę, w której bolało ją serce i podejrzewała nadchodzący zawał. Umierałam wówczas ze strachu, nie chcąc być odpowiedzialna za zgon własnej matki.

Kiedy opowiadała te swoje historyjki, a ja słuchałam – zwykle w milczeniu, czasami jedynie, gdy miałam zły nastrój, zadając pytania, które miały na celu wyszydzenie czy zakwestionowanie opowiadanych przez matkę ludzkich losów – byłyśmy ze sobą blisko. Najbliżej, jak było to możliwe. Zrozumiałam to wiele lat później, kiedy nie mieszkałam już w rodzinnym domu.

Nienawidziła jedzenia, które szykowała, a ja szczerze nie znosiłam go jeść. Gotowała ze świadomością krzywdy, ale wyniesione z domu poczucie obowiązku wobec męża zawsze wygrywało. Zachowywała się tak, jakby przeznaczeniem kobiety było służyć mężczyźnie i stawiać interes męża i dzieci ponad swoim. Cierpiętniczą rolę matki Polki wpoila też swoim córkom. Z obrzydzeniem malującym się na twarzy smażyła kotlety albo wlewała zasmażkę do i tak tłustego już mięsnego sosu, nieustannie opowiadając te swoje historie.

– Cały majątek spłonął! Wszystko przepadło, ta wielka gospodarka, nowy dom, olbrzymi sad... Gdyby ojciec nie zawinął najcenniejszych rzeczy w dywany, może coś by się uratowało. Potem

matka przez lata zadręczała go: „Czemuś ty, Władek, w skrzynię tego nie schował, wszyscy kufry zakopywali, tylko nie my”. No cóż. A tak to ogień strawił zakopane w ziemi beczki, a w nich te nieszczęsne dywany, kupowane od Ormian, bardzo wartościowe...

– Ważne, że się uratowali – wtrącałam.

– Ale wszystko stracili! Cały dorobek życia. Niczego nie mieli, z gołymi rękami przyjechali na Zamojszczyznę. Tam dostali jakiś opuszczony dom po Niemcach i zaczęli wszystko od nowa. Ale nigdy już nie dorobili się majątku. Ojciec codziennie powtarzał, że gdyby nie ukraińska swołocz, on ciągle byłby panem. Przecież tam wszystko było nasze, polskie! To Polacy byli jedyną inteligencją na wschodzie, większość ukraińskich chłopów to byli analfabeci. A mój ojciec, potomek szlachcica, co prawda skończył tylko siedem klas, ale tam, w kolonii Marusia, książki trzymał.

– A jakie książki?

– No, nie pamiętam... *Pan Tadeusz* był, no i Biblia. Kiedy przyjechaliśmy na wyzwolone tereny w Zamojskiem, ojciec żył tylko Wołyniem, ale nigdy nie chciał tam wrócić. I tak Ruscy niczego by mu nie oddali. Mnie tylko zastanawiało zawsze, czemu ci Ukraińcy byli tak głupi, że wszystkie polskie osady i wioski palili. Kościoły, obory, stodoły, wszystkie budynki puszczali z dymem. A sami żyli w potwornych warunkach, w takich chatach krytych słomą, ciemnych i brudnych, zawszonych. Dlaczego nie chcieli mieszkać w lepszych domach? – pytała matka i zaraz sama udzielała sobie odpowiedzi: – Chcieli po prostu zniszczyć wszystko, tak aby zniszczyć wszelkie ślady po Polakach. Tylko puste pola. Tyle tam teraz zostało po tych wszystkich wsiach...

Naprawdę? Tylko puste pola? Zastanawiam się, czy rzeczywiście tylko to tam zostało. Musi się czuć coś bardzo dziwnego, doniosłego w majestacie śmierci, która zebrała tak bogate żniwa.

W końcu przyszedł ten moment, kiedy wiedziałam, że muszę tam pojechać – stanąć na tamtej ziemi i po prostu być tam przez chwilę. Zobaczyć pejzaż wołyński, z jego pozorną prostotą – równymi pasami brunatnej ziemi, wysuszonych traw i bladego nieba, w jakiś sposób wpisać w ten obraz pamięć o ofiarach, które zaznały bestialstwa rzezi.

Jako młoda dziewczyna niejednokrotnie miałam już dość opowieści o Wołyniu, o katowanej siostrze dziadka i jej długim warkoczem, o spalonej kolonii, o dziadku, który wzbogacił się w Ameryce, jego dużo młodszej żonie, która nie była z nim szczęśliwa, o małym Tadziu, o okrutnych mordach i rzezi. Matka nie szczędziła szczegółów, bez oporu opowiadała o bestialstwie banderowców, o obcinaniu kobietom piersi i ranach posypywanych solą, rozrywanych ciałkach niemowląt, o wnętrznościach wyjmowanych z brzuchów małych dzieci i ich jelitach rozwieszonych na płocie, na którym pisano „Polska szeroka od Tatr do morza”.

Gdy byłam mała, te historie zbyt do mnie nie docierały. Musiały minąć lata, by w trakcie jedzenia serwowanej przez matkę fasolki szparagowej z prażoną na maśle bułką albo pierogów z kapustą pojawił się nieoczekiwany przeblask myśli: kiedyś to opiszę.

Te chwile, kiedy ona mówiła, a ja słuchałam, były najlepszymi momentami, jakie dane nam było spędzić razem. Koloryzowała, wyolbrzymiała i przeinaczała fakty – muszę mieć to na uwadze, pisząc tę powieść. Jednak te utrwalone w mojej pamięci opowieści matki stanowią jedyne źródło wiedzy na temat rodzinnej historii. Od dawna nie żyje już nikt, kto mógłby cokolwiek powiedzieć na ten temat. I dzięki tym snutym w kuchni opowieściom mogę podjąć próbę odtworzenia historii mojej rodziny z Wołynia.

Z łatwością odtwarzam sobie w myślach głos matki, jej intonację, po prostu słyszę te historie, całe zdania wypowiedane nad parującym garem zawieszistego krupniku, którego szczerze nienawidziłam.

Pamiętam za to smak gotowanych przez nią pierogów z kapustą i grzybami, chociaż mimo wielokrotnych prób nie jestem w stanie go odtworzyć. Ponoć dokładnie takie jadano w Kolonii Marusia. Były słodkawe, nieco mdłe, a jednak tak dobre, iż określiłabym je jako najwspanialszą z potraw, jakie dane mi było kiedykolwiek jeść. Tę jedną rzecz matka gotowała jak mistrzyni. Tłumaczyła, że sekretem jej farszu jest kapusta, która musiała być gotowana przez wiele godzin. Teraz wiem, że musiało być w jej przepisie coś jeszcze, coś, czego nie umiem w żaden sposób odszyfrować – moje pierogi nigdy nie smakują tak dobrze.

Kuchnia matki była okropna – tłusta, ciężka, pozbawiona przypraw, przesolona i oparta prawie wyłącznie na produktach mięsnych. Tak się ponoć jadło na Wołyniu i tak gotować nauczyła moją matkę jej matka – babcia Konstancja, której właściwie nie znałam. Widziałam ją zaledwie kilka razy, zanim zmarła w 1983 roku. Nie pamiętam, aby łączyła nas jakakolwiek nić porozumienia. Byłam dla niej kimś obcym, ona również nie przystawała do wizerunku ciepłej i czulej babci.

Moja matka była typem człowieka, którego nigdy nic nie jest w stanie w pełni zadowolić. Nie było prezentu, który mógłby wywołać szczery uśmiech zachwyty na jej twarzy, nie było informacji, która sprawiłaby jej wyłącznie radość. Nigdy nieopuszczający jej lęk przed szeroko pojętym nieszczęściem sprawiał, iż zawsze była czujna i gotowa na cios, który mógł spaść na nią w każdej chwili. To z kolei wywoływało nieufność i podejrzliwość wobec ludzi, których z założenia posądzała o chęć zrobienia jej krzywdy czy chociażby przykrości.

Cały wszechświat złośliwie działał na jej szkodę. Nigdy nie dostawała tego, co chciała, a gdy przypadkiem w jej życiu wydarzyło się coś pozytywnego, matka przeczuwała, że wkrótce przyjdzie jej za to słono zapłacić.

Ojciec heroicznie dźwigał swój krzyż. Wszyscy przecież współczuli mu tej wiecznie chorej, nieustannie narzekającej i rozgoryczonej żony. Służba w wojsku, które uutorowało mu ścieżkę kariery i było całym jego życiem, zapewniała mu ucieczkę. Ciągłe wyjazdy na poligony, wizytacje podległych jednostek wojskowych na terenie Warmii i Mazur, spotkania i narady w sztabie – wszystko to pozwalało mu prowadzić własne życie, w którym nie było miejsca na trudną żonę.

Poczucie jakiejś głęboko zakorzenionej w matce krzywdy nie dawało jej smakować życia. Nie rozumiałam tego. Ona sama też nie wiedziała, skąd się bierze ta nieustanna świadomość niespełnienia. Robiła wszystko, aby uciec od samej siebie, obwiniając zły los o to przepełnione goryczą życie.

A przecież obiektywnie wiodło jej się lepiej niż innym: miała dwie zdrowe córki, uczciwego męża, który był dla niej dobry, spore

mieszkanie. Dzieci nie były powodem do dumy, mąż wzbudzał w niej niechęć i odrazę, miejsca, w którym żyli, wprost nienawidziła.

Został żal, że jej edukacja zakończyła się na maturze (pod koniec lat pięćdziesiątych ukończyła zaoczne technikum w Gdańsku), że nigdy nie studiowała, choć jej marzeniem było zostać prawnikiem, że przestała pracować zawodowo, że zbyt szybko się postarzała, a jej uroda całkowicie przeminęła.

A przecież kiedyś nazywano ją Zośką Loren!

Owszem, w latach sześćdziesiątych trochę się na nią stylizowała: robiła czarną podłużną kreskę na powiece, czesała ciemne włosy w wysoki kok, nosiła klipsy podobne do tych, jakie widziała w którymś z włoskich filmów z Sophią, do tego wąskie spódnice do kolan i żakiety z zaokrąglonymi kołnierzykami.

Była szykowna i zgrabna. W pewnych okresach życia była kimś, kto się liczył. Po latach wypełnionych słabo płatną i nieciekawą pracą, wychowaniem małego dziecka, nieustającymi problemami finansowymi i chorobami (omal nie umarła z powodu niewykrytej przez lekarzy obumarłej ciąży, martwicy zębów, ostrej anemii i zapalenia trzustki) jej życie przybrało inny kierunek.

Przez jakiś czas wyjazdy męża były jej nawet na rękę. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych matka pracowała jako kierownik administracyjny w dużych zakładach mięsnych, z wielkim zaangażowaniem zarządzała dziesiątkami osób, kierowała ekipami robotników i pracowników biurowych. Cały dzień była zabiegana, nie miała czasu na jedzenie, tylko kawa za kawą, papieros za papierosem, a popołudniami ciągle jakieś hucznie obchodzone w zakładzie pracy imieniny. Wódka, nóżki w galarecie i goździki, życie miało swój smak.

Przez to wszystko dorobiła się wrzodów żołądka i uzależniła się od codziennych dawek alkoholu. Mietek tygodniami przebywał poza domem. Agata była już nastolatką, wiecznie naburmuszoną i zakompleksioną. Nie było jednak problemu z pozostawieniem jej samej w domu z zapasem przygotowanego wcześniej jedzenia. Dzięki temu matka mogła wieczorami spotykać się z pewnym zaopatrzeniowcem z biura, przystojnym rozwodnikiem, który namawiał ją nawet, aby rozstała się z Mietkiem i wyszła za niego.

Rozważyłaby tę propozycję, gdyby nie postawa córki, która stawiała się jej wrogiem. Zarzucała jej brak zainteresowania i poskarżyła się ojcu, gdy ten wracał ze służbowych wyjazdów, iż matki nigdy nie ma w domu, że jest zostawiana w domu sama na całe wieczory, nawet noce. Mietek zrobił żonie straszną awanturę, spoliczkował ją i nazwał pijaczką i kurwą.

Nie wiadomo, jak potoczyłoby się to małżeństwo, gdyby nie wrzód żołądka, który pękł i doprowadził do poważnych komplikacji. Po trzech tygodniach spędzonych w szpitalu Halina ukorzyła się przed mężem i córką. Pojednanie przypieczętował awans Mietka na dowódcę jednostki w małym miasteczku Biskupiec.

W kwietniu 1974 roku zaplanowana była przeprowadzka do nowego czteropokojowego mieszkania w Biskupcu, gdy Halina usłyszała od lekarza, że spodziewa się dziecka. Miała trzydzieści sześć lat i po przeżyciach sprzed kilku lat związanych z obumarłą ciążą i problemami, z jakimi później się borykała, była przekonana, że nie będzie już miała dzieci. Ale Mietek był zachwycony, nie podniosła więc nawet tematu aborcji.

Nie chciała znowu być matką, opiekować się niemowlakiem i na całe lata ograniczyć swoją wolność. Ale nie miała wyjścia. Postanowili, że poczekają z przeprowadzką, aż urodzi się dziecko. Gdy trzydziestego listopada, w imieniny Andrzeja, rozpoczął się poród, Halina i Mietek pomyśleli, że jeśli będzie to wymarzony chłopiec, nazwą go Andrzej.

Jednak życie znowu ją rozczarowało.

Po długim i trudnym porodzie siłami natury na świecie pojawiłam się ja.

Kolonia Marusia, luty 1940 roku

Cyryl dokładnie pamiętał ten dzień siedemnastego września 1939 roku. Akurat wraz z tatą jechał konno drogą łączącą Czaruków z Łuckiem, gdy spotkali wóz, na nim kolegę ze szkoły, chodzącego o klasę wyżej niż rozpoczynający naukę Ceniek. Powożący wozem ojciec kolegi przekazał im straszną wiadomość – do Polski wkroczyła Armia Czerwona, Lwów i Łuck już są zajęte przez Rosjan, którzy idą teraz na Włodzimierz.

– To już koniec Polski, synu, z jednej strony Niemcy, z drugiej Roskie... – powiedział mężczyzna, niemal płacząc.

Czym prędzej zawrócili z Władysławem do Kolonii Marusia przekazać potworną wiadomość. Matka zaniósła się płaczem.

– Co to będzie, co to będzie – zawodziła.

Ojciec szybko nastawił radio. Od przeszło dwóch tygodni każdego wieczoru u Błońskich gromadzili się niemal wszyscy mieszkańcy kolonii i słuchali wiadomości z frontu.

Tydzień później, gdy Błońscy wracali z kościoła w Skurczach, zobaczyli na własne oczy kolumnę rosyjskich żołnierzy. Mężczyźni i chłopcy stanowili przerażający widok – byli potwornie brudni, ubrani w łachmany, wynędzniali, karabiny wielu z nich miało przytroczone na sznurkach.

– Ależ cuchną – szepnęła z odrazą matka.

W Skurczach – dużej wsi, gdzie Ukraińcy stanowili większość – witano Rosjan kwiatami.

– Nu, widzisz, Kostunia? Już Ukraińce myślą, że niepodległą Ukrainę dostaną, a ja pewien, że Ruscy i tak tu socjalizm radziecki wprowadzą, nie żadne republiki. Na próżno i Żyd, i Ukrainiec teraz komunistów będą odgrywać. Posmotrisz... – westchnął Władysław, patrząc na to wszystko z nieskrywanym wstrętem.

Nazajutrz po zainstalowaniu się w Skurczach przedstawiciele NKWD pojawili się w kolonii Marusia. Cyryl nie poszedł tego dnia do szkoły, matka wolała zatrzymać go w domu. Jeździł konno po okolicznych polach, gdy nagle zobaczył, jak biegnie ku niemu Franka Minicka, starsza od niego o dwa lata dziewczynka z zasobnego

gospodarstwa w Kolonii Marusia, i krzyczy coś rozpaczliwie. Znał ją od dziecka i nigdy dotąd nie widział, aby Franka płakała. Mimo że to dziewczyna, była najbliższą mu osobą ze wszystkich dzieci, z którymi Cyryl spędzał czas. Tak jak on uwielbiała jeździć konno, polować, mogła całymi dniami – o ile zdołała uciec matce, która goniła ją do prac gospodarskich – włóczyć się po polach i lasach.

Cyryl zatrzymał konia, zeskoczył na ziemię i zapytał, co się stało. Dziewczynka z trudem powstrzymywała szloch. Opowiedziała, że przed godziną pod ich dom podjechał gazik NKWD z kilkoma uzbrojonymi w karabiny żołnierzami. Zabrali z domu ojca Franki, kazali mu założyć ręce za głowę i tak musiał stać z tyłu wozu, widoczny dla wszystkich z osady. Zabrano go ponoć do więzienia w Łucku.

Cyryl czym prędzej pognał do domu, przed którym stał już wojskowy rosyjski samochód i wokół kręcili się uzbrojeni Rosjanie. Kilku z nich wносиło do budynku jakieś pakunki, dwóch tachało biurko i stosy papierów. Komendant nadzorujący z ramienia NKWD całą gminę Czaruków zajmował dom Błońskich na swoje lokum. Przerażona rodzina została stłoczona w dwóch izbach, podczas gdy sypialnię, salon i inne pomieszczenia przejęli Rosjanie.

Konstancja nie mogła przestać rozpaczać, zwłaszcza gdy zobaczyła, jak jakiś obdarty sowiecki żołnierz wyrzuca przez okno obraz przedstawiający świętego Jana błogosławiącego grupkę pastuszków, który wisiał nad ich łóżem małżeńskim.

– Co za hołota! Swołocz! – dogadywała, aż Władysław musiał przywołać ją do porządku.

– Kostunia! Opanuj się! Chcesz do więzienia trafić jak Minicki?

Chcieli żyć, więc musieli się dostosować do sytuacji, oddać radio, rower i w ramach kontrybucji przekazywać władzy sowieckiej znaczną część dochodów oraz dóbr, jakie wytwarzali w gospodarstwie.

Dookoła szerzyła się propaganda komunistyczna. Rosjanie zwoływali okolicznych gospodarzy na spotkania, gdzie nakłaniali ich do założenia kołchozu i dobrowolnego przyjęcia zasad gospodarki socjalistycznej. Nikt z Polaków nie kwapił się, aby odrzucić własność i pracować na wspólne dobro, Rosjanie uprzykrzali więc im życie, jak tylko mogli.

Władysław miał szczęście, bo jego syn był jeszcze za młody na powołanie do Armii Czerwonej, podczas gdy wielu młodych chłopców na siłę wcielano do wojska i wysyłano na front. Bogatszych gospodarzy – tak jak ojca Franki – wsadzano do więzień, aby pokazać polskim kułakom, że mają mieć się na baczności.

Konstancji zdawało się, że codzienność nie może być bardziej przygnębiająca, zwłaszcza po tym, jak stacjonujący w ich domu rosyjscy oficerowie niemal co wieczór plądrowali ich zapasy i upijali się do nieprzytomności. Nawet nie podejrzewała, jak wielkie czai się niebezpieczeństwo.

– Zawsze mogło być gorzej, Kostunia – powtarzał jej Władysław, gdy w nocy płakała z wściekłości, nie mogąc znieść tego, iż rosyjski enkawudzista niszczy jej mienie, wymiotuje na jej drogocenne dywany i bezczęści Matkę Boską, sikając na jej wizerunek.

Władek miał jednak rację i gdyby nie opatrność boska – jak później zawsze podkreślała Konstancja – skończyliby wszyscy w syberyjskiej wiosce, o ile w ogóle byliby w stanie przeżyć podróż w trzaskającym mrozie i na miejscu nie umarliby z głodu.

Cyryl był bystrym chłopcem, który mimo młodego wieku interesował się wszystkim, co dzieje się dookoła. Rosjanie nie zwracali uwagi na dzieciaka, który cichutko podchodził do pieca w największej izbie domu i dokładał doń węgla. Nie przerywali nawet rozmów, traktowali go jak niewidzialnego. A on słyszał bardzo dużo, co więcej, znał rosyjski i rozumiał, co mówią.

Kiedy w grudniu, tuż przed świętami, chłopiec podsłuchiwał, że Rosjanie przygotowują listę nazwisk rodzin wytypowanych na zsyłkę, zachował zimną krew. Z bijącym sercem, skupiony na tym, aby nie dać po sobie poznać, że cokolwiek rozumie, spokojnie dokładał węgla, cały czas uważnie słuchając. Gdy usłyszał własne nazwisko, krew uderzyła mu do twarzy. Zanotował w myślach wszystkie usłyszane nazwiska, wśród których było też nazwisko Franki. Wstrząsnęła nim myśl, iż tak bliska mu towarzysza zabaw zostanie wywieziona na Sybir, gdzie prawdopodobnie nie przetrwa chłodu, głodu i chorób, jakie czekają zesłańców.

Wiedział, że musi jak najszybciej zawiadomić rodziców, ale też

przekazać potworną wiadomość France. Mimo że serce waliło mu jak młot, w skupieniu, starając się nie zwracać na siebie uwagi, opuścił salon, w którym rozlokowali się najważniejsi rangą Rosjanie. Zamknął za sobą drzwi i wybiegł na podwórze, szukając ojca. Znalazł go w stajni i szeptem powtórzył to, co usłyszał. Ojciec nie miał wątpliwości, że syn mówi prawdę. Świadomość realnego zagrożenia kazała mu natychmiast działać. Prosił, aby Ceniek nie opuszczał domu, tylko zamknął się w pokoju razem z Halinką, ale ten musiał choć na moment zobaczyć się z Franką. Co sił w nogach pobiegł pod jej dom, mimo że na dworze szalała śnieżycy i był dwudziestostopniowy mróz.

Matka Franki z niemowlęciem przy piersi wyglądała jak zdjęta z krzyża. Jej mąż gnił w rosyjskim więzieniu i gdyby nie pomoc sąsiadów, trójka ich dzieci zmarłaby z głodu. Cyryl nie odważył się przekazać jej złych wiadomości, powiedział wszystko dziewczynce, którą przekonywał, że Miniccy muszą uciekać.

Ale dokąd mogła uciec samotna kobieta z trójką dzieci? Za namową Franki jej matka przygotowała worek sucharów i spakowała ciepłe rzeczy dla siebie i dzieci; może dzięki temu zdołali wszyscy przetrwać długą drogę do Archangielska.

Cyryl i jego rodzina mieli więcej szczęścia niż Miniccy i wiele innych polskich rodzin.

Kilka dni po tym, jak chłopiec przekazał France informację o wywózce, o świcie zbudziło go wycie psów i pokrzykiwania żołdatów. Wstał z łóżka, w którym spał razem z ojcem, podbiegł do okna i zaczął nasłuchiwać. Czuł, że ta wywózka pod osłoną nocy zabrała mu przyjaciółkę i że nigdy już jej nie zobaczy. Przez wiele kolejnych dni bardzo cierpiał i gryzły go wyrzuty sumienia.

Nigdy się nie dowiedział, jak potoczyły się jej losy po wojnie. W marcu na Wołyń dotarły pierwsze listy pisane przez tych, którym udało się dotrzeć na Sybir. Proszono o przesłanie im paczek z suchym prowiantem i ciepłymi ubraniami. W całej gminie zbierano niezbędne rzeczy i nadawano przesyłki. Matka Franki donosiła, że najmłodsze dziecko rozchorowało się podczas podróży wyziębionym pociągiem i nie wiadomo, czy przeżyje, ale reszta, w tym jej mąż, dotarła na miejsce. Franka przesłała Cyrylowi karteczkę ze słowami: „Kiedy będzie wiosna

i będziesz jeździł do lasu, wspomnij czasem swoją towarzyszkę.
Żegnaj”.

Olsztyn, marzec 1958 roku

Halina czuje, że za chwilę nie wytrzyma. Od dwudziestu minut niesie na rękach zawinięte w gruby pled dziecko. Uciekł jej trolejbus, a nie chciała czekać na kolejny w obawie przed spóźnieniem się do pracy. W tym miesiącu to byłoby już trzeci raz i kierownik potrąciłby jej premię, a pieniądze były im bardzo potrzebne. Sam opał kosztował majątek. Ich kawalerka w starej kamienicy była pełna wilgoci i nigdy nie dawało się wystarczająco jej ogrzać. A przecież wojsko miało dać Mietkowi przydział na mieszkanie w nowym budownictwie...

Zacina deszcz ze śniegiem i wieje wiatr. Zimno przenika do kości. Halina resztką sił przyspiesza kroku, budynek żłobka jest tuż za rogiem. Niemal dwuletnia Agatka waży zadziwiająco dużo, a może to Halina – taka wychudzona, osłabiona po niedawno przebytej grypie – jest na skraju wyczerpania.

Wciąż na coś choruje. Zaczęło się zaraz po urodzeniu dziecka, kiedy miała ciągłe problemy ginekologiczne, krwotoki, okropny ból przy stosunku. Trochę to trwało, ale Mietek w końcu się zniechęcił i dał jej spokój w nocy. Zresztą spali na rozkładanej wersalce, a tuż obok stało dziecięce łóżeczko. Jakoś tak przy córce robić tego nie wypadało.

Agatka jest śliczną zdrową dziewczynką, a jednak opieka nad nią wydaje się Halinie większym ciężarem niż praca przy żniwach albo ciągłe pilnowanie Janka, przez którego nie mogła mieć normalnego dzieciństwa.

Od kilkunastu miesięcy Halina czuje się zupełnie pozbawiona sił, jakby opanowała ją jakaś tajemnicza czarna niemoc. Nie rozumie, co się z nią dzieje, zawsze przecież była taka wesoła, śmiała się z koleżankami z byle czego, było w niej tyle radości. Tylko w domu przytłaczała ją atmosfera wiecznej trwogi i ten nigdy nieukojonny żal za tym, co stracili na Wołyniu, ale kiedy była wśród rówieśniczek, razem umiały cieszyć się byle czym. Głównym źródłem ich radości byli chłopcy uderzający w zaloty. Dziewczęta kpiły sobie z nich, umawiały się z kilkoma naraz na randkę, a potem jeździły trolejbusem i oglądały sobie stojących we wskazanych miejscach w różnych punktach miasta absztyfikantów.

Wydawało jej się, że kiedy w końcu wyrwie się z domu, życie

będzie wreszcie wspaniałe. Jej marzenia były szyte na miarę – w kraju była bieda, nikt nie miał pieniędzy, małżeństwo i wspólne życie z dwóch pensji było racjonalnym wyborem. Tak to wytłumaczyła Mietkowi. Wybrała właśnie jego spośród wielu adoratorów, gdyż uznała, że to on ma najlepsze perspektywy na lepszy los.

Mietek bał się ślubu kościelnego, tego, że ktoś go zadenuncjuje i będzie miał nieprzyjemności. Wzięli więc skromny ślub w urzędzie stanu cywilnego, nie było żadnego wesela, jedynie skromny obiad w domu Haliny dla młodych i ich świadków. Ona miała zaledwie dziewiętnaście lat, on dwadzieścia.

Z rodziny Mietka z Chęcin przyjechał tylko jego ojciec. Przed salą, gdzie udzielano ślubów, wyjął z kieszeni spodni zawinięte w chustkę obrączki i zapytał, czy są potrzebne. Mietek pokręcił głową i powiedział, że pożyczył pieniądze od kolegów i kupił już obrączki. Jego ojciec z wyraźną ulgą zawinął przywiezione złoto w chustkę i szybko je schował.

Kilka tygodni po ślubie Halina zaszła w ciążę. Na szczęście niewiele przytyła i kiedy cztery miesiące po zawarciu małżeństwa w urzędzie Mietek odważył się na ślub w kościele, Halina mogła włożyć piękną białą suknię i nikt się nawet nie domyślił, że w brzuchu nosi już dziecko. Wspaniale się prezentowali na ślubnych fotografiach. Oboje tacy młodzi i urodziwi. Ona w aksamitnej sukni przybranej bukietem kwiatów, z ponaddwumetrowym welonem, on dostojny w galowym mundurze.

Wspólne życie okazało się zupełnie inne, niż Halina sobie wyobrażała. Nie mieli prawie nic, ledwie skompletowali kilka mebli, którymi wypełnili ponurą kawalerkę w dziewiętnastowiecznej pruskiej kamienicy z kafłowym piecem, bez łazienki i centralnego ogrzewania. Tydzień po ślubie Mietek wyjechał na poligon. Wracał na kilka tygodni i znowu Ludowe Wojsko Polskie wysyłało go na kolejne ćwiczenia.

Halina pracowała od ósmej do szesnastej jako urzędniczka w zakładach mięsnych, gdzie głównie przepisywała korespondencję kierownictwa na maszynie. Skrupulatnie wypełniała obowiązki żony, gotowała zupy z mięsną wkładką dla Mietka, prała ich rzeczy

w ustawianej w kuchni balii, dbała o czystość ich mieszkanka. Jej myśli całkowicie pochłaniała wyprawka dla dziecka, zdobycie łóżeczka i wózka. Wtedy jeszcze nie było z nią aż tak źle.

Czasem myślała, że może jest za młoda na to wszystko. Nie ma nawet skończonych dwudziestu lat. Może nie trzeba było tak się spieszyć?

Kiedy w kwietniu na świat przyszła ich córka, z Haliną stało się coś niedobrego. Poród był długi i trudny, niewiele brakowało, a lekarz musiałby użyć kleszczy. Po tym wszystkim Halina nie mogła dojść do siebie, ciągle źle się czuła i nie miała siły zająć się niemowlakiem. Drażnił ją piskliwy płacz dziecka, czuła strach przed dotknięciem tej drobnej obcej istoty. Wielokrotne próby przystawienia Agatki do piersi nic nie dały. Halina nie miała pokarmu.

Wytłumaczyła sobie, że jest po prostu chora, bardzo chora. Jedynym wyjaśnieniem było krwawienie z dróg rodnych i to przez nie leżała całymi dniami na wersalce. Niemowlę nieustannie płakało, a wiosną 1956 roku przyszła wyjątkowo późno. W dodatku Mietek wyjechał na trzy miesiące na poligon, gdy córka miała zaledwie trzy tygodnie.

Konstancja przyjeżdżała dzień w dzień z drugiego końca miasta, aby pomóc przy wnuczce. Złościło ją to, że Halina nie radzi sobie z dzieckiem, że wymyśla choroby.

– Weź się w garść! Cóż z tego, że twój mąż wyjechał? A ile kobiet w czasie wojny nie miało koło siebie chłopca i jakoś dawały sobie radę z domem, z dziećmi i z gospodarką! Twój Mietek przynajmniej wróci, a ile takich było, które na próżno czekały i na zawsze zostały same! – przemawiała córce do rozumu.

Najgorsze były jednak koszmarne sny, które zaczęły nawiedzać Halinę już w okresie ciąży. Bała się, że to jakiś zły omen, że dziecko urodzi się ułomne albo chore. Na szczęście tak się nie stało, jednak po porodzie złe sny zdarzały się jeszcze częściej.

Powracał nieustannie jeden obraz w kilku wariantach. Halina szła wśród zgliszcz po jakiejś wypalanej, jeszcze dymiącej miejscami ziemi. Zbliżała się do nadpalonych zabudowań, skupiska drewnianych domów, z których unosił się dym. Z każdym krokiem narastały w niej niepokój

i poczucie grozy, a mimo to szła dalej. Gdy przybliżyła się do osady, pomiędzy kępami nadpalonej trawy zauważyła leżące twarzą do ziemi ciało małej dziewczynki. Miała nie więcej niż dziesięć lat. Halina zrobiła kolejny krok i jej wzrok natrafił na małe ciało półtorarocznego czy może dwuletniego dziecka, chłopczyka o zakrwawionej buzi leżącego na wznak z rozłożonymi rączkami. Spojrzała w dal i nagle serce podeszło jej do gardła: wszędzie, gdzie padał jej wzrok, leżały trupy dzieci i kobiet. Niektóre potwornie zbezczeszczone, z odrąbanymi rękami i nogami, niektóre pozbawione głów, z wyłupanymi oczami, z porozrywaniem brzuchami, z których wywleczono serpentyny jelit i trzewi.

W pewnym momencie we śnie zaczynała potwornie, z całych sił krzyczeć i wtedy budziła się zlaną potem i przerażona. Budziła też Agatę, która kwiliła i trzeba było ją czym prędzej wziąć na ręce. Oślizgła groza snu przez długie godziny nie dawała Halinie zasnąć.

Przez ten koszmar bała się wieczorami kłaść spać. Wydawało jej się, że w końcu ten sen ją pochłonie, unicestwi; że kiedy będzie chodziła między trupami dzieci, nie wytrzyma tego wszystkiego i serce po prostu jej pęknie, i już nigdy nie opuści tego snu.

Nie rozumiała, dlaczego jej umysł produkuje tak przerażające obrazy. Sądziła, że za dużo się naoglądała filmów wojennych w kinie, do którego lubiła chodzić. Ciągłe puszczano radzieckie dramaty, w których nieszczęsne żołnierki topiły się w bagnach albo wtrąceni do obozów ludzie umierali z głodu i wycieńczenia.

Któregoś dnia opowiedziała matce o tym potwornym śnie.

– To nie żadne filmy ci się śnią, tylko to, co na własne oczy widziałaś na Wołyniu – odparła Konstancja.

– Jak to? Przecież ja prawie nic nie pamiętam, czasami nasz dom mi się przypomina, jak zbierałam poziomki w lesie, jak ojciec sadzał mnie na kolanach i obierał gruszkę. Przecież miałam zaledwie sześć lat, kiedy...

– Widziałaś to wszystko, widziałaś! – powiedziała twardo Konstancja, jakby chciała pozbawić córkę złudnej nadziei. – Mała byłaś, ale przecież to wszystko się działo na naszych oczach, te mordy, paleni żywcem ludzie, puszczane z dymem wsie. Tak było. I tego się nigdy nie

da zapomnieć. Musisz z tym żyć, jak każdy, komu udało się uciec ukraińskim mordercom!

Kiedy Halina wyleczyła swoje kobiece dolegliwości, problemy ze snem stały się jeszcze dotkliwsze. Zrobiła się bardzo nerwowa, każda najdrobniejsza rzecz wyprawiała ją z równowagi. Przeszła małą na butelkę, sama paliła papierosa za papierosem. Liczyła na to, że jeśli wróci do biura i odda córkę do żłobka, wszystko wróci do normy.

Ale nie wróciło.

W końcu poszła do lekarza z prośbą o pomoc. Ten wysłuchał jej i z miną wyrażającą lekceważenie powiedział, że przecież wszyscy zmagają się z pamięcią po okropieństwach wojny, nie ona jedna widziała straszne rzeczy. Ważne, że udało się jej przetrwać. Ale zlitował się nad Haliną i przepisał jej jakieś pastylki, po których szybko zasypiała, a rano nie pamiętała już snów. Te tabletki były dla niej niczym koło ratunkowe rzucone tonącemu w ostatniej chwili. Wkrótce brała je nie tylko przed zaśnięciem, ale też w ciągu dnia, kiedy denerwowała się czymś w pracy albo nie radziła sobie z dzieckiem, które po powrocie ze żłobka było marudne i płaczliwe.

Nikt jej nie ostrzegł, że relanium to silny środek uzależniający, od którego będzie się jej bardzo ciężko uwolnić.

Nie przestała go brać do końca życia.

Kolonia Marusia, wrzesień 1942 roku

Nastały pierwsze jesienne słoty i jak co roku o tej porze zaczęto przygotowania do zimy. Dom wypełniała słodkawa woń dorodnych jabłek, których czubate kosze stały w sieni, w kuchni, a nawet w kącie pokoju gościnnego. Konstancja od dwóch dni smażyła konfitury, nadzorowała przychodzące do pomocy dziewczki, które drylowały śliwki i przygotowywały sznurki grzybów do suszenia.

Pięcioletnia Halinka siedziała z pracującymi dziewczętami przy wielkim kuchennym stole i pomagała przy czyszczeniu prawdziwków z pobliskiego lasu, których dwa wielkie kosze przesłał poprzedniego dnia szwagier Władysław.

Konstancja uwijała się jak w ukropie. Robota paliła się jej w rękach, dzięki czemu nie miała czasu się martwić ani myśleć o zgryzotach, których ciężar stawał się coraz trudniejszy do udźwignięcia. Spojrzała na córkę, śliczną jak lalka i podobną bardziej do matki niż ojca. Syn wyglądał jak skóra zdarta z Władka i był tak samo uparty jak ojciec. Teraz obaj pojechali do Łucka na targ, sprzedać żrebaka. Za pieniądze z transakcji Władysław obiecał kupić dzieciom nowe palta i buty na zimę.

W tym roku już nie przyjedzie do ich domu krawiec Lippman, który od dziewięciu lat każdej jesieni pojawiał się ze swoim wozem, z próbkami materiałów i futer, zdejmował miarę ze wszystkich członków rodziny Błońskich, a potem szył albo przerabiał zimową odzież. Halinka bardzo się bała starego Żyda, chowała się przed nim pod łóżkiem i siłą musieli ją stamtąd wyciągać. W żaden sposób nie można jej było przekonać, aby nie bała się tego pana z pejsami w dziwnej czapce. Krawiec Lippman częstował małą cukierkami, tłumaczył, że sam ma piątkę dzieci i córkę w jej wieku, ale Halina nie przestawała się trząść na jego widok. Nasłuchiwała się od dzieciaków opowieści o tym, jak Żydzi chrześcijańską krew do macy dodają, i bardziej przerażał ją Żyd w chałacie niż Niemiec w mundurze.

Ale Lippman już nigdy nie przyjedzie... Najpierw i on, i jego wielodzietna rodzina trafili do getta w Łucku, a latem wszyscy zginęli, zastrzeleni – jak tysiące innych Żydów – przez hitlerowców

i pomagających im w likwidacji Żydów, członków Ukraińskiej Policji Pomocniczej.

Pewnej nocy, już po tym, jak zlikwidowano getta we wszystkich miejscowościach, przy ziemiance, w której trzymano ziemniaki, samogon i różne produkty żywnościowe, pojawił się młody Żyd. Kucał nieopodal wejścia i gdy szeptem zaczął coś mówić do wracającej z obory Konstancji, tak ją wystraszył, że omal nie krzyknęła i nie zdradziła uciekiniera. Chaim – bo tak się nazywał – cudem uratował się z włodzimierskiego getta i teraz ukrywał się w okolicznych lasach wraz ze swoją młodszą siostrą. Ich rodziców i resztę rodzeństwa rozstrzelano. Nie mieli nic poza tym, co Chaimowi udało się zebrać w lesie, a dziewczyna ciągle płakała z głodu i zimna. Poza tym zaczęła kaszleć i brat chciał zdobyć dla niej jakieś pożywienie.

Konstancja, nie chcąc niepokoić Władysława, nic mu nie powiedziała o nocnej wizycie. Pomaganie ukrywającym się Żydom było ryzykowne, ale przecież nie mogła odmówić jedzenia komuś tak wychudzonemu. Dała chłopakowi worek kaszy, chleb i słoninę, a nawet koc dla siostry. Twarz Chaima przez kolejne dni co rusz stawała jej przed oczami. Przejęty wzrok, ciemny zarost na ślicznej twarzy mężczyzny nie dawały o sobie zapomnieć.

Chaim przychodził jeszcze kilka razy. Kiedyś wziął ze sobą siostrę, która sprawiała wrażenie bardzo chorej. Kaszłała i miała gorączkę. Konstancja dała jej znalezioną w kredensie butelkę syropu, podała lekarstwo przeciwgorączkowe i napiła ciepłym mlekiem z masłem i czosnkiem. Dziewczyna była wychudzona i bardzo słaba, a Chaim we wzruszający sposób się nią opiekował.

Jakiś czas później Konstancja dowiedziała się, że wykryto w lesie kryjówkę młodych Żydów i oboje zostali zastrzeleni przez Niemca. Ta informacja do głębi nią wstrząsnęła. Twarz Chaima nawiedzała ją co noc. Nigdy o nim nie zapomniała, tak jak o nauczycielu poecie, który – jak miała nadzieję – wciąż jeszcze żył.

Konstancja nie mogła wprost pojąć, jak niedojrzałą trzpiotką była przed wojną. Miała zasobny dom, młodość, urodę, zdrowe dzieci, a mimo to ciągle bujała w obłokach, ciągle żaliła się na swój los, na starszego męża, który nie chciał chodzić na tańce. Wydawał się jej

odstręczający. W łóżku ledwie go tolerowała, nie okazywała żadnych uczuć, dając mu do zrozumienia, że nie robi nic ponad to, co musi, aby wypełnić obowiązek małżeński. Nieustannie marzyła o młodym wesołym chłopcu, który porwałby ją w objęcia i ruszył do skoczego oberka.

Taka była jeszcze przed kilkoma laty. Często się zastanawiała, czy Bóg nie ukarze jej za ten grzech pychy. Teraz lękała się kary za swoje głupie marzenia. Czym były dzisiaj, gdy jej dzieciom groził głód, a może nawet i śmierć?

Dopiero teraz, w czasie wojny, doceniła zaradność i towarzyskie usposobienie Władysława, który zawsze myślał bardzo rozsądnie, uspokajał ją i nawet w najgorszych momentach umiał zachować zimną krew. Nawet wtedy, gdy w lutym 1940 roku dowództwo batalionu Armii Czerwonej, która zajęła Wołyń, wybrało na swoją tymczasową kwaterę właśnie dom Błońskich.

Ich rodzinie pozwolono korzystać z dwóch izb, resztę zajęli żołdaci. Każdego wieczoru brali, co chcieli, z dobrze zaopatrzonej na zimę spiżarni i przy akompaniamencie harmonii urządzali głośne popijawy do białego rana.

Najgorsze jednak miało nadejść: któregoś dnia Cyryl, który przynosił drwa do pieców, podsłuchiwał rozmowę rosyjskiego oficera z sekretarzem o kułakach wytypowanych do zsyłki na Sybir. Błońscy również znajdowali się na tej liście. Chłopak szybko powtórzył to, co usłyszał, rodzicom. Wówczas Władysław wykazał się wyjątkową zaradnością. Po wysłuchaniu relacji syna natychmiast zadysponował:

– Kostunia, dawaj no na stół biały obrus, najlepszą wódkę, twoje kwaszone ogórki, słoninę, szynkę i kiełbasy. Zapraszamy Rusków na ucztę!

Konstancja czym prędzej spełniła prośbę męża, a kiedy stół już ugiął się od jedzenia, Władysław – wylewny i nad wyraz serdeczny – zaprosił stacjonujących w ich domu wojskowych, aby przyszli skosztować wołyńskich przysmaków. Ochoczo dolewał im wódki, zabawiał anegdotami o swoim pobycie w Ameryce, aż pijani i weseli Rosjanie dali się uprosić, by wykreślić Błońskiego z listy kułaków.

Cena za uniknięcie Sybiru była ogromna. Władysław z ciężkim

sercem oddał Rosjanom dwie sztabki złota, przechowywane od czasu powrotu z Chicago, obligacje towarzystwa ubezpieczeniowego i tysiąc dolarów w gotówce. Konstancja oddała całą swoją biżuterię, w tym kilka złotych pierścionków i perły po niedawno zmarłej matce, kilka łańcuszków i kolczyki od Władysława. Nie pozwolono im zachować nawet ślubnych obrączek.

Ale rosyjski oficer dotrzymał słowa i na Sybir nie pojechali.

Z poczuciem triumfu, wdzięczności, ale też ze zgryzotą patrzyli później, jak z okolicy znikają bogatsi gospodarze, wywożeni saniami w środku nocy, bez prowiantu, tylko z rzeczami zabranymi tuż przed wywózką. Błońscy mieli szczęście w nieszczęściu, że to w ich domu zakwaterowało się dowództwo batalionu.

Kiedy latem 1941 roku na Wołyń wkraczali Niemcy, miejscowa ludność – Polacy, Czesi, Ukraińcy, Ormianie – witała ich kwiatami, tak bardzo rosyjski okupant dał się wszystkim we znaki.

Wkrótce jednak hitlerowski terror okazał się dotkliwszy niż rosyjski. We wrześniu czterdziestego pierwszego Wołyń został przez Niemców administracyjnie wcielony do Niemiec jako Komisariat Rzeszy. Ludziom żyło się coraz gorzej. Kontrybucje nakładane na mieszkańców wykańczały wszystkich. Zaczęło brakować podstawowych produktów, mięso stało się nieosiągalne, z trudem można było kupić na bazarze choćby herbatę czy machorkę.

Konstancja wykazywała się zaradnością – smażyła, kisiła, suszyła i wekowała wszystko, co zdołała zebrać latem. Z trwogą myślała o przyszłości. Kiedy usłyszała o akcji likwidacyjnej getta w Łucku, przestała sypiać. Wciąż przed oczami stawał jej Lippman w swoim wyświechtanym chałacie, z mycką na głowie i dobrotliwym spojrzeniem, a także jego wyobrażone – bo nigdy niewidziane – siedmioro dzieci oraz potulna żona. Widziała ich oczami wyobraźni, prowadzonych niczym bydło ulicami Łucka. Potem kazano im kłaść się na ziemi, dzieci płakały, lgnąc do rodziców, ci zaś wiedzieli, że to koniec.

To, że w masowych rozstrzeliwaniach hitlerowcom pomagali Ukraińcy, Polacy uznali za bardzo niepokojący sygnał. Skoro zabierają się do Żydów, nauczą się, jak ich eksterminować, co im szkodzi zabrać się do innych... Takiego zdania był Wincenty Wołek z Andrzejówki,

jeden z Polaków gospodarujących w gminie Czaruków. W gorącej dyskusji grono gospodarzy stwierdziło, że to nie może być prawda – hitlerowcom pomagają jacyś wynaturzeni zbrodniarze.

– Ci zbrodniarze to synowie waszych kolegów ze szkolnej ławy – upierał się Wołek.

– To nie mogą być ci chłopcy, których widywaliśmy, jak pomagają przy żniwach. Przecież żyją obok nas, znają nas, widzą, że nikomu krzywdy nie robimy, gospodarując na swoim – tłumaczył Władysław.

Zawsze był dumny ze swoich dobrych relacji z sąsiadami. Dogadywał się i z Żydami, i z Ormianami, z Czechami i Ukraińcami. Z niektórymi z sąsiadów chodził do szkoły podstawowej. Mieszkali obok siebie, na tej samej ziemi. Znał ich bardzo dobrze, handlował z nimi, nieraz pił z nimi wódkę. Szanował ich, tak jak oni szanowali jego. Nie wierzył, że podnieśliby na niego rękę.

Ale kiedy jego młodszy brat Wacek zaczął się uganiać za ukraińską dziewczyną, Władysław stanowczo powiedział „nie”. Jako głowa rodziny (jego ojciec już wtedy nie żył) nie wyraził zgody na ślub z córką mleczarza Krysiuka.

Wacek zachowywał się jak szalony, pędził na gniadym koniu ze swoją czarnowłosą Nadią przy boku, całymi dniami, zamiast pracować na gospodarstwie, uganiał się po stepie. Kiedy zaś usłyszał od starszego brata odmowę wydania zgody na ślub, przez dłuższy czas nie mógł się z tym pogodzić. Najpierw próbował prosić, wyjaśniał, że Nadia to dobra dziewczyna, że już są po słowie z jej ojcem, potem groził, że ożeni się wbrew woli brata, ale koniec końców dał sobie spokój. Władysław oświadczył mu, że jeśli wbrew jego woli poślubi Ukrainkę, nigdy więcej ani on, ani nikt z rodziny Błońskich do niego się nie odezwie, nie będzie mógł zobaczyć ani brata, ani siostry, nawet w święta, nie zostanie dopuszczony do rodzinnych narad ani nie otrzyma – chyba że na drodze sądowej – należnej części majątku po rodzicach.

I Wacek ustąpił. Wycofał oświadczenia, czym doprowadził dziewczynę do rozpacz, a jej ojca do tego, że przeklął Wacka, plując mu w twarz. Ojciec i brat Nadii nie dawali jednak za wygraną. Pewnego dnia stary Krysiuk i jego syn Jurij pojawili się w kolonii Marusia, aby porozmawiać z Władysławem na temat niedoszłego ożenku jego brata.

Zostali przyjęci z szacunkiem. Konstancja zaparzyła herbatę i podała placek drożdżowy. Władysław poprosił Krysiuków, aby wspólnie usiedli przy stole. Wyjaśnił ojcu Nadii, że jako wnuk polskiego szlachcica po prostu nie może zgodzić się na małżeństwo swojego brata z Ukrainką.

– Wacek nie może szargać świętości naszych dziadów i tylko Polka może nosić nazwisko Błońska i urodzić mu dzieci, które będą miały familię po naszym wielkim przodku – powiedział.

Żaden argument Krysiuków nie przemawiał do niewzruszonego Władysława.

Na widok Wacka Jurij poderwał się z krzesła i chciał się bić z niedoszłym narzeczonym siostry, ale dzięki interwencji Władysława do potyczki nie doszło.

– Polska swołocz – mruknął Jurij i Krysiukowie odeszli z niczym.

– Nu, Kostunia... Sprawę ja załatwił. Nalej no mężowi kielonek gorzałki! – westchnął Władysław, gdy sylwetki mleczarza i jego syna zniknęły mu z oczu na drodze.

Następnie wychylił podany mu kieliszek wódki i zadumał się nad losem Wacka. On sam też miał kiedyś na oku przepiękną Czeszkę, córkę felczera. Ale przecież przez myśl mu nie przeszło, aby zbrukać zacząć familię Błońskich takim ożenkiem. Wacek też to w końcu zrozumie.

W domu Błońskich po tych zdarzeniach zapanowały milczenie i nieprzyjemna atmosfera. Wacek przestał się właściwie odzywać do brata i bratowej. Robił, co do niego należało, a ponieważ uwielbiał konie i dużo o nich wiedział, często był wzywany przez sąsiadów i jeździł po okolicznych ubogich osadach, pomagając przy żrebieniu klaczy czy opanowywaniu narowistego konia. Czasami zabierał ze sobą małego Cyryla, który tak jak stryj kochał konną jazdę.

W trakcie posiłków przy stole ciążyła wszystkim ponura cisza. Wacek nie odzywał się nawet wtedy, gdy Władysław wracał z Łucka, gdzie załatwiał różne formalności, handlował na cotygodniowym targu, a potem przekazywał zasłyszane tam wieści o przebiegu wojny. Od kiedy bowiem Rosjanie skonfiskowali im radio, niewiele informacji docierało na kolonię.

Ale Wacek udawał, że go to nie interesuje. Milczał zacięcie i nie

odzywał się do brata.

– Niedługo mu przejdzie – mówiła do męża Konstancja.

Nie mogła wiedzieć, że zdarzy się coś, co sprawi, iż to milczenie – początkowo będące wyrazem dezaprobaty dla decyzji Władysława – nigdy się nie skończy.

Biskupiec/Warszawa, 1978 rok

Małe miasteczko Biskupiec na Warmii w pobliżu jeziora Dadaj, oddalone od Olsztyna o niecałe czterdzieści kilometrów, to raj utracony mojego dzieciństwa. Ale nie tylko dla mnie pierwsze pięć lat mojego życia w drugiej połowie lat siedemdziesiątych było idyllicznym okresem – matka i ojciec też przeżyli tam swoje najlepsze lata.

Ilekcio słyszę przeboje zespołu ABBA albo Anny Jantar, staje mi przed oczami zalane słońcem mieszkanie w Biskupcu, mój pokój, w którym czułam się jak we własnym królestwie, malowałam, słuchałam płyt z bajkami na adapterze, tańczyłam, bawiłam się i byłam nieustannie podziwiana.

Ojciec był szefem jednostki wojskowej, jedną z najważniejszych person w miasteczku. Matka najpierw zajmowała się córką, której urodzenie w zaawansowanym wieku uważała za swoje wielkie życiowe osiągnięcie. Gdy Sylwia skończyła dwa lata, Halina podjęła pracę na stanowisku kierownika administracyjnego dużych zakładów mięsnych.

Od niego zależał los kilkuset osób służących w jednostce, ona zarządzała ponadpięćdziesięcioosobowym zespołem. Byli wpływowi i znani w całym miasteczku. Starsza córka uczyła się w miejscowym liceum i była prymuską. Mała Sylwia wyrastała na uroczą, bystrą ślicznotkę – miała długie blond loki, nosiła ładne sukienki, sprowadzane z Niemiec przez jedną z sąsiadek. Halina bardzo dbała o jej wygląd, chcąc, aby dziecko było ich wizytówką.

Trzyletnia Sylwia zrobiła furorę, gdy w trakcie wizyty u taty na poligonie pod Biskupcem uciekła Halinie i samowolnie wtargnęła do namiotu, w którym odbywała się odprawa z udziałem pewnego generała. Przedstawiła się rezolutnie, po czym usiadła na kolanach temu właśnie ważnemu człowiekowi i poprosiła o wyjaśnienie tematu dyskusji. Generał był rozbawiony przebojową dziewczynką i okazał wiele sympatii pułkownikowi Znojkiowi i jego pociesznej córeczce. Halina była dumna.

W 1979 roku pułkownik Znojek otrzymał awans i stanowisko w Sztabie Generalnym Szefostwa Wojsk Chemicznych w Warszawie. Wydawało się, że ścieżka jego kariery zmierza prosto ku zdobyciu

stopnia generała, do czego dążył przez całe zawodowe życie.

Halina przez moment czuła się tak, jakby i na nią spłynął splendor awansu męża. Przenosiny z małego miasteczka do stolicy, mieszkanie w centrum miasta, wszystko to robiło odpowiednie wrażenie na prowincji.

Rzeczywistość niestety okazała się bolesna. Mietek znowu nieustannie wyjeżdżał, przydzielone im tymczasowe lokum w wielkim budynku mieszkalnym w hałaśliwym punkcie miasta przy Brackiej okazało się bardzo niewygodne, a życie w centrum Warszawy niemal nie do zniesienia dla przyzwyczajonej do spokoju Haliny i jej wychowywanej w małym miasteczku córki. Niekończący się sznur pojazdów w Alejach Jerozolimskich, dzwoniące tramwaje, nagrzewające się latem od słońca mieszkanie na ostatnim piętrze bloku, brak placu zabaw dla dzieci, tłok i ścisk w środkach transportu, do których Sylwia bała się wsiadać, wszystko to sprawiło, że depresja Haliny wróciła ze zdwojoną siłą. Z tym, że teraz było gorzej – Halina została zupełnie sama, bez rodziny, bez znajomych, bez starszej córki, która była daleko.

Praca w nowej instytucji przekonała ją, że przeprowadzka do Warszawy była błędem. W nowych realiach jej stanowisko zupełnie nie miało znaczenia, była tylko szeregowym pracownikiem i nikt się z nią nie liczył. Jej współpracownicy traktowali ją albo z lekceważeniem, albo – w najlepszym razie – z obojętnością. Zupełnie nie mogła się odnaleźć wśród warszawianek, które interesowały się kinem artystycznym, same prowadziły samochody i marzyły o wyprawach do egzotycznych krajów.

Już po kilku miesiącach życia w Warszawie Halina wiedziała, że powinna była pozwolić Mietkowi, aby pięć dni w tygodniu przebywał w pracy i na weekendy wracał do Biskupca. I tak nie było go całe dnie w domu, a ona nie radziła sobie z poczuciem osamotnienia, jakie dopadło ją w tym obcym dużym mieście. Nocami nie mogła spać i nawet zwiększone dawki relanium nie przynosiły ulgi w cierpieniu.

Dodatkowo pojawiły się kłopoty z nerkami, a Sylwia miała duże problemy z zaaklimatyzowaniem się w nowym przedszkolu – Halina dwukrotnie zmieniała placówkę, bo dzieciak każdego ranka dostawał spazmów i nie chciał się rozebrać w szatni. Kiedy zaś córka wreszcie zaakceptowała przedszkole przy Koszykowej, zachorowała na ciężkie

zapalenie płuc. Halina była zmuszona wziąć miesiąc zwolnienia lekarskiego, które następnie przedłużyła o następne kilka tygodni z uwagi na własne problemy zdrowotne.

Lekarz zalecił jej picie od czasu do czasu piwa, a poradę tę potraktowała na tyle dosłownie, że wkrótce nie była w stanie funkcjonować bez wypicia kilkunastu małych butelek dziennie. Kiedy Mietka nie było, kupowała je w różnych sklepach, a w końcu wstydziła się pokazywać w tych samych miejscach i nabywać alkohol, zaczęła więc posyłać do pobliskich delikatesów córkę, która przynosiła jej po trzy, cztery buteleczki królewskiego. Halina nie czuła się na siłach, by wstać z łóżka. Były takie dni, w które po prostu nie mogła odprowadzać Sylwii do przedszkola. Jeśli były tylko we dwie, nawet nie gotowała posiłków, tylko dawała córce pieniądze, aby ta poszła z koleżanką do baru Praha w Alejach Jerozolimskich i tam kupiła sobie coś do jedzenia. Nawet nie wiedziała, że dziecko zamiast obiadu całą kwotę wydawało na krem sułtański z rodzynkami i galaretkę z bitą śmietaną.

Picie piwa szybko przekształciło się w nałóg, którego Mietek nie zauważał. Dopiero skandal w czasie ślubu ich starszej córki, która niespodziewanie zaszła w ciążę z kolegą ze studiów i w wielkim pośpiechu musiała wyjść za mąż, ujawnił tragiczny stan Haliny.

Skurcze na Wołyniu, luty 1943 roku

W pierwszą, bardzo mroźną niedzielę lutego po mszy w parafii Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Skurczach proboszcz Stanisław Grzesiak przekazał zgromadzonej w zakrystii grupie parafian sensacyjną wiadomość o ostatecznej klęsce Niemców pod Stalingradem. Sześćdziesiąta druga sowiecka armia i generał Czujkow nie dopuścili do tego, by Hitler przekroczył Wołgę. Ponoć szósta armia Wehrmachtu została ostatecznie pokonana, tych, którzy pozostali żywi, wzięto do niewoli, ostatniego dnia stycznia zaś skapitulował generał Paulus, zaraz po nim Strecker. Stalin triumfował.

Toczące się przez całą jesień i zimę walki oraz trwające od wielu miesięcy oblężenie Stalingradu wzbudzały wielkie emocje wśród mieszkańców Wołynia. Ta zasadnicza zmiana układu sił na froncie wschodnim bardzo poruszyła obecnych na mszy mężczyzn.

– Nu, zaraz znowu Armia Czerwona wróci na Wołyń! – gorączkował się Wosiak, najbliższy sąsiad Błońskich.

– Ważne, że jest nadzieja na jakiś zwrot. Amerykańce ponoć włączają się do walk, może – jak Bóg da – z końcem roku Hitler ustąpi! – dodał ktoś inny.

Rozstali się w podniosłych nastrojach. Jarzmo niemieckie doskwierało każdemu, a świadomość tego, co zrobiono Żydom, wciąż była żywa.

Konstancja przestała spokojnie sypiać i nieustannie się zamartwiała.

– Niech jak najszybciej ten okupant stąd odejdzie... Mój Boże, jeśli nie, zrobią z Polakami to, co zrobili z Żydami, a Ukraińcy tylko czekają, żeby im w tym pomóc... – mówiła.

Władysław uspokajał ją, twierdząc, że naród żydowski od lat był znienawidzony przez Ukraińców, jeszcze przed wojną na każdym kroku im dokuczano i ich poniżano. Te zabawy z piłką naszpikowaną żyłkami, którą dzieci przywiązywały na sznurku do kija i zarzucały jak wędkę, ilekroć żydowskie dzieci przechodziły ulicą. Ucierpiało niejedno dziecko, kiedy żyłki przecięły mu skórę na głowie. Wracały do domu z twarzami zalanyymi krwią i nikt nawet nie próbował powstrzymać

małych ukraińskich łobuzów.

– Nu, ja ci mówię, Polaków nie ruszą, przecież od stuleci nasze narody żyją blisko. Na Polaka ręki nie podniosą. Niemcy im nie pozwolą, a Rosjanie... Ci najpierw Ukraińców wywiozą na Sybir, zanim za nas się wezmą. Spokojnie, Kostunia. Ja przecie tylu mam znajomych, kolegów ze szkolnej ławy, ostrzegą mnie, mnie ani mojej rodziny nie ruszą, wierz mi! – twierdził Władysław.

– Nie wiem, Władek... Nas tu jest mniej, niż było Żydów. Z nimi szybko się uwinęli, tak samo mogą z nami. Boję się, naprawdę się boję. Może powinniśmy stąd wyjechać?

– Dokąd wyjechać? Czyś ty zgłupiała, Kostunia? Uspokój się, strachliwa kobieto. Przecież żyjemy tu razem od lat, po sąsiedzku, razem my do szkoły chodzili i nasze dzieci razem się będą jeszcze uczyć, jak tylko znowu polskie szkoły będą otwarte.

– A ty nie pomyślał, że oni po polsku uczyli się pod przymusem, hę?

– Lepiej do domu wracajmy, robota czeka... – westchnął Władek, nasunął futrzaną czapę na czoło i policzki, po czym ruszył, brnąc w zwałach śniegu, w kierunku sań.

Gdy jechali przez obsypany świeżym śniegiem las, Konstancja modliła się po cichu do Matki Boskiej, prosząc, by ta zaopiekowała się jej rodziną. Czuła, że nadchodzą dni potwornej trwogi.

Warszawa, cmentarz Północny, czerwiec 2016 roku

Co jest takiego we mnie, że nieustannie czuję niespełnienie, jakąś niezasklepioną wyrwę, której mimo starań nie mogę w żaden sposób wypełnić? Skąd to się bierze?

Nie, nie pozwalam sobie na żal do losu, który odczuwała moja matka. To byłaby rażąca niewdzięczność. Nie śmiałabym narzekać. Doceniam to, co osiągnęłam: mam możliwość pisania i wydawania książek, życie rodzinne z mężem i trójką dzieci w dostatnim i jeszcze w miarę bezpiecznym zakątku Europy. Pragnienie czegoś więcej (nawet nie wiem czego) byłoby objawem pychy.

Nigdy nie opuszcza mnie lęk i czujność, chociaż gdy przekroczyłam czterdziesty rok życia, nie mam już tak często jak kiedyś wrażenia, iż nieszczęścia tylko czyhają, aby nas dopaść. Niemal zawsze się czymś denerwuję, zawsze mam dominujące w danej chwili zmartwienie i szereg mniejszych, które przypominają o sobie najczęściej wieczorami. Przez te natrętne, niepokojące myśli często nie mogę spać.

Takim już typem człowieka jestem.

Jak matka.

Zmarła czwartego grudnia 2006 roku, niemal równo po trzech miesiącach od postawienia diagnozy. Jej pogrzeb odbył się ósmego grudnia, dokładnie rok po pogrzebie mojego taty, obok którego spoczęła pod nagrobkiem, jaki kilka miesięcy wcześniej sama wybrała.

Pamiętam ten majowy dzień 2006 roku, kiedy wzięłam dzień urlopu i towarzyszyłam jej w wyprawie w okolice cmentarza Północnego. Jak w przypadku każdej innej rzeczy, którą kiedykolwiek kupowała, proces decyzyjny dotyczący wyboru pomnika był prawdziwą drogą przez mękę.

Przez ponad sześć godzin w upalny dzień na otwartej przestrzeni wokół rozległego cmentarza chodziłyśmy od jednego zakładu kamieniarskiego do drugiego, oglądając katalogi z wzorami pomników oraz wystawione na zewnątrz gotowe nagrobki. Wystarczyło zapłacić cztery albo pięć tysięcy gotówką i zamówić odpowiedni napis, a „pomnik”, jak określała to matka, był gotowy od ręki.

Tablice nagrobne miały przeważnie kształt krzyży bądź modnych

ostatnio serc i były z marmuru zielonkawego, bordowego albo w kolorze bagiennym. Niemal wszystkie raziły moje poczucie estetyki kiczowatym kształtem bądź wyrytym wizerunkiem głowy Chrystusa albo Marii Panny.

Jak było do przewidzenia, matki żaden z pomników nie zadowolili. Albo cena była nie do przyjęcia, albo kolor, rysunek, kształt. W każdym z gotowych nagrobków coś jej przeszkadzało, a nie chciała czekać aż ośmiu tygodni na wykonanie nowego.

– Widzisz, mówiłam ci zimą, że trzeba było już wtedy się zainteresować i złożyć zamówienie, a teraz ciepło się zrobiło i ojciec bez pomnika leży! Co za wstyd! – powiedziała ze złością, przypalając papierosa.

Co piętnaście minut robiłyśmy przystanek, aby stojąc w pełnym słońcu, matka mogła się choć kilka razy zaciągnąć LM-em. Z godziny na godzinę była coraz bardziej podenerwowana, a ilekroć dzwoniło do mnie z biura (akurat tego dnia rozstrzygały się losy jakiejś ważnej transakcji), wyraźnie ją irytowało, że akurat dziś muszę rozmawiać o sprawach służbowych.

Ilekroć zauważyła, że sprawdzam godzinę w telefonie, przygadywała mi, że niepotrzebnie się tu ze mną wybrała, nie potrafię nic rozsądnie doradzić i tylko czekam, żeby stąd uciec. Pokłóciłyśmy się, co nie było niczym dziwnym. Nasza relacja od ponad dwudziestu pięciu lat – czyli od momentu, kiedy na tyle podrosłam, iż umiałam wyrazić własne zdanie – opierała się na wykrzykiwanych wobec siebie pretensjach i zarzutach, po których zwykle matka stosowała swoją broń ostateczną. Tak też było tym razem. Gdy wyładowałyśmy już złość i inne emocje, matka wyjęła ostentacyjnie trzymaną pod ręką przez dwadzieścia cztery godziny na dobę pigułkę pod język i powiedziała, że boli ją w piersiach. Usiadłyśmy na ławce i trwałyśmy jakiś czas w milczeniu. Uspokoiłyśmy się, a ja zdołałam wreszcie nakłonić matkę, abyśmy wróciły do jednego z zakładów kamieniarskich, które odwiedziłyśmy na samym początku.

Tym razem była poważnie zainteresowana ponownie obejrzanym ciemnobrunatnym nagrobkiem z fragmentem krzyża i dosyć ładną – jak na tego typu „dzieła” – płaskorzeźbą głowy Chrystusa w koronie

cierniowej.

– Podoba ci się? – zagadnęła, wcześniej wypytawszy kamieniarza o cenę nagrobka.

– Może być, nie jest przynajmniej kiczowaty – odparłam.

Matka zaczęła negocjować cenę ze sprzedawcą, który dał jej spory upust. Zapłaciła cztery czy pięć tysięcy – nawet już nie pamiętam – gotówką, którą trzymała zwiniętą w gruby rulon w wewnętrznej kieszeni żakietu.

– No, wybrałam sobie dzisiaj nowy dom – westchnęła, przypalając papierosa, gdy czekałyśmy na taksówkę. – Nie podoba mi się zbytnio. Ten Jezus... Nigdy specjalnie ani ja, ani ojciec nie byliśmy wierzący. Ale umyślnie taki ciemny wzięłam, bo wiem, że będziesz tu rzadko przychodzić, a o jasny pomnik trzeba bardziej dbać. A taki bury to deszcz zmyje, kurz i pył nie będzie widoczny... Pamiętaj tylko, żeby chociaż na święta kwiatek przynieść i zapalić kilka zniczy – dodała, gdy już poza terenem zakładu stanęłyśmy, aby napić się wody.

Pomyślałam wówczas, że w związku z matką czeka mnie ogromna dawka cierpienia, nie spodziewałam się tylko, że przyjdzie mi ją przyjąć już za kilka miesięcy.

Westchnęłam, starając się przeczekać falę wzburzenia. Po kilku sekundach nie wytrzymałam:

– Mam tego dość! Cały dzień urlopu poświęcam, a ty wybierasz coś, z czego nie jesteś zadowolona, i to oczywiście moja wina!!!

I zaczęłyśmy się kłócić, jak wiele razy przedtem i – jak sądziłam – jeszcze nieraz w przyszłości. Kilkanaście dni później wyjechałam z mężem i dziećmi na wakacje na Rodos, później nad morze do Łeby (matka za nic nie chciała wybrać się z nami, chociaż nieraz jej to proponowałam) i lato minęło bardzo szybko.

Pod koniec sierpnia internista wysłał matkę na prześwietlenie płuc, podejrzewając u niej gruźlicę. Na zdjęciu RTG któryś z lekarzy dostrzegł małą plamkę i skierował matkę do pulmonologa, ten jednak powiedział, że nic takiego nie widzi. Uspokoił ją, że to na pewno nie rak – tej choroby bała się przez całe życie najbardziej.

Na początku września obudził ją nagły atak silnego kaszlu. Na dłoni zobaczyła ślad krwi. Już wiedziała, że dzieje się z nią coś bardzo

złego.

* * *

Pierwszym uczuciem, jakie pamiętam z dzieciństwa, był lęk. Bałam się ciemności i śmierci, bałam się opuszczenia. Największą panikę czułam w zatłoczonych warszawskich tramwajach, w których pasażerowie przepychali się brutalnie, nie zwracając uwagi na małe dziecko. Wpadałam w popłoch i wprost zamierałam z przerażenia, gdy na dużych – jak dla sześciolatniej dziewczynki – przestrzeniach domu handlowego Smyk przy Brackiej moja matka zniknęła z pola widzenia, a ja biegałam między rzędami półek z dziecięcymi ubrankami i nie mogłam jej znaleźć. Czułam się tam – pamiętam to do dziś – jakby matka umarła i zostawiła mnie na świecie kompletnie samą, skazaną na zagładę.

Trwała wówczas zimna wojna, a ja najbardziej obawiałam się końca świata, tego, że któryś z przywódców Rosjan czy Amerykanów naciśnie atomowy guzik i nastąpi gwałtowne unicestwienie naszej planety. Nie mogłam przyswoić sobie koncepcji zagłady, która miała w bardzo krótkim czasie zmasakrować z powierzchni ziemi całe państwa. Nie spałam nocami, z przerażeniem rozmyślając o tym, że może jutro, może już za chwilę nastąpi koniec wszystkiego. Ilekroć rozlegał się gdzieś na ulicy odgłos syreny – a w tamtych latach działo się to stosunkowo często – serce zaczynało mi gwałtownie kołatać i w głowie rozlegał się alarm: „wojna, wojna”. Myślałam, że oto nadchodzi ów koniec, przepowiadany w komunistycznej prasie i reżimowym dzienniku telewizyjnym.

W dorosłym życiu nadal ciągle się czegoś boję i panowanie nad tym lękiem pochłania ogromne pokłady mojej energii. Gdyby nie stany lękowe, które często nie mają określonej przyczyny – po prostu się pojawiają i zakłócają mi komfort życia – może napisałabym więcej książek, może byłyby one lepsze, a z pewnością byłyby inne. Gdyby nie oślizgły demon strachu przed nicością i cierpieniem, nie kochałabym tak bardzo czerwonego wina, które nieraz uratowało mnie przed szaleństwem, choć cenę za to zbawienne działanie zapewne przyjdzie mi kiedyś zapłacić.

Kiedy myślę o nieustannym, ledwie uśpionym i w każdej chwili

mogącym się przebudzić demonie lęku, żal mi matki, która musiała czuć właśnie coś takiego i przekazała swoją skazę córkom – mnie i mojej siostrze. Ja zaś obawiam się, że przeniosłam ten zły bagaż dalej, na moją córkę. I to boli mnie najbardziej. Tego nie mogę sobie wybaczyć.

Matka była typem nadopiekuńczej kwoki. Ten przytłaczający lęk o moje bezpieczeństwo i zdrowie sprawiał, iż jej dwudziestoczterogodzinna kuratela ciążyła niczym krępujące kajdany. Odczuwała paniczny strach przed chorobami, co z kolei skutkowało bieganiem do lekarza z najmniejszym katarem i samowolnym podawaniem mi przeróżnych leków mających z wyprzedzeniem zapobiec wymyślanym przez nią chorobom. Przy byle przeziębieniu zmuszała mnie, abym łykała antybiotyk (zawsze miała w domu zapasy biseptolu), a gdy w wieku siedemnastu lat postanowiłam przejść na dietę wegetariańską (co było prawdziwym dramatem dla rodziców, dużo większym niż palenie papierosów, w którym również zagustowałam), wysłała mnie na szereg badań i zażądała, abym uzyskała zaświadczenie lekarskie (sic!) o stanie zdrowia.

Według matki odpowiednie pożywienie gwarantowało zdrowie. Najważniejsze więc było, abym jadła. Dużo jadła. Praktykowane od najmłodszych lat wciskanie mi potężnych porcji kalorycznych posiłków złożonych z wieprzowiny, ziemniaków i tłustych zup stanowiło w jej mniemaniu spełnienie obowiązków rodzicielskich.

Matka nigdy mnie nie przytulała i nie okazywała czułości. Trudno o bardziej banalną skargę, a jednak tak było. Sama tak właśnie była wychowana. Skarżyła się czasami, że babcia była osobą oschłą, często karciała dzieci, rozdzielała razy mokrą ścierką i nigdy nie okazywała cieplejszych uczuć.

Dlaczego jej matka Konstancja taka właśnie była? Gdzie tkwiła przyczyna tego uczuciowego chłodu? Czy za to też można winić rzeź na Wołyniu?

Aktywnie nigdy nie walczyłam o miłość matki, nigdy chyba nie sądziłam, że istnieje jakakolwiek szansa, by ją zdobyć. Zresztą nigdy nie chciałam być osobą, która spełniałaby – choćby w podstawowym zakresie – jej wymagania. Miałam żal, że nie podobam się rodzicom taka, jaka jestem, wiedziałam jednak, iż w związku z ich

materialistycznym światopoglądem – obojętnością na sztukę i piękno – nie mogę liczyć na zrozumienie. Nigdy też go nie osiągnęłam.

Dzisiaj myślę, że kochali mnie oboje tak, jak potrafili. Po prostu.

Zbliżyłam się do czegoś na kształt akceptacji, dopiero będąc kobietą trzydziestoletnią, mężatką, matką dwójki dzieci, prawnikiem w firmie telekomunikacyjnej. Ale stało się tak tylko dlatego, że ukryłam głęboko przed całym światem swoje niewygasłe marzenia o obcowaniu ze sztuką. Gdyby rodzice wiedzieli, co roi mi się w głowie, uznaliby, że wcale nie przestałam być odmieńcem, za którego uważali mnie w czasach młodzieńczego buntu.

Dopiero po śmierci ich obojga napisałam powieść będącą moim debiutem wydawniczym i zaczęłam mozolnie realizować swoje literackie aspiracje. Jeśli gdzieś tam z góry patrzą na mnie teraz, moje pisarstwo, fakt, iż porzuciłam dla niego dobrze płatną pracę w wielkiej korporacji, musi w nich budzić głęboką odrazę i niechęć.

Nie ma dnia, abym o nich nie myślała albo nie widziała ich we śnie – mimo upływu ponad dziesięciu lat nadal są to złe sny, po których budzę się przygnębiona i roztrzęsiona. Nieustannie staje mi przed oczami pełen rozczarowania i niezadowolenia grymas na twarzy matki.

Warszawa, osiedle Gocław, 12 grudnia 1981 roku

Kiedy tuż po przebudzeniu Halina spogląda w kwadrat okna, czuje, że nie ma siły wstać. Jak przetrwać kolejny dzień, gdy ta ponura szarość nieba i zwały brudnego śniegu na widocznym z szóstego piętra bloku parkingu i wzdłuż ulicy odbierają nadzieję?

Sięga po paczkę sportów, bierze pierwszego z pięćdziesięciu papierosów, jakie wypali tego dnia. Jest dziesięć po szóstej. Trzeba się zwlec z wersalki, dopilnować, żeby Sylwia włożyła fartuszek do szkoły, bo ostatnio za jego brak dostała uwagę w dzienniczku, zrobić dziecku kanapkę, zaparzyć herbatę, przestudzić i przelać do bidonu, usmażyć jajecznicę na kielbasie Mietkowi.

A potem musi pójść do sklepu, stanąć w kolejce. Może uda się jej coś upolować, być może rzucą papier toaletowy przed świętami. Dobrze, że tak długo ciosała Mietkowi kołki na głowie, aż załatwił u Skwarka, ich gospodarza domu, ćwiartkę świniaka, którego ten przywoził od rodziny ze wsi. Mietek początkowo nie chciał się zgodzić, bał się, że ktoś na niego doniesie, że kupuje nielegalnie mięso. On, pułkownik Wojska Polskiego! To było dla niego uwłaczające, ale w końcu Halina przekonała go, że musi mieć co podać na stół na święta, skoro przyjeżdża Agata z mężem i roczną córeczką.

Zgodził się tylko dlatego, że bardzo czekał na przyjazd ukochanego dziecka. Zawsze się bał przełożonych, taki był niezaradny, kiedy go poznała, i taki pozostał. Inni potrafili na boku dorobić, załatwić różne przydziały, telefon, talon na samochód, wykorzystać swoją pozycję, ale on tego nie potrafił... Miała przy nim takie jałowe życie. Niczego się nie dorobili, nawet kawałek własnej ziemi. Musiała tkwić w tym ohydny blokowisku, które przypominało betonową pustynię. Dookoła tylko błoto i budowy, żadnych sklepów, punktów usługowych, przychodni ani apteki, kiepska komunikacja, jedyna szkoła oddalona od domu o trzy kilometry, bez możliwości podwiezienia dziecka autobusem. Och, jak ona nienawidziła tego miasta!

To Warszawa ją zniszczyła. Nigdy w życiu nie czuła się tak dojmująco samotna jak w tym wielkim skupisku ludzkim. Sama, zawsze sama z dzieckiem, które przez te przenosiny z małego miasteczka do

stolicy straciło pewność siebie, nie umiało nawiązać relacji z rówieśnikami, wszystkiego się bało.

Nagle przypomniał się jej Olsztyn, z jego jeziorami i spokojnymi ulicami. Halina w wyobraźni zobaczyła siebie, zgrabną i elegancką kierowniczkę w dopasowanym kostiumie składającym się z zielonych spodni i żakietu w takim samym kolorze. Kroczy energicznie do biura, gdzie czeka na nią milion spraw do załatwienia. Dzięki pracy czuła się ważna, a zazdrość innych kobiet, które nie były tak szczupłe i ładne jak ona, tylko dodawała jej animuszu.

Tu, w Warszawie, nigdy nie uzyskała podobnej pozycji. W administracji zakładu produkującego cukier miała stanowisko starszego specjalisty, a inne kobiety z biura śmiały się z jej prowincjonalnych, samodzielnie szytych na maszynie strojów. Tutaj wszystkie wyglądały podobnie i nosiły jednakowe bure sukienki kupowane w Domach Towarowych „Centrum”. Wyczuwała, że jej nie lubią. Kiedyś w łazience usłyszała, jak dwie księgowe śmieją się z niej, określając ją jako „kierowniczkę ze wsi”.

Ale teraz, patrząc wstecz, żałuje, że dwa lata temu rzuciła tę pracę. Właściwie nie rzuciła, poprosiła o inny przydział i dostała coś, czego nie mogła przyjąć, bo stanowisko kierowniczki administracyjnej w telewizji oznaczało wzięcie odpowiedzialności materialnej za poprzednika. Podsunęto jej do podpisania kwit, w którym straszono ją odpowiedzialnością karną. Nie podpisała, tylko dotarła do lekarza z prywatnej lecznicy, który za łapówkę załatwiał pozytywną opinię komisji przyznającej renty. A przecież Halina miała mnóstwo schorzeń.

Decyzja o tym, aby zrezygnować z pracy i siedzieć w domu z dzieckiem, była jej największym życiowym błędem. Finansowo całkowicie uzależniła się od męża, który zaczął ją traktować jak swoją służącą. Co rano czuła się tak, jakby spadała coraz głębiej w otchłań. Każda zwykła czynność: pranie, sprzątanie, gotowanie, konieczność zdobywania pożywienia w pustych sklepach, rzeczy dla dziecka czy odzieży i obuwia, stała się problemami, które nastęrczały jej coraz więcej trudności, a przecież zawsze była taka obrotna! Umiała, komu trzeba, powiedzieć komplement, zależnie od sytuacji była gotowa się poniżyć albo poprosić, a w razie potrzeby potrafiła być ostra

i nieprzejednana, bojowa i złośliwa. Każdą rzecz była w stanie załatwić.

– Co się ze mną stało? – szepcze, przyglądając się swojemu odbiciu w nieoprawionym lustrze łazienki o surowych ścianach, na których wciąż brakuje kafelków (Mietek od roku załatwia fachowca), w tym najbardziej przygnębiającym pomieszczeniu.

Widzi pooraną zmarszczkami twarz, spalone trwałą ondulacją krótkie i ciemne włosy. Kiedy, jak to się stało? Miała tak delikatną piękną cerę, bujne loki... Za dużo się opalała, dzisiaj mówią, że to nie jest zdrowe dla skóry. A ona każdej wiosny opalała się „na Murzyna”, leżąc plackiem nad jeziorem, dopóki całe ciało nie przybrało odcienia cynamonu. Dzięki temu była jeszcze ładniejsza, a poza tym słońce dobrze działało na łuszczycę. Teraz musi płacić za te lata wspaniałego wyglądu...

– Halina! Dasz w końcu śniadanie? Obudziłaś Sylwię? Spóźni się do szkoły! – Głos Mietka zmusza ją do wyjścia z łazienki.

Halina czuje przenikliwy chłód. Dotyka kaloryfera. Jest ledwie ciepły, a na dworze mróz! Okrywa się szlafrokiem i idzie obudzić córkę, która marudzi i nie chce wstać.

Wie, że nie przetrzyma tego dnia, jeśli szybko nie łyknie relanium. Zażywa tabletkę i po kilku minutach jest w stanie zmobilizować się do działania, wyprawić męża i dziecko z domu.

– Pamiętaj, Mietek, zabierz Sylwię po szkole do fotografa na placu Szembeka. Ona musi mieć nowe zdjęcie, zgubiła legitymację – przypomina mężowi.

Kiedy zatraskują się za nimi drzwi, ma wreszcie przed sobą godziny wypełnione ciszą. Zapala papierosa i łyka kolejne relanium, po czym kładzie się spać. Budzi się, gdy jest już druga po południu, i w panice wyskakuje z łóżka, aby wstawić obiad. Zapala papierosa, otwiera lodówkę i spogląda na jej zawartość. Postanawia usmażyć kotlety schabowe, obrać ziemniaki – to będzie najszybsze. Ma jeszcze ugotowaną wczoraj zalewajkę, ulubioną zupę Mietka, której Sylwia nie chce jeść.

Łyka relanium i spoglądając za okno, zapala kolejnego papierosa. Sypie śnieg.

– Na co tu czekać? Na wiosnę? Nie mam nawet skrawka ziemi,

gdzie mogłabym sobie zasiać kwiatki, własną marchewkę wyhodować... – mówi do samej siebie na głos. – Może jak przyjdzie lato, namówię Mietka, żeby wziął jakieś wczasy, pojechalibyśmy nad morze, zbierałabym muszle, dziecko nauczyłoby się pływać...

Lekarstwo powoli zaczyna działać.

Mietek wraca z Sylwią, kiedy jest już późny wieczór. Wziął dziecko ze szkoły razem z Basią, córką wdowy S., która kiedyś była ich sąsiadką w Biskupcu. Jej mąż też został przeniesiony do Warszawy, ale zginął w wypadku samochodowym zaledwie kilka miesięcy po tym, jak rodzina przeprowadziła się do stolicy. Mieszkali na Orliku, w pierwszych blokach, które wybudowano na osiedlu Goców.

Przypadkowe spotkanie z S. w szkole podstawowej, gdzie Sylwia i Basia odnalazły się w jednej klasie, sprawiło, że wdowa na dobre zagościła w ich życiu. Była młodsza od Haliny, umalowana, włosy farbowała na blond i bardzo często się śmiała. Przez to, że dziewczynki ciągle chciały się spotykać i wspólnie bawić, pani S. nieustannie pojawiała się z córką w mieszkaniu przy Złotej Wilgi. Halina od razu zauważyła, jak Mietek patrzy na wdowę. Tamta kuła żelazo, póki gorące. Podkreślając tragiczną śmierć męża i swoje samotne życie w obcym mieście, prosiła Mieczysława o różne drobne przysługi, pomoc przy zawieszeniu żyrandola albo podwiezienie do jakiegoś urzędu. Halina zrobiła mężowi awanturę o ten czas poświęcany innej rodzinie, ale on oznajmił, że tylko pomaga samotnej kobiecie, i ostro zakończył kłótnię.

A dzisiaj nagle Sylwia powiedziała jej, że w zakładzie fotograficznym była też Basia z matką, ona także potrzebowała nowego zdjęcia do legitymacji, a potem tata zabrał je wszystkie do kawiarni na ciastko. Niestety, podawano tylko wuzetki, których żadna z nich nie lubiła, ale mama Basi i tata zjedli po jednej i długo rozmawiali o czymś wesołym.

Halina zatrzęsała się ze złości. Łyknęła czym prędzej relanium i zapaliła papierosa.

Już od dobrych kilku tygodni okazywała pani S. niechęć i dała jej wyraźnie do zrozumienia, aby ta odczepiła się od jej męża. Ale widać wdowa uparcie zmierzała do celu, chciała jej ukraść Mietka! Trudno się dziwić, w końcu był pułkownikiem z szansami na stopień generała...

Kiedy Sylwia położyła się spać, Halina weszła do dużego pokoju, gdzie Mietek oglądał w telewizji program publicystyczny.

– Mieciu – zaczęła potulnym tonem. – Ja cię proszę, powiedz mi prawdę. Czy ty chcesz mnie zostawić dla tej S.?

– Halina, weź się w garść! – rzucił, zde gustowany podniesionym tematem.

Wyraźnie nie chciał o tym rozmawiać, ale Halina nie dawała za wygraną. Zaczęła go przyciskać do muru, żądała deklaracji wierności, coraz bardziej zdenerwowana zagroziła w końcu, że łyknie tabletki i więcej się nie obudzi.

Mietek potwornie się wściekł i mimo późnej pory i dużego mrozu na dworze z impetem zaczął wkładać buty i palto, chcąc wyjść z domu. Halina po raz pierwszy nie wiedziała, jak w tej sytuacji się zachować. Zaczęła histerycznie krzyczeć, walić męża pięściami i wyzywać go od łajdaków i zdrajców. I nagle, w samym środku tej awantury, rozległo się gwałtowne stukanie do drzwi.

Halina i Mietek zamarli w wąskim przedsionku. Walenie do drzwi się powtórzyło. Mieczysław nacisnął klamkę. Ku jego zdziwieniu na wycieracze przed drzwiami stało dwóch umundurowanych żołnierzy, którzy zaszalutowali na jego widok. Powiedzieli, że mają rozkaz, aby jak najszybciej przewieźć pułkownika Znojka do komendy głównej wojsk chemicznych.

– Co się stało? – zapytał Mieczysław opanowanym, choć zdradzającym zdenerwowanie tonem.

Jeden z żołnierzy szepnął mu coś do ucha.

– O Boże, wybuchła wojna? Ameryka zaatakowała Rosję? Co się dzieje? – dopytywała się nerwowo Halina.

– Wracaj do mieszkania, nikomu nie otwieraj. Lada chwila zostanie wprowadzony stan wojenny – szepnął jej do ucha Mieczysław i odwrócił się na pięcie, by jak najszybciej stawić się na rozkaz.

Kolonia Marusia, 12 lipca 1943 roku

Wczesną wiosną, gdy jeszcze miejscami na polach zalegał śnieg, wielu ukraińskich policjantów zdezerterowało z niemieckiej służby i zasiliło szeregi nacjonalistycznej partyzantki. Uciekli do lasów, zabierając służbową broń, która dała im możliwość realnej walki o niepodległą Ukrainę.

Mówiło się, że w lasach otaczających Łuck ćwiczą ponoć oddziały upowskich partyzantów. Coraz częściej słyszano złowrogą pieśń banderowców:

Po wsim świti stało zwisno

Szczo żydowskie koło trysło,

A teper kto tylko żyw

Wsi pijdemo na Lachiw

Po tym jak Niemcy ponieśli klęskę pod Stalingradem, wszyscy spodziewali się wkroczenia Rosjan. Obawiali się tego nie tylko Niemcy, ale też Ukraińcy, sądząc, że nadchodzi moment, gdy można wykorzystać słabość hitlerowców i podjąć walkę o niepodległość.

W widoczny sposób zmieniło się podejście Ukraińców do polskich sąsiadów. Polskie dzieci przestały się bawić z ukraińskimi, były lżone i bite. Ludzie, z którymi wcześniej Polacy mieli przyjazne relacje, teraz w ostentacyjny sposób okazywali wrogość i malowali na płotach groźby, obelgi, napisy „smert lacham”.

Ukraińska propaganda rozpowszechniała informacje, jakoby Polacy nie chcieli wspólnie z Ukraińcami walczyć z niemieckim okupantem, za to współpracowali z sowiecką partyzantką.

Coraz częściej słyszało się o tym, że banderowcy szkolą mieszkańców wsi, aby bezwzględnie niszczyli element polski, a jeśli ktoś chce szkodzić sprawie – nie godzi się na tępienie Lachów, panikuje czy okazuje słabość, ma być przekazany do ukraińskiej Służby Bezpieki.

W powiecie łuckim było raczej spokojnie, ale w innych rejonach

Wołynia dochodziło do bestialskich napadów na polskie osady, dokonywanych przez ukraińskie nacjonalistyczne bojówki.

Z początkiem lipca do Kolonii Marusia zaczęły docierać bardzo niepokojące wieści. W okolicach co rusz mówiono o brutalnych atakach Ukraińców na polskie wsie i osady. Opowiadano coraz straszniejsze historie o tym, jak Ukraińcy postępują z Polakami, a także o tym, że w niektórych rejonach Wołynia dzień w dzień widać łuny palonych kolonii.

Najgorsze wiadomości przyniósł jednak poniedziałkowy poranek dwunastego lipca, kiedy to Władysława wcześnie rano zbudziło nerwowe walenie do drzwi domostwa. Okazało się, że to cudem ocalały z pogromu Bolek – daleki kuzyn Władysława, który wraz z rodziną mieszkał w małej kolonii Brzózka pod Łuckiem.

Chłopak był w strasznym stanie, poważnie ranny w nogę, miał rozbitą głowę, naderwane ucho i liczne zadrapania. Trząśł się cały i długo nie mógł wydobyć z siebie słowa. Konstancja opatrzyła mu pobieżnie rany, napoiła, podała talerz zacierka na mleku. Dała chłopcu bieliznę na zmianę oraz zbyt dużą koszulę Władka i stare spodnie, które trzeba było związać w pasie sznurkiem, by nie spadły.

Wygoniła dzieci z kuchni, okropnie bowiem płakała, gdy Bolek opowiadał o straszliwych wydarzeniach, jakie rozegrały się poprzedniego dnia w jego rodzinnej wiosce. W niedzielny poranek, kiedy niemal wszyscy mieszkańcy wracali z nabożeństwa, pojawili się na głównej drodze uzbrojeni Ukraińcy, w tym kilku na koniach. Zapewniali, że nie są banderowcami. Byli bardzo przyjaźnie nastawieni, rozdawali dzieciom cukierki, a mężczyźni zapraszali do budynku miejscowej szkoły na zebranie. Tłumaczyli, że skoro Ukraińcy i Polacy mieszkają na tych ziemiach od lat, nadszedł czas, żeby razem stawili czoło niemieckiemu okupantowi. Ponoć powstał pomysł stworzenia wspólnej partyzantki, która rozpocznie akcje zbrojne wobec hitlerowców.

Miejscowa ludność podchodziła dosyć sceptycznie do tej idei, ale uzbrojeni Ukraińcy byli tak natarczywi i przekonujący, że nie było jak odmówić pójścia na zebranie, tym bardziej że to niedziela i nie dało się wymówić ważnymi pracami w gospodarstwie. Kobiety i dzieci proszono,

żeby też przyszły przed szkołę i tam poczekały na swoich mężczyzn. Uprzejmie prosząc, Ukraińcy faktycznie przymuszali wszystkich, aby zamiast do domów skierowali kroki na owo zebranie, które miało trwać najwyżej godzinę.

Około dwunastej w południe zgromadziło się na podwórzu szkoły w sumie ponad sto pięćdziesiąt osób, w tym wiele dzieci, które marudziły, bo dzień był gorący i wszystkim chciało się pić. Kobiety, starsi mężczyźni i dzieci czekali, siedząc na trawie, pilnowani przez kilku Ukraińców, którzy zachowywali się nadal bardzo przyjaźnie i grali z paroma chłopcami w piłkę.

Kobiety niepokoiły się, bo przecież zaraz trzeba stawiać na stół niedzielny obiad, tyle roboty w domach na nie czeka, a tu tylko siedzą beczynnie. Jeden z Ukraińców, którego większość znała, bo był synem kowala z sąsiedniej wioski, tłumaczył, żeby czekały w spokoju, bo tu chodzi o ważne sprawy i wspólną walkę z najeźdźcą, a dla takiego celu warto chyba poświęcić jeden niedzielny posiłek.

Do budynku szkolnego weszło około sześćdziesięciu Polaków i kilkunastu Ukraińców. Długo stamtąd nie wychodzili. Niektóre czekające na zewnątrz osoby zaniepokoiło to, iż mimo upału nie otwarto w budynku żadnego okna. Ktoś pocieszał zmartwionych, że rozmawiają pewnie o tajnych sprawach i nikt nie może nic usłyszeć.

Minęła godzina, potem kolejne trzydzieści minut i większość dzieci płakała już z gorąca i braku wody. Co rusz któraś z kobiet prosiła syna kowala, aby pozwolił jej pójść do domu, ale ten coraz niecierpliwiej odpowiadał, że jeszcze moment, już zaraz będzie koniec.

Nagle rozległ się jakiś przeciągły gwizd i zza murów szkoły dobiegł przeraźliwy dźwięk serii z karabinu maszynowego. Dzieci wrzasnęły, kobiety poderwały się z trawy, ale pilnujący ich Ukraińcy niespodziewanie wymierzyli w nie lufy karabinów. Syn kowala, dotąd tak miły i łagodny, złapał za kark małego chłopca i powiedział, że jeśli ludzie się nie uspokoją, zastrzeli dzieciaka. Zapanowała potworna trwoga.

– To już wiadomo, po co oni nas tu przywlekli – westchnął ciężko jeden ze starców.

Kilka kobiet uklękło i zaintonowało pieśń *Pod Twą obronę*, ale

jeden z banderowców ostro zakazał śpiewu. W budynku szkolnym wciąż rozlegały się strzały. Już wszyscy wiedzieli, że tam w środku mordowani są polscy mężczyźni.

Po kilkunastu minutach ze szkoły wyszedł dowódca ukraińskiej bandy i zawołał do swoich pobratymców, że sprawa załatwiona. Reszta odpowiedziała mu radosnym okrzykiem. „Smert lacham” – zawołano, wznosząc karabiny ku niebu. Kobiety zawyły przeraźliwie, dzieci histerycznie płakały. Kazano zaraz wszystkim, którzy siedzieli przed budynkiem, powstać i uformować szyk, po czym padła komenda, by ruszać w kierunku pobliskiego lasu. Jeden ze starców nie chciał iść, więc strzałem w głowę powalono go na miejscu.

Kobiety przytulały dzieci, te mniejsze brały na ręce i szepcząc modlitwy, zalane łzami ruszyły ku zagajnikowi, a banderowcy, krzycząc teraz na nich wszystkich jak na psy, kopiać i lżyć, z wycelowanymi lufami karabinów pilnowali całego pochodu.

Niektóre z Polek, płacząc, błagały o litość dla swoich dzieci, zwracały się zwłaszcza do znanego im syna kowala, ten jednak kroczył z zaciętą miną i nie reagował na prośby.

Bolek szedł, trzymając za rękę młodszą, bardzo spragnioną picią, zapłakaną siostrę oraz matkę, która głaskała go co rusz po głowie i mówiła, żeby się modlił, bo niedługo staną przed obliczem Pana. Niemal wszyscy płakali, a jedna z kobiet nie wytrzymała i krzyknęła:

– Czemu nam to robicie? Zabiliście naszych mężów, dajcie nam ocalić nasze dzieci! Co wam zrobiły te niewinne...

Nie dokończyła, gdy powalił ją na ziemię strzał z pistoletu. Płaczące niemowlę, które niosła na rękach, upadło razem z matką na leśną ścieżkę i nagle zamilkło.

Prowadzono tak ten pochód przez sześćset metrów lasem, aż wyszli na zalaną słońcem polanę, gdzie pośród polnych kwiatów i traw ludzie zobaczyli świeżo wykopany dół. Większość przeżegnała się, szepcząc słowa modlitwy.

Kazano im wszystkim położyć się na ziemi, jedno przy drugim. Bolek położył się na brzuchu wtulony w bok rozdygotanej matki, do niego przywarł kolega z podwórka, z którym bawił się od najmłodszych lat. Chłopiec zanosił się płaczem i ścisnął Bolka za rękę. Rozległy się

strzały. Ukraińcy podchodzili kolejno do leżących ludzi i celowali w tył głowy. Co chwila słyhać było cichy jęk albo ostatnie westchnienie, niekiedy krzyk.

– To nasza ostatnia chwila, synku, przeżegnaj się – usłyszał Bolek drżący szept matki. Jej szczupłym ciałem wstrząsały straszliwe dreszcze.

Huk strzałów przybliżał się. Serce łomotało w piersi chłopca tak mocno, że zdawało się, iż zaraz rozerwie klatkę piersiową. Bolek zacisnął oczy, powtarzając w myślach słowa: „Zlituj się, zlituj się, Boże”. Tuż nad jego głową padł strzał. Chłopak poczuł, jak coś wilgotnego i ciepłego spływa mu na głowę. Nagle ciało matki zastygło. Nie żyła. „Teraz, teraz” – grzmiało mu w głowie. Rozległ się kolejny strzał, przeznaczony dla niego. Chłopak poczuł ból w uchu. Ciało leżącego po jego lewej stronie kolegi znieruchomiało, tak jak przed momentem ciało mamy. Ale Bolek żył. Czuł potworny ból ucha, ale żył.

Ukraińcy zabijali kolejne osoby. Co rusz milkł czyjś szloch czy krzyk dziecka. Bolek z całych sił starał się nie ruszać. Czuł, jak krew z przyciśniętej do niego głowy mamy ścieka mu po twarzy. Widocznie część jej mózgu i krew zalały głowę Bolka i przez to może Ukrainiec chybił.

Leżał tak bardzo długo, udając zmarłego. Starał się nie poruszyć, zwłaszcza kiedy ze słów wymienianych między oprawcami zrozumiał, że padł rozkaz sprawdzenia, czy ktoś przypadkiem nie przeżył, i dobicia konających. Kilku banderowców krążyło wokół ciał i kopniakami sprawdzało, czy ktoś jeszcze nie został trafiony. Strzelano do niedobitków.

Bolek wytrzymał mocny cios w nogę i leżał dalej. Po kilkunastu minutach oprawcy ustalili między sobą, że wrócą do wioski, gdzie ponoć już czekali, aby podpalić szkołę. Ukrainki siedzące na wozach obok wioski były już w pogotowiu, aby wejść do polskich domów i wynosić z nich dobytek. Wreszcie banderowcy postanowili, że wrócą pod wieczór zakopać zwłoki.

Gdy się oddalili, Bolek bał się podnieść z ziemi i trwał tak nadal, zalany matczyną krwią, aż nagle usłyszał czyjś cichy głos.

– Ktoś żyje? – pytała jakaś dziewczyna.

Wówczas podniósł głowę i zobaczył stojącą między ciałami

zabitych córkę mleczarza, dziesięcioletnią Helę, ubraną do kościoła w odświętną niebieską sukienkę i z takimi samymi kokardami w warkoczach. Stała teraz cała brudna, we krwi, z przerażeniem na twarzy. Bolek wstał, z trudem wyswobadzając się z oplatających go ciał biednej mamy i kolegi. Widok zwłok zalegających na większej części polany ogromnie nim wstrząsnął.

– Żyje kto? – zapytał cicho, a po chwili ze stosu ciał podniosła się jakaś kobieta i natychmiast uciekła w kierunku lasu.

Wstał też malutki chłopiec, zaniósł się od płaczu i zaczął potrząsać ciałem swojej martwej matki, powtarzając:

– Mama, mama, wstawaj.

Jakaś starsza kobieta podniosła się bez słowa, podeszła do chłopczyka, wzięła go na ręce i zaczęła mu coś szeptać do ucha.

– Musimy stąd uciekać, bo zaraz wróca! – rzuciła w stronę Bolka i dziewczynki w zalanej krwią niebieskiej sukience.

Wszyscy czym prędzej weszli do lasu i co sił w nogach pobiegli w przeciwnym kierunku niż ich rodzinna wioska, którą właśnie plądrowali banderowcy.

Bolek pomyślał o Marusi, bo czasami bywał w tej kolonii i znał do niej drogę. Tak trafił do Błońskich.

W kolonii dopiero kilka dni po krwawej niedzieli dowiedziano się o fali mordów, jaka przetoczyła się przez ziemię wołyńską jedenastego lipca. Ludzie wpadli w popłoch. Szał mordowania, jaki opanował Ukraińców wobec polskiej mniejszości, był eksplozją nienawiści o piekielnej sile, która musiała się w tych ludziach kumulować od dawna. Ten wybuch szaleństwa był iskrą, która miała wzniecić apokaliptyczną masakrę i spowodować całkowite unicestwienie.

– Zrobią z nami to, co zrobili z Żydami! – wyła Konstancja.

– My tu panami byliśmy i zawsze będziemy, wspomnisz moje słowa, Kostunia! – odpowiadał twardo Władysław.

Nie powiedział o tym żonie, żeby nie pisnęła słowa swoim kumom, ale wiedział od pewnego człowieka z Czarukowa, że Polacy nie pozostaną bierni i są tacy, którzy zamierzają zrobić Ukraińcom to samo, co ci robili swoim sąsiadom. Akcja odwetowa wobec małej wioski zamieszkannej wyłącznie przez ludność ukraińską nastąpić miała lada

dzień. „I bardzo dobrze” – powiedział sobie w duchu Władysław, wciąż przeżywając opowiedzianą przez Bolka historię.

Widać coś latami całymi rosło w tych Ukraińcach, jakieś poczucie krzywdy, zawiść wobec tych, którym lepiej się tu wiodło, chociaż żywiła ich ta sama ziemia. Wszyscy żyli tu niby po przyjacielsku, w dobrych stosunkach, a tak naprawdę od lat siedzieli na bombie, która teraz wybuchła. I naraz wszystkie te tłumione przez długi czas złe uczucia wzięły górę. Żądzę mordy można powstrzymać tylko siłą. Polak był i będzie tu panem. Nie ma wyjścia, trzeba zrobić im to samo co oni nam.

Tak to widział Władysław.

Dwa tygodnie później Wołyński Komitet Ukraiński wydrukował ulotki, które Polacy przekazywali sobie nawzajem. Niektórzy popi rozpowszechniali tekst odezwy w cerkwiach, licząc na to, że ludzie się w końcu opamiętają. Ale spirali nienawiści nie można już było powstrzymać.

28 lipca 1943 roku

Odezwa Wołyńskiego Komitetu Ukraińskiego¹

Ludu, opamiętaj się. Co czynisz? Rękami Ukraińca wróg mordował Żydów. Pokazał światu filmy tych mordów, gdzie przedstawił Ukraińców jako najgorszych despotów ludzkości. Nikt z nas wówczas nie wystąpił z protestem przeciwko tak nieludzkim uczynom mordu i rabunku. Gdy już zabrakło Żydów, wróg słowiańszczyzny Moskal i Niemiec, aby nie dopuścić do porozumienia i współpracy – skierował tychże bohaterów przeciwko swoim i innym narodom słowiańskim.

Planowa akcja mordowania Polaków jest najpotworniejszym występkiem Ukraińców. Jak można tego nie widzieć, nie odczuwać i robić tak wielką krzywdę swemu narodowi? Stać się tak ohydny narzędziem wroga? Mordem, rabunkiem sąsiada przez sąsiada, paleniem wsi – oczernimy sami siebie przed całym światem, kopimy sobie okropną mogiłę.

Wróg, korzystając z naszej naiwności, głupoty, robi sobie jeden drogę do pewniejszego powrotu, drugi przygotowuje sobie grunt pod „agitrobotę”.

Postarali się nasi „powstańcykowie”, że zamiast pod Orłem i Białgorodem Niemcy obrzucają bombami nasze wioski. Płonie Derwań, Ludwikówka, Malińsk – czeski, spłonęły Tajkura, Tuliczów i inne wsie. Nie takim trybem w wieku XX zdobywa sobie naród wolność.

Wieśniacy. Ukraiński inteligencie. Ojczy, przemów do syna i w razie potrzeby stań w walce z nim.

Inigdy więcej nie wchodź w zło, które niesie otumaniony, zaślepiiony syn. Historia nie zapomni o ojcu i nierozumnym synu. Już wkrótce siła rozumu i prawdy skończy ze złem. Wołyński Komitet Ukraiński, widząc tragiczny stan ludu ukraińskiego i rozumiejąc, do czego to prowadzi, wzywa wszystkich Ukraińców do zjednoczenia się i do zwrócenia całego potencjału Waszego narodu we właściwym

kierunku. Wszystkich, którzy przyczynią się do mordów, rabunku, bez względu na to, czy czynią to świadomie, czy nie – historia w przyszłości potępi i przeklnie.

Pamiętajmy. Musimy wyjść z wojny czysti – pomyślcie, jaką gotujemy sobie drogę.

Jedyną dla nas drogą jest to połączenie najbliższych słowiańskich narodów i wspólna praca.

Dlatego porzućcie w porę tę bratobójczą rzeź, tę haniebną robotę.

Do tego Was wzywa sprawa Waszej Ojczyzny.

Wołyński Komitet Ukraiński

Griante di Cadenabbia, 11 lipca 2016 roku

Dzisiaj przypada siedemdziesiąta trzecia rocznica krwawej niedzieli – dnia, w którym ukraińscy nacjonałiści dokonali zaplanowanych i zmasowanych aktów mordu na Polakach na Wołyniu. Napadnięto na dziewięćdziesiąt dziewięć osad i wiosek, w tym na kilka kościołów, brutalnie uśmiercając około stu tysięcy ludzi.

Myślę o tych wydarzeniach, siedząc na tarasie wakacyjnej willi nad jeziorem Como w pobliżu Mediolanu. Co dziwne, to zjawiskowe otoczenie: góry otaczające jezioro, bogata roślinność, widoczne na przeciwległym brzegu urokliwe Bellagio, wszystko to wcale nie odwodzi mnie od rozmyślań o rzezi wołyńskiej. Wręcz przeciwnie. Tutaj, o wiele wyraźniej niż gdziekolwiek indziej, czuję wręcz obowiązek skierowania swoich myśli ku tym, którzy cierpieli i umierali w niewyobrażalnym akcie ludobójstwa.

Jako matka trójki dzieci nie mogę wyobrazić sobie ogromu bólu, jaki musiały odczuwać wołyńskie kobiety, gdy widziały swoje córki i swoich synów nabijanych na widły, rozrywanych za nogi, wrzucanych do płonących budynków albo do studni.

Dużo myślę o tym, jak uzbrojeni partyzanci z UPA pędzili starców, kobiety i dzieci na miejsce kaźni, aby na jakiejś polance dokonać zbrodni. Najpierw gromadzono – podstępem lub siłą – w jednym miejscu mężczyzn i zabijano ich z karabinów bądź siekierami, widłami, nożami, tym, co oprawcy mieli w rękach. Ich żony, starych rodziców i dzieci wyprowadzano ze wsi, chcąc zapewne, aby masowe groby znajdowały się w miejscu oddalonym od samych osad.

Skazańcy szli zwykle przez kilka kilometrów lasem, często już wiedząc, co się z nimi stanie, gdy dotrą do celu. Myślę o tym momencie, gdy matki trzymają w ramionach albo ściskają za rączki swoje wystraszone, zmęczone marszem dzieci i serca rozrywa im ból i żal, w duchu wypowiadają słowa modlitw, bo tylko to można zrobić w takiej chwili. Wycieńczeni docierają w końcu do jakiejś polany, a tam Ukraińcy każą im kłaść się na ziemi. Małe dzieci płaczą, starsze z łkaniem kurczowo trzymają się ubrań matek. Serca łomoczą im w piersiach. „Zaraz, zaraz umrę” – myślą. Rozlegają się strzały. Seria

z karabinu albo pojedyncze wystrzały. Zaciskają powieki, wzywają Boga. Huk się przybliży. Wystrzał rozlega się tuż nad głową. Nie sposób sobie wyobrazić tej chwili. Nagły koniec, zatrzymanie, stop-klatka? Kto wie...

Dzisiaj, w siedemdziesiątą trzecią rocznicę zmasowanych ataków – nie pierwszych ani nie ostatnich, jakie miały miejsce na Wołyniu – mówi się znacznie więcej o tamtych wydarzeniach niż kiedyś. Wielu polityków i wiele osób publicznych nawołuje do tego, aby wreszcie zapomnieć i przestać rozdrapywać rany. Młodzi Ukraińcy zamieszczają w mediach społecznościowych filmiki i posty, w których mówią: „Przepraszam, ja wybaczam i wy wybaczcie”. Wiele się mówi o dobrych Ukraińcach, którzy ratowali Polaków, nakłania do tego, aby to im teraz poświęcić uwagę.

Ale czy można zapomnieć? Czuję, że o tamtych wydarzeniach trzeba mówić nadal. Sprawić, aby pamięć o ofiarach nie została zatarta. Może to one same się tego domagają? Wciąż czekają na sprawiedliwy osąd tego ludobójstwa, opowiedzenie świata o tym, w jak bestialski sposób sąsiedzi napadali na sąsiadów i bez skrupów odbierali im życie przy użyciu najbardziej prymitywnych narzędzi i metod, które nawet w średniowieczu uchodziłyby za barbarzyńskie.

Oglądam dziewiętnastowieczne wille, w których klasycystyczne freski zdobią – widzę to z poziomu ulicy – obszerne wnętrza. Te przypominające pałace budowle nad brzegiem jeziora toną w oszłamiająco bujnych ogrodach, w których palmy sąsiadują z cyprysami, azaliami, rozrośniętymi hortensjami i niezliczoną ilością innych kwiatów i krzewów. Villa Marguerita, w której Giuseppe Verdi napisał ponoć operę *Traviata*, Villa Carlotta, Villa Melzi, jedna wspanialsza od drugiej... Kto jest dzisiaj tak uprzywilejowany, aby spędzać czas w tych miejscach? Kim są ci mieszkający tu ludzie, jak wygląda ich życie? Chciałabym to wiedzieć.

Świat zawsze będzie miał skrajnie różne oblicza. Gdzieś tam trwa wojna i ludzie walczą o to, aby przetrwać kolejny dzień, inni zaś żyją w willach nad turkusowymi wodami jeziora Como, patrząc, jak promienie słońca przebijają się przez chmury i kładą na zalesionych zboczach wzgórz. Czy człowiek naprawdę ma wpływ na to, gdzie

dopełni się jego los: w bogatym i spokojnym zakątku świata czy tam, gdzie cierpienie, strach i walka są codziennością kolejnych pokoleń?

Patrzę na pokaz fajerwerków nad Como i myślę o tym, co powiedziałaaby matka, gdyby miała szansę odwiedzić ten rejon Włoch. Widzę, jak cmoka z uznaniem, przypala sobie papierosa i mówi z nutą żalu w głosie: „Pięknie, ach, mieć taki dom! Siedzieć sobie w tym ogrodzie, patrzeć na góry otaczające jezioro. Ale żeby utrzymać taką willę, trzeba być miliarderem... Wolałabym już mały domek nad naszym jeziorem. Gdzieś na Mazurach!”.

Krażąc ulicami miasteczka Como, które kiedyś było trzecią na świecie potęgą, jeśli chodzi o produkcję jedwabiu, wchodzę do jednego z licznych sklepów z szyldem „Seta”. Wybór jedwabnych artykułów jest ogromny – dziesiątki krawatów, szali, apaszek, a wszystko to w atrakcyjnych cenach. Idę wzdłuż półek z szalami i nagle natrafiam na chustę o dosyć szczególnym deseni, przypominającym zachodzące na siebie koła w stylistyce lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Kolorystyka tkaniny nasuwa na myśl fowistyczne zestawienia wściekłych barw: jaskrawa czerwień sąsiaduje z fioletem i oranżem. Nie mogę się oprzeć tej zadziwiającej kompozycji i idę z nią do kasy.

Ekspedientka pakuje kwadratową chustkę w gustowne tekturowe etui z napisem „Seta do Como”. Myślę o tym, że podaruję ten drobiazg mojej drogiej K., ale kiedy już odbieram od sprzedawczyni pakunek, mówię „*Arrivederci*” i kieruję się do wyjścia, nagle widzę przed oczami niemal ten sam dziwaczny deseń, gryzące się, jaskrawe kolory na chustce, którą jako dziecko wygrzebałam kiedyś z szafy pełnej starych ubrań matki i uznałam za nedorzeczną obrzydliwość.

Nagle dokładnie ją sobie przypominam. Nie była z prawdziwego jedwabiu. Pamiętam, że w dotyku była śliska i dość sztywna. Czasami nosiłam ją do kostiumu w pierwszych dniach wiosny, była idealna do stylizacji hipisowskich, które uwielbiałam. Musiałam zapomnieć o tej chuście, ale moja podświadomość doskonale zachowała tamten obraz. Nawet nie wiem, co się z nią stało, czy wylądowała wraz z dziesiątkami innych rzeczy w workach przeznaczonych dla Caritasu, czy może zachowałam ją dla siebie i teraz leży w jakimś zakamarku garderoby.

Po śmierci matki zbyt pochopnie wysprzątałam mieszkanie

rodziców, chciałam jak najszybciej pozbyć się wszystkiego, jakby rozdysponowanie gromadzonych przez nich latami rzeczy mogło sprawić mi ulgę i oszczędzić choć odrobiny bólu. Tak się oczywiście nie stało i teraz żałuję tego, co zrobiłam.

Ta chusta z Como jest symbolicznym początkiem odzyskiwania tego, czego się pozbyłam. Będę ją nosić w jesienne dni, jako dodatek do płaszcza.

Kolonia Marusia

Zawsze denerwowało ją podejście męża do dzieci. Kiedy wdrapywał się na nią w ich małżeńskim łóżu i prawił jej namiętym szeptem komplementy o „sterczących cycuszkach” i „krasnych guziczkach”, miała ochotę gwałtownie zrzucić z siebie tego starucha i uciec z krzykiem gdzieś, gdzie mogłaby być sama. Ale nigdy nie sprzeniewierzyła się małżeńskiemu obowiązkowi, w końcu przysięgała przed księdzem, że będzie posłuszną i dobrą żoną. Władek tak bardzo kochał dzieci, że ciągle się dopytywał, czy aby przypadkiem nie jest przy nadziei z kolejnym. Kręciła przecząco głową i nie reagowała na jego rozczarowanie. Wiedziała, że nie ustąpi i znowu będzie się w nocy na nią gramolił i próbował spłodzić kolejnego syna. Jego marzeniem było co najmniej pięcioro, najlepiej siedmioro dzieci.

Potrafił godzinami zajmować się dziećmi, podczas gdy Konstancja już po kilku minutach z Cyrylem czy Haliną traciła cierpliwość, krzyczała na nich, często okładała kuchenną ścierką.

Ale Władek nigdy ich nie karcił.

– Rozpuścisz ich, Błoński! – przestrzegala go, ale on nie potrafił być wobec nich stanowczy.

Najbardziej lubił się na stołeczku pod największą w ich sadzie gruszą, z Halinką na kolanach i Ceńkiem siedzącym u jego stóp na trawie, obierać nożykiem dorodną gruszkę, odkrawać plasterki soczystego owocu i wsuwać je dzieciom do buzi.

Konstancja nie mogła patrzeć na te rzewne sceny.

– Daj spokój, tyle roboty, a ty się zabawiasz w karmienie dzieci gruszkami. Lepiej byś pojechał gdzieś i znalazł kominiarza, żeby w końcu komin przeczyścił – mówiła z irytacją. – Tak ich rozpuścisz, że nic nie będą się rodziców słuchać – mruzczała pod nosem, zabierając się do wieszania świeżo wypranych przez służącą prześcieradeł.

Jej matka nigdy nie poświęcała uwagi piątce swoich dzieci. Zbyt wiele było do zrobienia w gospodarstwie, aby trwonić czas na zabawy czy rozmowy z dziatkami, które były nakarmione, zdrowe i mogły zająć się sobą nawzajem.

„Pamiętaj, Konstancjo, jak się mocno przywiążesz do małego

dzieciaka, a ten umrze – a przecież one często chorują i Bóg zabiera je do Swego domu – będziesz cierpieć bardziej, niż jakby własny mąż albo rodziciel zakończyli życie doczesne. Lepiej nie folguj tym uczuciom, dawaj do karmienia mamce, nie noś za wiele, nie przytulaj. Dobrze wiem, jak to boli, gdy takie dziecko przy piersi nagle dostaje gorączki i gaśnie, nim ksiądz zdąży dać mu ostatnie namaszczenie” – mówiła jej matka, która pochowała czwórkę swoich dzieci, a kilka razy traciła też te nienarodzone.

Konstancja najbardziej nie znosiła, kiedy Władek wpadał w sentymentalny nastrój. Miał wylewną wschodnią duszę i ilekroć napił się samogonu, zaczynał opowiadać o kolejach swojego życia i o tym, jak bardzo mu się poszczęściło. Zarobił trochę grosza i wrócił tutaj, na Wołyń, do najpiękniejszego miejsca na ziemi, do tych gęstych borów i szerokich stepów, do tej błogosławionej urodzajnej ziemi. Bóg odpowiedział na jego modlitwy i dał mu piękną młodą żonę, a także wspaniałe dzieci – pierworodnego syna i słodką córeczkę. Kto wie, może pobłogosławi mu kolejnymi dziećmi! Mówiąc to, rzucał się ku Konstancji i całował ją po rękach, klękał i przyciskał twarz do jej brzucha osłoniętego spódnicą i fartuchem.

Gdy wypił wystarczająco dużo, krzyczał:

– E, Kostunia! Przynieś no moją harmonię!

Jego uczuciowość wzbudzała w niej wstręt. Łzy kapały mu z oczu, gdy grał na harmonii rzewne piosenki, których nauczył się na froncie.

– Stary dureń – burczała Konstancja pod nosem i nie chcąc patrzeć na te błżeństwa, wracała do przerwanej roboty. Zawsze przecież było coś do zrobienia.

Najbardziej lubiła te chwile po zmroku, kiedy wokół zalegała cisza, dzieci spały spokojnie, parobcy chrapali i Władek chrapał po wypiciu sporej ilości wódki. Od najmłodszych lat lubiła być sama ze sobą. Niechętnie otwierała usta, była małomówna. Wystarczał jej własny świat, do którego nikogo nie dopuszczała.

W tym świecie był tamten. Nigdy o nim nie zapomniła. Pojawiał się w trudnych momentach, widziała go, jak gdzieś w oddali sunie między łanami zboża w białej koszuli z podwiniętymi rękawami, ze spuszczoną głową, z gęstymi ciemnymi włosami opadającymi grzywką

na czoło. Zawsze zamyślony. Jej poeta.

Był nauczycielem, który przyjechał z Lublina na Wołyń, aby uczyć w szkole powszechnej w Mychlinie. Tam go poznała. Była uczennicą ostatniej, siódmej klasy. Rodzice nie widzieli potrzeby, aby dalej się kształciła. Jej przeznaczeniem było zamążpójście, zostanie matką i gospodynią.

Wiadomo było, że nie będzie uczył zbyt długo, miał plany, ambicje. Pisał wiersze i chciał zamieszkać we Lwowie, co w końcu mu się udało.

Dużo spacerowali, on i Konstancja. Wymykała się nocami z domu, wychodziła przez okno z izby dzielonej z rodzeństwem i przy blasku księżycy całowała się z nim w ogródku, w którym odurzająco pachniały kwiaty. A on potem napisał o tym wiersz. Czytał jej swoje pierwsze utwory, a ponieważ niewiele rozumiała, wszystko tłumaczył. Jeden mówił o długich, złotych jak łany zbóż warkoczach Konstancji. Przeczytał jej go na polu łubinu, na którym pierwszy raz pozwoliła się dotknąć.

Konstancji zdawało się, że dopiero przy nim zobaczyła świat. Poznała zapachy, których wcześniej nie zauważała, barwy i kształty, na które dotąd zupełnie nie zwracała uwagi. Słowa okazały się czymś zupełnie nowym i nieznanym. Wszystko poznawała od nowa.

Aż pewnego dnia pod koniec wakacji powiedział jej, że wyjeżdża do Lwowa. Napisał wiersz o najbardziej zmysłowym lecie, jakie przeżył, o wołyńskim stepie i księżycu nad rzeką Styr. I tyle po nim zostało. Nawet tekstów tych wierszy już nie miała. On pisał, przysyłał jej własnoręcznie przepisywane utwory, ale kiedy nakłoniona przez ojca zdecydowała się wyjść za Władka, spaliła te listy. Jakie miały znaczenie, skoro zaczynała nowe, przyziemne życie? Nigdy już – wiedziała o tym w dniu ślubu – nie będzie kochać tak mocno, nie odda się z taką radością i w takim uniesieniu. Tak doniosłe rzeczy nie mogą się przydarzyć człowiekowi więcej niż raz.

Dlatego nie miała żalu, nie szukała nikogo, przy kim mogłoby się powtórzyć tamto lato. Miała w sobie na zawsze tamto bogactwo. Wojna mogła jej zabrać wszystko, zabić jej męża, dzieci, pozbawić ją domu i miejsca na świecie, ale ślad dotyku poety będzie miała ze sobą do

końca.

Konstancja od dziecka najbardziej na świecie bała się ognia. Źródłem tych lęków był pożar chałupy, w której we wczesnym dzieciństwie mieszkała wraz z rodzicami i czwórką rodzeństwa. Wiosną i latem gwałtowne burze były bardzo niebezpieczne. Jeśli piorun uderzył w kryty gontem dach albo drzewo przy domu, ogień błyskawicznie zajmował drewniane zabudowania.

W obawie przed pożarem, gdy nadchodziły gwałtowne burze, wszyscy domownicy czuwali albo spali w ubraniach, z tobołkiem pod ręką, w którym było kilka najpotrzebniejszych rzeczy, gotowi w razie pożaru ratować się natychmiastową ucieczką. Przez kilka nocy matka z ojcem na zmianę czuwali, aż pewnego wieczoru w maju 1915 roku piorun uderzył w ich dom. Uciekli w popłochu, a potem patrzyli, jak płonie chałupa, przylegająca do niej stodoła i chlew, w którym wydają potworne kwiki, paliły się żywcem zwierzęta.

Wojna, której wszyscy tak się bali, okazała się dla Konstancji okresem permanentnego napięcia, takiego jak tamto czekanie w gotowości na uderzenie pioruna w dom. Wówczas jednak wystarczyło przeczekać, aż minie burzowa pora, teraz z każdym dniem coraz mniej pozostawało nadziei na to, że groza i strach w końcu przeminą. Zmieniał się tylko oprawca – najpierw Rosjanie, później Niemcy, wreszcie Ukraińcy – a z każdym kolejnym miesiącem wojny nasilało się przekonanie o zbliżającej się śmierci.

Gdy Wołyń dostał się pod okupację Armii Czerwonej, szybko stało się jasne, że żaden inny oprawca nie może być bardziej okrutny niż Rosjanie. Po tym jak tysiące Polaków wywieziono na Sybir, niszczone gospodarstwo i dorobek życia ludzi, nakładając olbrzymie kontrybucje, rusyfikowano ludność i poddawano ją komunistycznej indoktrynacji, napaść Niemców na ZSRR dla wielu oznaczała nadzieję na lepszy los.

We wrześniu 1941 roku armię niemiecką, która tak bardzo różniła się wyglądem od rosyjskiej, witano w wielu miejscach kwiatami. Szybko jednak nowe rządy uprzykrzyły życie Polakom – chłopców i mężczyzn wywożono na roboty, a wiosną czterdziestego drugiego roku rozpoczęto likwidację Żydów, w czym aktywny udział brali też Ukraińcy.

Konstancja przeczuwała, że taki sam los może spotkać kolejne

narody, bo mówiło się, że trwają już przygotowania do rozprawy z Polakami. Ukraińcy widzieli w tym swoją szansę i wprost mówili o tym, że skoro skończono sprawę z Żydami, teraz czas zająć się kwestią polską.

– Pani, wy stąd uciekajcie, wykończą was niedługo – powiedział jej zimą 1942 roku felczer w Czarukowie, do którego pojechała wyrwać Cyryłowi ząb.

Większość ludzi lekceważyła jednak te niepokojące sygnały. Zresztą, dokąd miała uciekać? Nie tak łatwo zostawić cały dorobek życia, źródło utrzymania i własnoręcznie budowany dom, aby uciekać. Wierzono, że Niemcy nie pozwolą nacjonalistom ukraińskim na samowolną eksterminację Polaków.

W świetle tego, co wiemy dzisiaj na temat ówczesnych wydarzeń, łatwo zapomnieć, jak musieli postrzegać sytuację ludzie na tamtych terenach pod koniec czterdziestego drugiego roku, kiedy zaczęły się pierwsze napaści na Polaków. Takie incydenty musiały się zdarzać też wcześniej, jednak nie na taką skalę, nie z hasłem „Śmierć Lachom” na ustach.

Dziewiątego lutego 1943 roku wymordowano ponad stu siedemdziesięciu mieszkańców polskiej osady Parośla Pierwsza w powiecie sarneńskim. W kwietniu zamordowano ponad pięciuset Polaków w Janowej Dolinie.

Polacy stanowili niecałe siedemnaście procent ludności zamieszkującej województwo wołyńskie. Polskie kolonie były rozproszone, liczne, ale złożone zaledwie z kilkunastu czy kilkudziesięciu gospodarstw. Komunikacja między poszczególnymi osadami była siłą rzeczy ograniczona. Kiedy Rosjanie skonfiskowali odbiorniki radiowe, dostęp do informacji stał się bardzo utrudniony. Wieści o tym, co się dzieje, docierały z opóźnieniem.

W najczarniejszych snach nie podejrzewano nawet, iż nacjonalistyczne rządy ukraińskiej partyzantki już w lutym 1943 roku na konferencji OUN-B – zbrojnego ramienia UPA – podjęły decyzję o definitywnym usunięciu Polaków z Wołynia. Ukraińska Powstańcza Armia obawiała się, iż po klęsce Niemców pod Stalingradem tereny Wołynia zostaną zdominowane przez polską Armię Krajową, dlatego

chciano pozbyć się Polaków, zanim rozpoczną się międzynarodowe rozmowy na temat nowych granic państw europejskich.

Początkowo prowokowano wystąpienia chłopskie, chcąc skłonić Polaków do dobrowolnej ucieczki. W marcu podjęto decyzję o zbrojnym powstaniu przeciw okupantom w celu doprowadzenia do stworzenia niezależnego państwa ukraińskiego. Wydana została dyrektywa dowództwa UPA o „całkowitej, powszechnej, fizycznej likwidacji ludności polskiej”.

W maju i czerwcu 1943 roku napaści na polskie osady zdarzały się już na całym terytorium dawnego województwa wołyńskiego. Z raportów sporządzanych na potrzeby dowództwa Armii Krajowej wynika, iż było ono dobrze poinformowane o wydarzeniach na tamtych terenach.

Dziesiątego lipca 1943 roku przedstawiciele okręgu wołyńskiego AK udali się na rozmowy pokojowe do dowódców UPA. Znali wielu z nich osobiście z czasów szkolnych. Chcąc wykazać dobrą wolę, stawili się bez zbrojnej obstawy. Ukraińcy zamordowali ich z zimną krwią.

Nazajutrz, w niedzielę jedenastego lipca o świcie nastąpił skoordynowany atak banderowców na dziewięćdziesiąt dziewięć miejscowości zamieszkałych przez Polaków. W ramach ludobójczej akcji krwawa niedziela zginęło około dziesięciu tysięcy polskich obywateli.

Od tego dnia rzezi nie można już było powstrzymać.

Warszawa, maj 1986 roku

Tego dnia Halina wstała przed szóstą rano, aby przygotować wszystko na drogę – zrobić kanapki z szynką, zaparzyć herbatę i przelać ją do termosu, sprawdzić, czy spakował wszystkie niezbędne rzeczy, w tym długo wybierane i zapewne nietrafione prezenty dla wnuków. Musiała zdjąć wałki, które trzymała na włosach przez całą noc, wyszykować się, nakarmić suczkę Sabcię i dopiero po zrobieniu tych wszystkich rzeczy obudzić Mietka i Sylwię.

Chciała jak najlepiej wypaść przed teściami córki, do której jechali z krótkimi odwiedzinami. A widywali się rzadko, dwa, może trzy razy do roku – niby nie mieszkali daleko, ale nigdy nie składało się tak, aby odwiedzać się częściej.

Zaczęła dzień od założenia na dziąsła protezy, zapalenia papierosa i łyknięcia garści tabletek. Kilka minut później, smarując grubą warstwą masła kromki chleba, myślała o swoich córkach. Nie doczekała się syna, chociaż jej obumarły płód, przez który sama omal nie wyzionęła ducha, miał być ponoć chłopcem. Tak powiedziała jej pielęgniarka po zabiegu.

Obie córki były dużym rozczarowaniem. Już wiedziała, że nie mają potencjału ani możliwości, aby czegoś się w życiu dorobić. Agata z początku dobrze się zapowiadała. Była prymuską, przynosiła świadectwa z czerwonym paskiem, chociaż nikt jej nigdy nie pomagał w nauce. Gruba była od dziecka, zakompleksiona i może przez to nieprzebojowa. Kiedy w trakcie studiów medycznych urodziła dziecko, Halina była już przekonana, że nic z jej nauki nie będzie, ale dziewczyna skończyła stomatologię i zdobyła dobry zawód. Co z tego, skoro wyszła za niezaradnego inżyniera, do rodziców miała pretensję, że wysłali ją na studia, ale nie kupili jej prywatnego gabinetu, w którym mogłaby naprawdę zarobić. Pracowała w publicznej przychodni i wiecznie brakowało jej pieniędzy.

A Sylwia? Kiedy się urodziła, Halina żałowała, że to nie syn. Zdrowa, duża, czarnowłosa. Ale ojciec Haliny miał niestety rację... W siedemdziesiątym czwartym roku był już bardzo chory, miał uciętą nogę i nie mógł się swobodnie poruszać. Widział wnuczkę tylko kilka razy. Zmarł, gdy dziewczynka miała niecałe dwa lata.

Tuż po narodzinach popatrzył na noworodka i powiedział:

– Och, Halina, nie masz ty swoich dzieci... I jedna, i druga córka twoja Znojków jest, nie Błońska!

Tak wtedy stwierdził i nie pomylił się.

Jako mała dziewczynka Sylwusia była taka śliczna, rezolutna, można się było nią pochwalić przed ludźmi. Warszawa zgasiła ją i przytłoczyła. Kiedy córka zaczęła dorastać, potwornie zbrzydła. Przytyła i teraz w wieku prawie trzynastu lat jest tak gruba, że nosi spodnie, które Halina sobie uszyła, będąc z nią w ciąży!

Otyła jest jak wszyscy z rodziny Znojków. Tylko by ciastka jadła, smażyła frytki, robiła bitą śmietanę... Z nauką średnio jej idzie, nie jest tak inteligentna jak starsza siostra. Dziwna z niej dziewczyna, zamiast się interesować chłopcami, chodzić na dyskoteki, siedzi godzinami w swoim pokoju i wypisuje jakieś bzdury. Ponoć pisze powieści! Mietek z tego kpi, mówi, że to takie fanaberie nastolatki. Ale to nie jest normalne.

Mietek stał się ostatnio wręcz odpychający. Od lat już nie śpią w jednym łóżku, od czasu sprawy z S. nie dochodzi do cielesnych zbliżeń i ona tego wcale nie potrzebuje. Jest taki gruby, brzuch ma po prostu obrzydliwy.

Dzień w dzień Halina podsuwa mu wielki talerz gęstej tłustej zupy i zaraz drugi, kopiasto wypełniony ziemniakami z wieprzowiną w sosie, a potem patrzy, jak on pochłania to wszystko, wpatrzony w płachtę gazety. Zauważyła, że ostatnio coraz częściej przed snem nalewa sobie szklankę wódki. Myśli, że ona tego nie widzi... Częściej też wraca późno z pracy. Bywa pijany i agresywny. Kiedy mu powiedziała kilka dni temu, że się spił, warknął na nią: „Ty ciągle łykasz relanium i żyjesz, odczep się!”.

Płakała potem kilka godzin w swoim pokoju, ale nad ranem jej przeszło i jak gdyby nigdy nic zrobiła mu kaszanke na śniadanie. W końcu zarabiał na dom i oddawał jej pensję co do grosza.

Jednak nie ma co do niego złudzeń, już wie, że Mietek nigdy się nie zmieni, nigdy nie zostanie generałem i niczego więcej nie osiągnie. Nie dorobią się już domu z ogródkiem, o którym tak marzyła, nawet nie zmienią mieszkania i nie wyniosą się z tej Warszawy, której tak

nienawidziła. Żeby tylko Sylwia chociaż studia skończyła i zdobyła rozsądny zawód... Tylko tego jeszcze trzeba było dopilnować.

– Nie mam szczęścia w życiu – westchnęła Halina, pakując kanapki w papier.

Mietek co chwila ją ponaglał. Sylwia jak zwykle z trudem zwlokła się z łóżka, niezadowolona i niewyspana, bo poprzedniego wieczoru do późna czytała *Damę kameliową*.

Wszyscy w tym kraju umieli jakoś dorobić na boku, rozkręcić jakiś interes, sprzedać coś czy kupić za granicą, tylko nie jej Mietek. Przez to nawet boazerii nie mieli na ścianach, chociaż w prawie każdym domu w ich bloku sąsiedzi mieli modne deski. Tymczasem jej mąż nie chciał kupić choćby paru dolarów na czarnym rynku, mówił, że nie po to został pułkownikiem w wieku trzydziestu sześciu lat, żeby się zniżyć do nielegalnego kupowania waluty. Taki już był niezaradny życiowo.

Westchnęła i zapaliła kolejnego klubowego, po czym sięgnęła do kosmetyczki po następne relanium. Trochę się denerwowała przed spotkaniem z córką. Zawsze wyczuwała jakieś napięcie między nimi, chociaż nie rozumiała, o co Agata ma do niej pretensje.

W nerwowej atmosferze zapakowali do swojej żółtej syreny torby i siatki pełne wiezionych do Białegostoku podarunków i różnych produktów spożywczych. Sylwia usiadła z tyłu i miała za zadanie pilnować psa, który źle znosił podróż samochodem.

– Wsiadajże, kobieto! Ile można czekać! – syknął Mietek, gdy Halina po raz drugi kazała mu sprawdzać, czy dobrze zamknął mieszkanie.

Ruszyli.

– Halina, przypal mi papierosa – komenderuje Mietek.

Jest podenerwowany, bo pada deszcz, a szosa do Białegostoku zatłoczona. Halina podaje mu zapalonego klubowego. Saba wierci się z tyłu, ślina cieknie jej z pyska. W pewnej chwili zaczyna potwornie wyć.

– Jezu, uciszcie tego psa! Zaraz spowoduję wypadek! – syczy przez zęby Mietek.

Sylwia próbuje głaskać suczkę, przemawia do niej jak do małego dziecka.

– Mamo, otwieram okno, duszno mi od dymu!

– Nie! Nie wolno! – stanowczo protestuje Halina. – Przeziębisz się, a niedawno brałaś antybiotyki. Nie ma mowy. Wytrzymasz.

Saba zaczyna nerwowo szczeekać i wspinać się przednimi łapami na oparcie fotela kierowcy.

– Zrób coś z tym psem!!! – wrzeszczy Mietek.

– Wiem! Dam jej relanium, to ją uspokoi! Sylwia, daj mi jeden cukierek czekoladowy.

Halina sięga do swojej torebki i kosmetyczki w róże, z której wyjmuję małą tabletkę. Wciska pigułkę w miękkie nadzienie czekoladopodobnego wyrobu o nazwie Trufla i podaje psu, który łapczywie połyka smakołyk i wyje dalej.

– Cholera! Nie wytrzymam! – drze się Mietek. – Przypał mi papierosa i daj coś do picia!

Halina przypala kolejnego klubowego, wkłada go mężowi w usta, po czym nalewa z termosu słodką herbatę i podsuwa Mietkowi kubeczek. Ten bierze go, przechyla do ust i właśnie wtedy samochód wjeżdża w koleinę, szarpnięcie, gorący napój zalewa przód świeżo uprasowanej koszuli i krocze kierowcy.

– Aaaa! Cholera jasna! – krzyczy Mietek.

Sabcia wtóruje mu głośnym szczekaniem.

– Nie, nie! Zaraz wszystkich nas zabiję! Sabaaaa!!! Zostawię tę sukę na najbliższym poboczu! – Mietek jest tak wściekły, że jego nalana twarz przybiera kolor buraka.

Halina w popłochu bierze od córki kolejną truflę, znowu szpikuje ją relanium i bez słowa podaje psu, który płacząco zawodzi.

Sylwia kaszle od dymu wypełniającego samochód.

– Mamo, nie wytrzymam, muszę otworzyć okno! – prosi.

– Nie! Poczekaj, zaraz się zatrzymamy!

– Dlaczego mam się zatrzymywać? Ledwie minęliśmy Marki! – dziwi się Mietek.

– Muszę zrobić siku, Sylwusia na pewno też – mówi podniesionym głosem Halina.

Pies już nie wyje, z pyska toczy mu się tylko ślina. Kładzie się na tylnym siedzeniu i sprawia wrażenie, jakby konał.

Wszyscy nagle milkną. Deszcz ustaje i przez korony drzew mijanego właśnie lasu zaczyna przeświecać słońce.

– Mieczu, musimy ustalić, ile gotówki dajemy Agatce? – przymilnym głosem mówi Halina.

Mietek tylko wzdycha. Pies leży jak martwy. Sylwia wydaje się nie słuchać, czyta książkę o dziwacznym tytule *Zapałka na zakręcie*.

Wszystko jest w porządku.

Kolonia Marusia, 31 lipca 1943 roku

Po południu trzydziestego lipca spadł wreszcie obfity, wyczekiwany od wielu dni deszcz. Kiedy ulewa ustała, Konstancja wyszła na krótki spacer z Halinką, która siedząc zamknięta w domu cały boży dzień, bardzo się nudziła.

W osadzie wszyscy dorośli i starsze dzieci, w tym Cyryl, od kilku dni trzymali straż w obawie przed atakiem. Wszystkie okoliczne polskie wioski zorganizowały własną samoobronę, chociaż nie miały broni ani dużej siły liczebnej. Każdej nocy pełniono warty z kosami, siekierami, nożami, z czym kto mógł.

Powietrze nasycone było oszałamiającą słodką wonią kwiatów, które spragnione od wielu dni deszczu tego wieczoru wreszcie odżyły. W całej osadzie słychać było tylko granie cykad. Kula zachodzącego słońca przybrała różowy kolor, jakby chciała odegrać spektakl, zanim ustąpi miejsca księżycowi. Dzieci podskakiwały i śmiały się, bez troski się przekomarzając i walcząc ze sobą gałęziami.

Konstancja z córką przeszły przez drewniany mostek, przerzucony nad leniwie płynącym strumykiem, którego oba brzegi porastały gęste krzewy, następnie wkroczyły na naznaczoną kałużami drogę, wzdłuż której rozlokowane były gospodarstwa. Wydawało się, że jest tak spokojnie, błogo i pięknie, że nic złego po prostu nie może się wydarzyć.

Konstancja знаła tu każdą rodzinę i każdy dom. Te drzewa, krzewy, rabaty, zadbane obejścia wokół domostw, wszystko to tworzyło sielski obrazek. To było jej miejsce na ziemi, jedyne i niezastąpione. Opanował ją ogromny smutek na myśl o tym, że ten piękny zakątek, ten kawałek ziemi będący jej domem może przestać istnieć.

Dlaczego chciano przepędzić stąd Polaków, a nawet zatrzeć wszelkie ślady ich istnienia? Jak ludzie mogą być tak okrutni?

Co to Ukraińcom przeszkadza, że Polacy mają tu swoje połacie ziemi i na nich gospodarują? Przecież nikomu nie robią nic złego, chcą tylko spokojnie żyć i wychować tutaj swoje dzieci. Nie pojmowała, jak może to komuś przeszkadzać. Tyle lat funkcjonowali obok siebie, Polacy i Ukraińcy, Czesi i Żydzi. Dlaczego przez chore idee cały ten cudowny świat musi zamienić się w zgłiszcza? Przelana polska krew wsiąknie

w tę ukochaną ziemię i na zawsze naznaczy te tereny jako przeklęte.

Konstancja nie mogła zrozumieć tego szaleństwa, które zakradło się do ukraińskich dusz, chociaż Władek tłumaczył jej to wszystko z tysiąc razy. Nam, Polakom, wydawało się, że gospodarujemy u siebie, a tymczasem dla Ukraińców byliśmy tylko kolejnym oprawcą, którego obecność stanowi przeszkodę w powstaniu jednolitego państwa ukraińskiego.

Co z tego, że żyjemy tu razem, przekonywał ją mąż, który wszystko, co tu się działo, cały ten szal morderstwa w pewnym sensie rozumiał. Dla Ukraińca jesteśmy kimś, kto nie ma prawa czerpać korzyści z tej ziemi, zawłaszczyliśmy coś, co do nas nie należy, i teraz nadszedł moment, kiedy można nas stąd na zawsze przepędzić. Nikt jednak nie był w stanie pojąć bestialstwa, które miało tu miejsce. Było tak niezrozumiałe, tak niewiarygodne, iż wydawało się niemal nierealne. Jak uwierzyć w to, że człowiek, z którym sąsiaduje nasze pole, człowiek, którego widuje się dzień w dzień i wita, mówiąc „dzień dobry”, przyjdzie do mnie nagle z siekierą i będzie usiłował mnie zabić? Co więcej, ten ktoś, tak normalny i podobny do mnie, bez wahania wrzuci moje dziecko do studni, wbije w małe ciało widły i z okrzykiem radości obwieści swój triumf.

Tego Konstancja pojąć nie mogła. Potworny żal ścisnął jej serce, ilekroć spoglądała na swoje dzieci, na piękno tonącej w kwiatach kolonii. W ten słodko pachnący letni wieczór, gdy zobaczyła, jak na czujkach zmieniają się wytypowani na ten dzień mężczyźni, pocieszała się resztką nadziei, że to, co powiedziano Władekowi, musi być prawdą.

Przez pierwszą połowę lipca nie było dnia, aby nie docierały do nich wiadomości o kolejnych atakach na Polaków. Ukraińcy mieli ułatwione zadanie, wioski polskie były z reguły małe i łatwe do opanowania. Na pomoc ze strony polskiej partyzantki mogli liczyć tylko niektórzy. Oddziały AK na tych terenach były nieliczne i dopiero w fazie formowania. Nie było sposobu, aby kolonie polskie sprawnie się ze sobą komunikowały, poza tym ludzie nie mieli się czym bronić, a jeśli udawało się im stworzyć silną samoobronę i zdobyć broń, banderowcy denuncjowali uzbrojone wioski Niemcom. Ci pacyfikowali osady, wywozili ludzi na roboty, a wówczas Ukraińcy kończyli dzieło,

dobijając kobiety, dzieci i starców, grabiąc i podpalając zabudowania.

Zawsze podejrzliwy wobec Ukraińców Jan Mach – sąsiad z ich kolonii – twierdził, że banderowcy czekają, aż skończą się żniwa, i dopiero potem zaatakują. Ziemia w tym roku wyjątkowo obrodziła, będą najlepsze plony z możliwych.

– Po co mają nas teraz mordować? Sami nie dadzą rady obrobić swoich i naszych pól. Zrobią to zaraz po żniwach, żeby zaoszczędzić sobie roboty, zobaczcie! – przekonywał.

Rzeczywiście w ciągu ostatnich czterech dni jakby się wszystko uspokoiło. Może dowództwo UPA wydało rozkaz, aby zaprzestać tej rzezi? Niektórzy mówili, że Armia Krajowa próbuje negocjować rozejm, może uda im się dogadać z nacjonalistami.

Władek uspokajał żonę, mówił, że ich nie zaatakują, bo przecież między nimi żyją mieszane małżeństwa polsko-ukraińskie, a swoich nie będą zabijać. Ich właśnie oszczędzą, bo kolonia Marusia to maleńka ostoja normalności, tutaj żyje się bez żadnych wzajemnych pretensji, w zgodzie i harmonii, odwiedzając się z dobrym słowem i w katolickie, i w prawosławne święta.

Z tą myślą Konstancja poszła tej nocy spać.

O świcie trzydziestego pierwszego lipca zaczęło się.

Pełniący wartę młody Stefan Mach około czwartej trzydzieści zauważył, jak drogą od strony małej wioski Krasny Sad zbliża się do kolonii Marusia grupa kilkudziesięciu mężczyzn z widłami i kosami. Za nimi jedzie wóz, na który, gdy będzie po wszystkim, ładować będą zagrabione dobra. Przy każdym napadzie na polską osadę tak to właśnie wyglądało – gdy nie zakrzepła jeszcze krew zamordowanych, do wioski wchodziły ukraińskie kobiety. Ich zadaniem było plądrowanie domów i zabieranie dobytku, inwentarza, kosztowności i wszystkiego, co stanowiło jakąś wartość. Na końcu całą wioskę podpalano, aby Lachy nigdy nie miały tu po co wracać.

Stefan natychmiast oprzytomniał i zgodnie z ustalonym wcześniej systemem znaków zaczął gwizdać. Cała kolonia szybko stanęła na nogi, mężczyźni z nieskrywanym przerażeniem zajęli wcześniej umówione pozycje. Słyszeć było wycie psów.

– Jak przyjdzie zginąć, to pamiętaj, że cię zawsze miłowałem,

a dzieci nasze nade wszystko na tym świecie – szepnął Władysław, pocałował żonę w czoło i wyszedł z domu uzbrojony w długi nóż, nożyk ukryty w spodniach i wyostrzoną siekierę.

Zalana łzami Konstancja, w panice szepcząc słowa modlitwy, zabrała dzieci do małego pomieszczenia przylegającego do jednego z pokoi, które kiedyś zajmowała gospoia. Władysław zabronił jej chować się w ziemiance albo piwniczce, do której właz znajdował się w spiżarni, skąd schodziło się w dół po drabinie. Wielu Polaków ukrywało się w takich miejscach, a potem ginęli straszliwą śmiercią, spaleni żywcem od wrzuconej do środka wiązki podpalonej słomy albo granatu.

Do położonego najbliższej drogi domostwa rodziny Siwców zbliżała się już grupa Ukraińców z płonącymi pochodniami.

– Lachom smert! – z tym okrzykiem na ustach mężczyźni biegiem rzucili się ku wiosce.

Nawet nie próbowali – jak to często bywało – oszukać Polaków, iż przychodzą tu w celach pokojowych. W nocnej ciszy nagle zabrzmiała niosąca śmierć pieśń, od której przechodziły ciarki.

Ciszę przerwał wystrzał z niesionej przez Ukraińców rakiety.

– Zaraz podpalą słomiany dach chałupy! – Wacek nie krył przerażenia.

Nagle jednak rozległ się terkot serii z półautomatycznego karabinu. Zawyły psy. Zdezorientowani Ukraińcy zatrzymali się. Strzały dochodzące z piętra jednego z domów zaskoczyły napastników.

– Skąd ten Pypno ma półautomat? Nie przyznawał się wcale! Jak mu się udało ukryć broń przed Niemcami? – szepnął zaskoczony Władek do stojącego u jego boku Wacka. W obu braci wstąpiła nagle nadzieja, której do tej chwili do siebie nie dopuszczali.

– Ważne, że ma! Cholera go wie skąd.

Pierwsze strzały zbiły napastników z tropu. Wśród słabo uzbrojonych Ukraińców wybuchł popłoch. Wyraźnie zaskoczeni oporem Polaków, padli na ziemię i zaczęli się czołgać z powrotem. Sami mieli ze sobą najwyraźniej tylko narzędzia gospodarskie.

– Wycofują się! – szepnął Wacek.

Bracia uściskali się w przyływie radości.

– Jużem myślał, że nas zadźgają. Serce mi stawało na myśl o tym, że czas umierać – załkał Wacek.

Zaczęło świtać. Widząc, że grupa napastników zniknęła, Polacy odczekali kilkanaście minut i zgromadzili się przed domem Błońskich, gdzie gorączkowo zaczęli omawiać sytuację.

– Trzeba uradzić, co dalej. Ja nie widzę innego wyjścia jak ucieczka. Trza ratować życie! – powiedział Siwiec, a reszta mężczyzn zdecydowanie go poparła.

– Wycofali się, ale teraz już wiemy, że nie odpuuszczą naszej kolonii. Skoro raz przyszli, na pewno tu wrócą – orzekł najstarszy mieszkaniec osady, sędziwy Sećko.

Tylko Władek nie poparł pomysłu ucieczki. Kiedy wrócił do domu do uszczęśliwionych odwrotem Ukraińców żony i dzieci, Konstancja padła mu w ramiona. Władek usiadł na krześle, poprosił o szklankę samogonu, którą wypił duszkiem, i oświadczył, że on się nigdy stąd nie ruszy. Kolonia Marusia to jego dom, jego krwawica, której nie opuści.

– Raz ich przegoniliśmy, to i następnym razem sobie poradzimy! – powiedział.

Cicho popłakująca Konstancja poczuła, że już dłużej nie zniesie tego rosnącego w niej balonu strachu. Wreszcie pękł i Konstancja zawyla jak zwierzę, tarzając się w konwulsjach na podłodze.

– Ja tego nie wytrzymam, nie wytrzymam! Przecie oni tu wrócą! Na pewno wrócą, lepiej się przygotują, zdobędą broń i wrócą! Musimy uciekać!!! – krzyczała.

Władek kręcił tylko głową, powtarzając:

– To moja krwawica, nie oddam.

– Zabiją nas, nasze dzieci, zginiemy okrutną śmiercią, czy ty to rozumiesz?

Jęk Konstancji słyhać było aż na zewnątrz. Władek przemawiał do niej przerażony, myśląc, że postradała zmysły jak ta kobieta, która widziała, jak banderowiec wrzuca jej malutkie dziecko do płonącego domu.

– Ale Kostunia, ty zrozum! Ja przez pięć lat pracowałem u amerykańskich wyzyskiwaczy, ja harowałem ponad ludzką siłę, dzień w dzień, myśląc tylko o tym, że jak uzbieram dolarów, wrócę na Wołyń

i tutaj zacznę wreszcie żyć! Tyle lat, tyle potu i łez! Ja tam płakał nocami, z samotności, z tęsknoty za polską ziemią. Ile ja razy marzył, że wreszcie będę mieć własne gospodarstwo, żonę, dzieci, swój dom... – Władek niemal płakał. Dłońmi zasłonił oczy i siedział tak, trzęsąc się na skraju łóżka.

– Przecie dostałeś, coś chciał! Myślisz, że mnie nie żal tego wszystkiego? Ja przecie dla tych morgów, dla tego bogactwa za ciebie wyszłam! Za stary dla mnie byłeś, młodszego chciałam mieć chłopca, takiego, co to będzie chciał się bawić, tańczyć, śmiać się, a nie starego i smutnego jak ty! – wybuchła z wściekłością Konstancja.

Mąż wpatrywał się w nią oniemiały, nie mogąc wypowiedzieć słowa.

– Ja chcę żyć, nie rozumiesz? Ja chcę, żeby dzieci przeżyły, palicho te morgi, to wszystko. Życie ważniejsze. Jak chcesz, to siedź tutaj i czekaj, aż przyjdzie banderowiec, żeby cię siekierą na pół przerąbać. Ja zabieram dzieci, jak nie z tobą, to na wóz Wasiaka się zabiorę! Wyjeżdżam z kolonii!!! – oznajmiła twardo Konstancja.

Po raz pierwszy tak stanowczo przeciwstawiła się woli mężowskiej, ale wiedziała, że Bóg rozgrzeszy ją z tego aktu pychy.

Wyszła z sypialni, poleciała dzieciom, aby czekały gotowe do drogi, i zaczęła w pośpiechu pakować do płóciennych worków ubrania i inne naszykowane już rzeczy.

Po kilkunastu minutach w sieni pojawił się Władysław. Unikając wzroku żony, jak gdyby nigdy nic powiedział potulnie:

– Szkoda tych dywanów ormiańskich, prawda? Zakopię je razem z resztą rzeczy, poczekasz?

Konstancja tylko kiwnęła głową.

Władek przygotowane wcześniej worki z pamiątkami rodzinnymi, srebrną zastawą, którą dostali w prezencie ślubnym od jego zamożnej matki chrzestnej, zegarek po ojcu, jedyny naszyjnik z pereł, który przechowali w worku z kaszą i nie oddali enkawudziście, owinął w barwne dywany o orientalnych wzorach i ukrył w głębokim dole, który wykopał Wacek.

– Choćby nie wiem co, to wrócę i odkopię te rzeczy – uroczyście przyrzekł Władysław, robiąc znak krzyża.

W południe ostatniego dnia lipca ludzie zaczęli opuszczać kolonię. Żegnali się, mówiąc, że jeszcze tu wrócą, nawet jeśli Ukraińcy spalą ich domy, na pewno je odbudują i znowu będzie jak dawniej. Jedni ruszyli wozami w stronę sporego miasta na zachodzie – Włodzimierza, inni do swoich bliskich do Łucka.

Ci, którzy mieli rodziny tylko w okolicznych wioskach, nie mogli ryzykować i musieli znaleźć jakieś miejsce na przeczekanie. Duże miasta ponoć były już pełne uciekinierów, którzy nie mając się gdzie podziać, koczowali na ulicach, często chorzy i głodni. Niemcy wyłapywali zdolnych do pracy chłopców i mężczyzn i zabierali ich do tymczasowych obozów, z których byli ponoć potem kierowani na roboty do Rzeszy.

Takiego scenariusza bała się Konstancja. Gdyby została bez dachu nad głową, sama z dziećmi gdzieś na ulicy w Łucku, byłaby zgubiona.

Ich sąsiedzi, rozsądny gospodarz Antoni Wasiak i jego żona Teofila, powiedzieli im o małym kościółku, właściwie drewnianej kaplicy na skraju lasu w Antonówce, niecałe sześć kilometrów od kolonii Marusia, gdzie młody ksiądz Leszek oferuje schronienie uciekinierom.

Błońscy nie bardzo wiedzieli, dokąd uciekać, więc postanowili spędzić kilka nocy tak jak Wasiakowie w owym kościółku, tym bardziej że do tej pory do ataków na domy boże dochodziło w niedziele, w szczególne dla prawosławnych święta, jak Piotra i Pawła pamiętnego jedenastego lipca.

Opuszczali kolonię jako jedni z ostatnich i zdawało im się, że dwa domy zamieszkałe przez ukraińsko-polskie rodziny także opustoszały. Błońscy zamierzali już ruszać, gdy Wasiak postanowił jeszcze zastukać do drzwi najskromniejszej w osadzie chałupy krytej strzechą, należącej do Ukraińca nazwiskiem Porowczuk, który ożeniony był z Polką, córką mieszkającego po sąsiedzku Jankowskiego. Mieli dwójkę malutkich dzieci, zwykle bardzo krzykliwych, których teraz nie było nigdzie słychać.

Z domu nie dochodził żaden odgłos. Porowczuk nie otwierał, nie reagował też na wołanie, więc w końcu Wasiak pchnął drzwi, okazało się, że są otwarte. Po kilku minutach ciszy Błońscy usłyszeli wrzask

żony Wasiaka, która weszła do domu za mężem. Władysław też wbiegł do środka i zobaczył obraz, który na długo zapadł mu w pamięć. Na zasłanym pierzynami łożu małżeńskim Porowczuka leżała jego martwa żona i dwójka dzieci. Zdawało się, że śpią, dopiero po chwili Władysław spostrzegł ślady po kulach na ich skroniach, z których toczyły się strużki niezastygłej jeszcze krwi. Sam Porowczuk powiesił się na sznurze zaczepionym o wbity w sufit hak; wyglądał jak potępieniec z zastygłym na twarzy przerażeniem.

– Ubił ją, bo Polką była. Tak mu pewnie UPA kazała i tak zrobił. Swołocz! – Wasiak splunął na zwłoki Ukraińca.

Konstancja i żona Wasiaka nie mogły powstrzymać szloch. Nie bardzo lubiły żonę Porowczuka, bo nie bratała się z Polakami, chodziła do cerkwi i wychowywała dzieci w obrządku prawosławnym, a jednak było im jej żal. Głupi był ten Porowczuk, że tak się poddał nacjonalistycznej indoktrynacji. Choć widać miał wyrzuty sumienia, skoro i sam ze sobą skończył.

Władysław z sąsiadem w pośpiechu wykopali dół za domem Porowczuka i złożyli w tym prowizorycznym grobie nieszczęsną kobietę i jej dzieci, a Ukraińca pozostawili wiszącego na haku. Zmówili krótką modlitwę, wzięli worki z dobytkiem i dziewięcioosobową grupą ruszyli przez las. Halinka cały czas płakała, nie mogąc zrozumieć, że muszą opuścić dom.

– Ucisz ją, Kostunia, bo jeszcze kto usłyszy jej płacz – mówił Władysław.

Ich córka od kilkunastu dni ciągle budziła się w nocy z krzykiem, moczyła łóżko i nie chciała powiedzieć, czy śniło się jej coś złego. Teraz zachowywała się tak, że Konstancja wymierzyła jej siarczysty policzek i dopiero wówczas dziewczynka opanowała głośny szloch.

Władek najbardziej niepokoił się losem swojej siostry, mieszkającej w oddalonym o ledwie kilometr od Marusi Czarnym Lesie. Myślał, żeby może nadłożyć drogi i najpierw pójść tam, sprawdzić, co się dzieje w wiosce, ale Wacek zaproponował, że będzie bezpieczniej, jak sam zajrzy do siostry i może zostanie u nich kilka dni. Postanowiono, że spotkają się z Wackiem nazajutrz w kościele w Antonówce albo już w Łucku, który miał być docelowym miejscem ich ucieczki.

Warszawa, czerwiec 1998 roku

Sylwia wraca w triumfalnym nastroju ze spotkania w siedzibie francuskiej firmy budującej w Polsce hipermarkety. Wreszcie rodzice nie mają powodu, żeby się o coś do niej przyczepić. Jest magistrem prawa (na dyplomie ma ocenę bardzo dobrą), ma stałego chłopaka (co prawda ojciec kręci na niego nosem, bo B. nigdy nie pije alkoholu i pochodzi z rozbitej rodziny), w dodatku schudła, ma długie kasztanowe włosy i prezentuje się całkiem ładnie. Zaledwie dwa miesiące temu skończyła studia na Uniwersytecie Warszawskim, a już znalazła pracę w zagranicznej firmie! Będzie asystentką prawną w spółce z francuskim kapitałem i będzie zarabiała dwa tysiące złotych brutto.

Nigdy nie chciała zostać prawniczką, marzyła o pisaniu powieści, ale nikomu tego nie powiedziała. Nie dostała się na iberystykę i po serii awantur uległa prośbom rodziców, którzy wpadli na pomysł, aby poszła na studium prawa, za które trzeba było płacić wysokie czesne. Na studiach napisała powieść obyczajową pod tytułem *Wewnątrz spojrzenia* i wysłała ją na konkurs literacki. Zniechęcona porażką schowała dyskietkę z pierwszą poważną książką do szuflady.

– Bravo! Dwa tysiące złotych... To sześć razy tyle co moja renta! Ale teraz to chyba dołożysz się do utrzymania? – pyta matka.

– Szkoda, że na aplikację nie zdawałaś w tym roku, za rok musisz spróbować. – Ojciec wydaje się mniej poruszony pierwszą pracą córki.

Sylwia siada przy małym stoliku w kuchni i zaczyna jeść duszone żeberka z marchewką, które podała jej matka. Przełyka trzy, może cztery kęsy tłustego mięsa i odsuwa talerz. Zapala papierosa, matka zabiera talerz, po czym siada po drugiej stronie wąskiego stolika i zapala swojego.

– Czy ten twój chłopak już złożył deklarację? – pyta.

Sylwia nienawidzi tego jej badawczego spojrzenia.

Dreńczęce wyczekiwanie, grymas, gdy matka się zaciąga.

– Ale co miałby deklarować? – Sylwia przyjmuje postawę obronną.

– No wiesz co... Oboje studia skończyliście, idziecie do pracy. Do czego to wasze chodzenie prowadzi? Czas postanowić, w prawo czy w lewo... Oświadczyć się powinien!

– Daj spokój, mamó! Ja nawet nie wiem, czy chcę za niego wyjść!

– Jak to? To po co czas tracisz? Masz innego kandydata? Jakoś nie zauważyłam... Z biednej rodziny pochodzi, ale ma wykształcenie. Pytanie tylko, czy jest pracowity, obrotny, czy będzie umiał zarobić?

– Ale jakie to ma znaczenie?! – unosi się Sylwia i ostentacyjnie gasi papierosa, po czym bez słowa opuszcza kuchnię.

Leży na tapczanie w swoim pokoju, pełnym książek, płyt i kaset, i patrzy w sufit, na którym migają jasne plamki. To wzór tapety podświetlony padającym z okna blaskiem latarni. Jest wzburzona, jak zawsze, kiedy rodzice zaczynają jej stawiać żądania. Najpierw się wścieka, buntuje, a w końcu zawsze ulega. Czy kiedyś z nimi wygrała?

Jako siedemnastolatka postanowiła przejść na wegetarianizm. Reakcja matki i ojca na jej decyzję była wręcz kuriozalna – dla nich odmowa jedzenia mięsa oznaczała zaprzeczenie ich wartościom. Wstydzili się córki odmieńca. W teatralny sposób lamentowali nad jej głupotą i straszili niedorozwojem, wymyślnymi chorobami, o których nie mieli pojęcia. Każdego dnia jej dokuczali, a jak się później dowiedziała, za plecami córki do garnka z przygotowaną przez nią zupą dorzucali łyżkę smalcu, śmiejąc się przy tym do rozpuku.

Po ponadrocznym trwaniu na diecie wegetariańskiej lenistwo wzięło górę nad ideologią. Rodzice skapitulowali, przestali zwracać uwagę na to, co córka je, a wtedy jej przestało zależeć. Nie chciało się jej gotować i kiedy pojechała z koleżankami nad morze, zupełnie spontanicznie kupiła sobie hamburgera.

Pragnienie akceptacji ze strony rodziców dotąd zawsze wygrywało z jej marzeniami. Malowała obrazy i zamierzała zdawać do Akademii Sztuk Pięknych, ale codzienne pogadanki o tym, jak żaloszny i skazany na głód i cierpienie jest zawód malarza, sprawiły, iż się poddała przekonana, że nie ma talentu. O najsłabszym i najsilniejszym pragnieniu pisania nie mówiła im wcale. Ale przecież wiedzieli, że pisze powieści. Wiedzieli, ale udawali, że to nic nie znaczy, że to przejaw młodzieńczej głupoty, która w końcu minie.

Właściwie odnieśli sukces także na tym polu.

Dobrze płatna pierwsza praca, w dodatku ciekawa, rozwojowa, w jej ramach podróże do Francji i po Polsce, lunche i kolacje w drogich

restauracjach, międzynarodowe towarzystwo, coraz droższe stroje i kosmetyki, lepsze widoki na przyszłość... Wobec tego wszystkiego wizja poświęcenia się pisarstwu wydawała się coraz mniej realna. Tym bardziej że górę brała potrzeba wyniesienia się od rodziców, uwolnienia się od ich wścibstwa i wtrącania się w każdą sprawę.

Dokąd idziesz? Dlaczego z koleżanką, a nie z narzeczonym? A dał ci pierścionek? Bez tego to nieważne... Odkładaj sobie co miesiąc jakąś sumę, oszczędzaj na meble! Przestań się zadawać z tą Magdą, bo ona ci ukradnie chłopaka! Dlaczego obcięłaś włosy, nastrosz je trochę, w takich przylizanych brzydtko wyglądasz...

Nie mogłam tego znieść. Nie spałam w nocy, myśląc, że wszystko stracone, nie dam rady zostać pisarką. Nosiałam w sobie przeświadczenie, iż jeśli ulegnę i zacznę postępować według woli rodziców, będzie już po mnie. Czułam, że zwyczajne życie – praca, rodzina, dom – wyklucza możliwość tworzenia.

I znowu skapitulowałam.

Zakodowana we mnie konieczność przestrzegania konwenansów była silniejsza niż marzenia o wolności. Obawiałam się nawet mieszkania „na kocią łapę”, jak określała to z pogardą matka. Wyszłam za mąż i wyprowadziłam się z rodzinnego domu. Spełniłam oczekiwania, uległam nawet niektórym żądaniom matki w kwestii zaproszenia określonych gości na wesele.

Uroczystość weselna budziła we mnie niesmak, podobnie jak konwencjonalny ślub w białej sukni i w welonie. Ale nie oponowałam. Nie chciałam uczestniczyć w tej szopce, obcować z rodziną, która nie była mi wcale bliska. Ale uległam.

Chwilowo spełniłam oczekiwania. Praca, podróże, urządzenie mieszkania i zabawa we własny dom pochłaniały mnie całkowicie i z przerażeniem stwierdzałam, że nie jestem już w stanie pisać.

Minęło zaledwie kilka miesięcy od ślubu, gdy matka wysunęła kolejne żądanie:

– Masz już dwadzieścia pięć lat. Zaczynij się starać o dziecko, teraz jest najlepszy moment! Ojciec marzy o wnuczku czy wnuczce. Miałby co robić na emeryturze.

I ten obowiązek również spełniłam.

Marianówka na Wołyniu, 3 sierpnia 1943 roku

Aniela Błońska, ukochana młodsza siostra braci Błońskich, od dziecka zapuszczała włosy i zawsze była dumna ze swojego grubego złotego warkocza, który sięgał poniżej pasa nawet wtedy, gdy była już trzydziestoletnią matką pięciorga dzieci, a szóste rosło w jej brzuchu. Razem z mężem Jerzym Wiśniewskim, agronomem, mieszkali w położonej w pobliżu kolonii Marusia osadzie Marianówka. Zanim wybuchła wojna, żyło im się całkiem dostatnio, chociaż jedna z ich córek zapadła na dziwną chorobę, której żaden lekarz z Łucka, a nawet profesor ze Lwowa nie umieli rozpoznać. Z miesiąca na miesiąc słabła i traciła mięśnie. Noszono ją na rękach, widząc, jak z każdym dniem gaśnie i traci władzę w rękach i nogach.

Ten piękny warkocz sprawił, że Aniela zginęła w tak straszliwy sposób.

Ukryty w koronie starego dębu Wacek widział, jak za ten długi warkocz Ukraińcy przywiązali zapłakaną Anielę do gałęzi drzewa. Śmiali się głośno, żartowali, co chwila przekazując sobie z rąk do rąk butelkę z gorzałką. Ona milczała, obejmując tylko swój wzdęty brzuch. Zapewne już wiedziała, jak to się skończy. Aby zminimalizować ból, starała się stać na palcach, bo gdy tylko stopy całkowicie dotykały leśnego poszycia, włosy niemiłosiernie ciągnęły.

Serce łomotało Wackowi tak mocno, że myślał, iż zaraz pęknie. Łzy kapiące na gorące policzki zdawały się parzyć skórę. Trzęsąc się, powtarzał w myślach w kółko: „Boże, Boże, nie pozwól skrzywdzić mojej siostry, nie pozwól jej skrzywdzić”. Przymykał oczy, ale rozlegający się co chwila okrzyk bólu Anieli bądź któregoś z jej dzieci niczym nagły cios wstrząsał jego ciałem.

Aniela starała się zachować spokój i powstrzymać panikę, nawet gdy o świcie kilkunastoosobowa banda UPA otoczyła liczącą dwadzieścia gospodarstw Marianówkę.

Pierwszy zginął mąż Anieli. Sięgał po kosę, gdy roztrzaskano mu głowę siekierą, jakiej w okolicy używano do uboju zwierząt. Sam Wiśniewski pożyczal taką od sąsiadów – być może nawet od swoich przyszyłych oprawców – ilekroć bili świniaka.

Padł zakrwawiony w progu własnego domu, a jeden z Ukraińców splunął na niego i pożegnał go wiązką najgorszych obelg. Zaopatrzeni w tasaki, pogrzebacze, noże i łopaty mężczyźni z okolicznych wiosek rozpiechli się po pokojach i wyciągnęli z łóżeczek dzieci. Anielę, tak jak stała, w koszuli nocnej wywlekli przed dom.

Szukali Wacka, wrzeszczeli jego imię i nazwisko.

– Błonskij, Błonskij! – rozlegało się dookoła.

Wiedzieli, że chłopak od kilku dni mieszkał u siostry. Nie zorientowali się jednak, że nocuje w stajni, i gdy rozpoczął się napad, wykrzykiwane z ukraińskim akcentem nazwisko natychmiast postawiło go na nogi.

Wacek nie widział momentu, w którym jego szwagier pada martwy od ciosu siekierą, ale słysząc wrzaski dochodzące z domu i płacz dzieci, z których najstarsze miało zaledwie jedenaście lat, natychmiast zrozumiał, że banderowcy zamierzają wymordować i spalić całą Marianówkę.

To, co Wacek zobaczył, kryjąc się za stodołą, przekraczało najśmielsze wyobrażenia o tym, jak bestialsko może zachować się człowiek. Mężczyzn starano się zabijać od razu, wykorzystując element zaskoczenia. Podrzynano im gardła, rozrąbano głowy siekierą, jeśli tylko udało się rzucić ofiarę na kolana.

Z kobietami było inaczej. Te starsze, mało atrakcyjne, powalano na ziemię, bito je czym popadło i kopano po całym ciele, wyśmiewając się z ich krzyków i jęków. Odrąbano im głowy i kopano je jak piłkę nożną.

Kilka młodych Polek z Marianówki zabrano na tyły domów, gdzie zapewne przed śmiercią je gwałcono. Najgorzej jednak postępowano z dziećmi. Niemowlętami rzucono po prostu o ziemię, a jeden ze zwyrodnialców cisnął maleńkim zawiniątkiem w beciku o narożnik stodoły.

Wacek znał te dzieciaki, ilekroć bywał w osadzie, biegały za piłką albo płatały się po głównej drodze, bawiąc się w jakieś gry. Teraz słyszał ich krzyki, gdy przetrącano im kości, gdy mocnym kopniakiem gruchotano im czaszki. Kilkoro dzieci położono na trawie i jeden z partyzantów uspokajał je po polsku, a gdy czwórka chłopców i dwie

dziewczynki leżeli już spokojnie na wznak, kazał im zamknąć oczy, dał znak ręką i kilku Ukraińców jednocześnie wbiło noże w brzuchy ofiar. Krzyki mieszały się z wybuchami śmiechu. Jeden z chłopów, który pomagał banderowcom przy całej operacji, zjawił się z kosą i jej czubkiem rozdzierał krwawiące rany i wywlekał na wierzch jelita.

– Smert Lachom! – wołali mężczyźni, wznosząc triumfalnie ręce i strzelając w powietrze.

Wacek zamykał oczy i trzęsąc się, powtarzał sobie w myślach, że musi uciekać. Ale nie mógł. Gdy podniósł powieki, zobaczył, jak grupa Ukraińców wywleka przed dom ciężarną, oniemiałą od szoku Anielę i jej krzyczące wniebogłosy dzieci. Przerażonym i płaczącym dzieciom związano ręce sznurem, całą piątkę łącząc ze sobą w jeden rząd. Kobietę poprowadzono za dom. Poszło za nią dwóch młodziutkich chłopaków, głośno rzucając komentarze na temat wielkiego brzucha „polskiej kurwy”.

Ukryty za ścianą stodoły Wacek dostrzegł, iż jednym z napastników jest Jurij Krawczuk, brat jego niedoszłej narzeczonej Nadii, który jakiś czas temu przestał się pokazywać – widocznie zasilił szeregi ukraińskiej partyzantki.

Roztrzęsiony Wacek postanowił uciec i szukać ratunku. Przesuwał się ostrożnie wzdłuż ścian stodoły, po czym padł na ziemię i przeczołgał się pod stojący na skraju osady spichlerz. Masakra dokonywana w wiosce pozwalała mu na chwilową swobodę ruchów.

Co mógł zrobić? Do najbliższej osady polskiej było prawie trzy kilometry, a i ta – podobnie jak kolonia Marusia – mogła być opuszczona albo spalona. Potrzebował więc konia, aby dostać się tam jak najszybciej, chociaż w głębi duszy czuł, że i tak nikt nie może tu nikomu pomóc. Nawet gdyby dostał się do najbliższej wioski i zmobilizował śpiących jeszcze ludzi, zanim dotarliby tutaj, byłoby przecież za późno.

Jego myśli przerwał potworny wrzask Anieli. Wacek pomyślał, że siostra umiera, tu obok, niemal na jego oczach. Może ją gwałcili? Coraz rzadziej dobiegające z oddali piski i wrzaski świadczyły tylko o tym, iż rzeź powoli się kończy. Nad jedną z chat ukazała się łuna ognia – Ukraińcy podpalali poszczególne zabudowania.

Musiał uciekać. Nie oglądając się za siebie, Wacek ruszył biegiem

w kierunku zagajnika oddalonego od osady o kilkaset metrów. Słyszał nierówny, ale dumny śpiew banderowców, którzy rozprawiając się z polską wioską, zaintonowali pieśń brzmiącą dla Wacka jak hymn śmierci.

Smertne pole pochołne Lachiw,

Bandera nas w bij powede

Beryte zboju, chto tilki żyw

I stante nym sonce wzojde

Zelenyj haj skupajet nam rosoj mundury

Woroża pula nas ne weźme

Wpered, wpered, holubci siny

Laszoju krow chaj tepty doszcz zmywe.

Słyszał ją dokładnie, biegnąc wśród łąnów dojrzałego zboża, a w jego głowie nieprzerwanie odzywał się głos, popędzający go i każący mu natychmiast ratować własną skórę. Zdawał sobie sprawę, że nie może nic zrobić, by pomóc siostrze ani jej biednym dzieciom, a jednak oddalając się od osady, czuł się jak największy ze zdrajców. Wiedział, że zawsze będzie czuł do siebie obrzydzenie za to, że nie został w Marianówce, aby umrzeć ze swoją rodziną.

Biegł bez tchu. Zatrzymał się dopiero w lesie, zostawiwszy daleko za sobą przeraźliwe odgłosy rzezi. Odwrócił się zdyszany i wysoko na błękitnym niebie zobaczył obłok czarnego dymu. Osada płonęła.

Usiadł pod pnem rozłożystego drzewa, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, nie mając sił, by iść dalej przez las na wschód, w kierunku Łucka, gdzie miał się spotkać z bratem i jego rodziną. Nie miał pojęcia, jak długo siedział tam niezdolny się ruszyć, z gardłem ściśniętym od łez. Nieustannie powracał do niego obraz siostry w nocnej koszuli, z długim

warkoczem opadającym na plecy i wielkim brzuchem. Była przeraźliwie blada, ale opanowana, sprawiała wrażenie pogodzonej z nadchodzącą śmiercią.

Wacek płakał, mając wciąż przed oczami piękną twarz Anieli, która zawsze była dla niego dobra. Oby zabili ją szybko, oby nie cierpiała. Była najlepszą z kobiet, najbardziej wyrozumiałą, najmilszą. Jej biedne dzieci... Jak Bóg mógł pozwolić na coś takiego? To wszystko była wina Władysława. To on, gdy widzieli się z siostrą kilka dni temu, namawiał ją i szwagra, żeby nie uciekali z Marianówki. Twierdził, że to nie ma sensu, a ataki zostały powstrzymane – takie pozyskał skądś informacje. Zawsze mu się wydawało, że wszystko wie, z każdym rozmawiał, z każdym miał dobre relacje. Ale tego nigdy by nie przewidział.

Nagle Wacek usłyszał ujadanie psów, a po chwili krzyki oraz płacz dzieci i dźwięk ukraińskiej mowy. Zerwał się z ziemi i ukrył za pnem drzewa, w panice myśląc, dokąd uciekać. W oddali zobaczył idącą przez las kolumnę – kilku upowców prowadziło słaniającą się na nogach Anielę i jej dzieci. „Po co ich tutaj przywlekli? – pomyślał i ogarnęło go tak wielkie przerażenie, że nie mógł oddychać. – Zaraz umrę, zaraz będzie koniec” – łomotało mu w głowie.

Bez zastanowienia resztkami sił wdrapał się na wielkie drzewo i zamarł, wsłuchując się w łomot galopującego serca. Był gotowy na wszystko. Przecież to jego szukano, na nim zapewne chciano się w specjalny sposób zemścić za Nadię... Musiał zostać, musiał trwać i choćby w ten sposób pomóc umrzeć swojej siostrze.

Nie widział dokładnie tego, co wydarzyło się później. Pędzone jak zwierzęta, bite dzieci dotarły do zagajnika, słaniając się na nogach, zakrwawione i półprzytomne. Duże plamy krwi widoczne na pobrudzonej ziemi koszuli i nogach Anieli świadczyły o tym, że została zgwałcona, zapewne nie przez jednego, ale kilku oprawców. A może na skutek tego, co się stało, przedwcześnie rozpoczął się poród? Kobieta ledwie szła zgięta wół, trzymając się za brzuch.

Kolumna zatrzymała się na niewielkiej polanie, która miała stać się miejscem kaźni. Aniela nie mogła ustać na nogach, przywiązano ją więc za długi gruby warkocz do gałęzi drzewa. Jeden z Ukraińców

powiedział, że ma mieć oczy szeroko otwarte, bo jeśli je zamknie, jej dzieci będą obdzierane ze skóry albo powieszono zdychać będą godzinami. Jeśli chce, aby umarły jak najszybciej, niech patrzy...

Łkając teraz i zawodząc, Aniela starała się utrzymać otwarte powieki. Zapewne modliła się gorąco, patrząc, jak jeden z partyzantów, z satysfakcją łząc „polską swołocz”, pociągnął za długie włosy pięcioletnią Anusię i sprawnym cięciem poderżnął jej gardło. Czwórka pozostałych dzieci zawyła tak przeraźliwie, iż zdawało się, że echo niesione przez las powiadomi o tym bestialskim czynie całą okolicę.

Kolejny był Piotruś, jedenastolatek. Szlochał okropnie, ale nawet nie pisnął, gdy Ukrainiec zatopił nóż w jego obojczyku. Aniela zemdląła, ale szarpnięcie za włosy natychmiast ją ocuciło. Zamknęła oczy i zawołała płaczliwie, błagając o szybką śmierć:

– Mieście Boga w sercu. Przecież znam każdego z was, sąsiadami jesteśmy, dlaczego nam to robicie? Dlaczego?

Brat Nadii wymierzył jej siarczysty policzek i powiedział, że kolejne dziecko konać będzie godzinami.

Dwuletnią Różyczkę położono na wznak na ziemi. Jeden z mężczyzn trzymał jej ręce i wierzgające nogi, drugi wielkim nożem rozplątał jej brzuch i gołymi rękami wyrwał z ciała wnętrzności. Krzyk dziewczynki był tak straszny, że Aniela zawtórowała córce wyciem, które uciszył potężny cios kolbą pistoletu w skroń.

Przez moment panowała złowieszcza cisza. Wacek zaciskał powieki, a czaszkę rozsadzał mu taki ból, że chłopak niemal tracił świadomość. Myślał tylko o tym, aby jak najszybciej umrzeć, aby wszyscy umarli i zaznali wreszcie ulgi nieistnienia.

– Nu, kończ, Radu... – powiedział jeden z partyzantów z niecierpliwością.

Rzeź przestała ich już bawić. Pociągnęli gorzałki podanej im przez brata Nadii, po czym chlustając wodą w twarz nieprzytomnej Anieli, ocucili niemal nieżywą już kobietę i powiedzieli, że jeśli się nie skupi i nie będzie patrzeć na swoje dzieci, zaraz spalą je żywcem. Skatowana nieszczęsnica wybełkotała coś niezrozumiałego i wtedy jeden z oprawców strzelił z pistoletu w głowę najstarszego syna, a chwilę potem w skroń dziesięcioletniej Julci.

– Teraz ja, mnie zastrzelcie! – krzyknęła błagalnie Aniela.

Nikt jej nie odpowiedział. Zwłoki dzieci leżały bezwładnie na polanie. Kędzierzawy Ukrainiec, najbardziej beztroski i wesoły ze wszystkich, krzyknął, że czas wracać. Zebrali się do odwrotu, nawet nie spojrzeli na Anielę i ruszyli, nie zważając na jej błagalne prośby o zastrzelenie.

Kiedy odeszli na tyle daleko, iż do uszu Wacka dobiegł tylko świergot ptaków, chłopak zszedł z drzewa i podbiegł do siostry, która była już nieprzytomna i tylko mamrotała coś niezrozumiałego. Nie miał czym odciąć warkocza od drzewa i musiał szarpać się kilka minut, by odwiązać włosy od gałęzi. Potem ułożył zmasakrowane ciało kobiety na mchu. Jej podbrzusze i nogi zalane były ciemną krwią, twarz także pokrywała lepka czerwona maź. Szepcząc jakieś słowa, których później nie pamiętał, głaskał ją po włosach, całował drżące wargi.

Musiał stracić przytomność, bo niczego już później nie pamiętał. Gdy się ocknął, leżał w łóżku w jakimś obcym domu. Coś do niego mówiono, płakano i modlono się na głos. Niczego nie rozumiał. Nie mógł wydobyć głosu. I tak już miało pozostać na zawsze.

Warszawa, luty 1988 roku

Jest ponury zimowy dzień. Chodzę do siódmej klasy podstawówki. Noszę dekatyzowane spodnie kupione na bazarze Różyckiego, mam okropnie wycieniowane po bokach włosy, kolczyki w kształcie plastikowych gwiazdek, pryszczę na twarzy posmarowane białą maścią i za żadne skarby świata nie chcę nosić w szkole okularów, mimo że stwierdzono u mnie galopującą krótkowzroczność.

Właśnie wróciłam ze szkoły mieszczącej się w wielkim nowym budynku przy ulicy Abrahama na Gocławiu. Po lekcjach – jak bywało nawet kilka razy w tygodniu – musiałam kupić matce lekarstwo na żołądek, biały miętowy płyn, który nazywała „mleczkiem”. Bez wypicia kilku butelek dziennie nie mogła zjeść żadnego posiłku, nie skarżąc się na potworny ból brzucha. Problem ze zdobywaniem „mleczka” polegał nie tylko na ilości, jaką trzeba było zapewnić w każdym tygodniu, ale przede wszystkim chodziło o to, aby produkt miał konkretne opakowanie. Lek występował w plastikowych i szklanych butelkach, ale matka akceptowała tylko te szklane. Twierdziła, że ten w plastyku nie działa.

Niestety, bywały takie dni, iż w żadnej aptece nie można było kupić mleczka w szkle, przywoziłam więc plastik, wiedząc, że matka będzie ostentacyjnie niezadowolona i nie uwierzy w moje zapewnienia, iż w pięciu odwiedzonych aptekach nie było „mleczka” w odpowiednich butelkach. Wtedy to ojciec po powrocie z pracy musiał jechać samochodem gdzieś poza Pragę i do skutku poszukiwać „mleczka” w szkle. On też złościł się w takich sytuacjach i nie pozwalał potem przełączać telewizora na wieczorny seans *Niewolnicy Isaury*.

Ojciec zajmował się realizacją wystawianych przez różnych lekarzy recept na relanium (mnie jako dziecku kilka razy odmówiono sprzedaży leku w aptece – niestety, nie nadawałam się do tego zadania), ja byłam odpowiedzialna za „mleczko”.

Był to tani produkt leczniczy, działający na zasadzie placebo, ale matce absolutnie niezbędny. Musiałam kupować po dwie butelki w różnych aptekach. Miejsce zakupu zmieniałam co kilka dni. Gdy tego nie robiłam, farmaceutki rozpoznawały mnie i patrząc podejrzliwie,

pytały, dlaczego kupuję ciągle ten sam lek, skoro brałam go zaledwie dwa dni temu. Co mogłam powiedzieć? Czasami tłumaczyłam, że kupione wcześniej butelki rozbiłam. Tak się niestety naprawdę zdarzało, zwłaszcza gdy wracałam do domu zatłoczonym autobusem. Wówczas nie dość, że nie miałam „mleczka” dla matki, to jeszcze książki i zeszyty w plecaku lepiły się od słodkiej substancji.

Najbardziej lubiłam aptekę na osiedlu Afrykańska, gdyż sąsiadowała z nią biblioteka. Wchodziłam do niej co najmniej raz w tygodniu i wymieniałam książki, które wprost pochłaniałam: Siesicką, Musierowicz, Dumasa i dziewiętnastowieczne romansidła.

Teraz, po powrocie z „udanych łowów”, z trzema – a nie zwyczajowymi dwiema – butelkami „mleczka”, nie ryzykuję ataku niezadowolenia matki. Poza tym mam dobry humor, bo nie zadano nam w szkole zbyt wielu lekcji na jutro i udało mi się wypożyczyć *Trzech muszkieterów*, których co prawda już czytałam, ale miałam ochotę przeżyć to ponownie.

Wyprowadzam na spacer naszą sukę Sabcię, która miała być ponoć owczarkiem nizinnym, a jest mieszańcem o krótkich nogach i niebywalej ilości kręconych kłaków, i po dwóch okrążeniach bloku szybko wracam, nie przejmując się zbytnio tym, że napotkane w osiedlowej alejce dzieciaki pokazują mojego psa palcami, wyśmiewając jego otyłość.

Moje myśli zaprzęta kwestia, jak zdobyć nowy plakat ulubionego George’a Michaela i jak uprosić matkę, aby pozwoliła mi wyjść w sobotni wieczór na urodziny koleżanki mieszkającej na dalekim Ursynowie.

Z wyjściami z domu o późnej porze jest ogromny problem, rodzice nigdy się nie zgadzają. Teraz „przygotowuję grunt” – zjadłam bez oznak niezadowolenia zawieszistą grochówkę z boczkiem i ociekający smalcem mielony kotlet z ziemniakami, od którego czuję mdłości. Robię, co mogę, aby przypodobać się matce, która gotując, stoi jak zawsze z ręką wspartą na biodrze, z papierosem w ustach i znowu opowiada o Wołyniu.

– A jaka była babcia? Wcale jej nie pamiętam... – pytam matkę, udając zainteresowanie.

Wiem, że jeśli mocno się wkręci w swoją opowieść, będzie

bardziej podatna na moje prośby. Tę strategię stosowałam już wcześniej, nie chcąc iść do szkoły na trudną klasówkę albo z uwagi na jakieś zawody sportowe, a także gdy potrzebowałam na coś gotówki (zwykle chodziło mi o magazyn „Bravo” kupowany na bazarze Różyckiego). Matka akurat w kwestiach szkoły i pieniędzy była wyrozumiała i kryła mnie przed ojcem.

– Moja mama... Ciągle zajęta była, zawsze zapracowana. Całe życie tylko harowała, nigdy nie widziałam, żeby tak sobie po prostu siedziała. Na wsi jest tyle rzeczy do zrobienia... Ale jej to chyba pasowało, żeby w tę pracę uciekać. Cyryl był duży, ja musiałam zajmować się Jankiem, nami się matka już wcale nie opiekowała. Była zimną osobą, nigdy nie chwaliła, nie przytulała, nie okazywała czułości. Co innego ojciec, ten aż za bardzo się czasem nami zachwycał, co matkę denerwowało... A wiesz, że śniła mi się chyba przedwczoraj. Nawet nie wiem, czy to na pewno był sen. Może do mnie przyszła? Zapytałam: „Mamo, jak ci tam jest po drugiej stronie?”. „Bardzo ciężko tu pracuję, bardzo ciężko”, odpowiedziała. I tyle.

Matka nieruchomieje nad wielkim garem, w którym miesza kiszoną kapustę. Ojciec zażyczył sobie bigos.

Podchodzę do zlewu, nalewam trochę wody do szklanki i podnoszę naczynie do ust.

– Co ty robisz? – pyta matka oburzonym tonem. – Brzuch cię rozboli od surowej wody! Nie wolno. Herbaty sobie weź!

Wzdycham i bez słowa nalewam do osadzonej w plastikowym koszyczku z rączką szklanki trochę smolistej esencji z porcelanowego czajniczka, który zawsze stoi na blacie przy płycie kuchenki gazowej. Zaparzana każdego ranka trudna do kupienia liściasta yunan wystarcza do godzin wieczornych. Do odrobiny mocnej esencji dolewam z czajnika wody i dosypuję cukier. Tak ponoć przygotowywano herbatę na Wołyniu i matka nie uznaje innej metody picia tego najważniejszego dla niej napoju. Żadnych torebek, żadnych parzeń bezpośrednio w szklance.

– Oj, mój ojciec to zawsze mówił, że nic tak na brzuch dobrze nie wpływa jak herbata. Samowar zawsze w domu u rodziców był. Jak tata zachodził do kogoś do domu i nie był częstowany herbatą, mówił, że nigdy już u tego człowieka jego noga nie postanie. To była obraza nie do

wybaczenia. „Nawet herbaty nie zaproponował”, mawiał ojciec i wiadomo było, że ten ktoś jest skreślony na zawsze!

Wzdycham i nic nie mówię. Patrzę na zawieszony na ścianie okrągły zegar. Wiem już, że raczej niczego dzisiaj nie przeforsuję. Zaczyna się opowieść o życiu na Wołyniu, która potrwa co najmniej pół godziny. Zaraz będzie czwarta trzydzieści i ojciec wróci z pracy.

Kiedy pojawiał się w domu ojciec – zwykle około siedemnastej – matka całą energię poświęcała na spełnianie obowiązków żony: stawiała przed żywicielem rodziny szklankę herbaty, talerz gęstej tłustej zupy, następnie kopiastą porcję drugiego dania. On czytał w trakcie jedzenia gazetę i nie należało mu przeszkadzać w tej czynności. Matka chyba nigdy niczego nie jadła – takie miałam wrażenie. Wigilia była jedynym dniem w roku, kiedy zasiadaliśmy na moment razem do stołu, chociaż matka nie jadła przygotowanych przez siebie potraw. I tak nieustannie wstawała, aby coś donieść albo zabrać, i mówiła, że jest zbyt zmęczona szykowaniem świąt, aby cokolwiek zjeść.

Mimo wszystko ryzykuję i pytam przymilnym głosem:

– Mamo, mogłabym pójść do Aśki na urodziny w sobotę wieczorem? Zaprosiła mnie, cała klasa będzie...

– Wieczorem? O której i gdzie? – Matka jest zaniepokojona.

– O szóstej, na Ursynowie. Ale zabrałabym się z koleżankami.

– Co? O nie! To koniec świata jest! Ja się tu będę denerwować, że coś ci się stało...

– Mamo... Dlaczego nigdy nie mogę wyjść? Dlaczego? Wszyscy gdzieś chodzą wieczorami, tylko nie ja! – Nie mogę opanować złości, krzyczę.

– Nie rozumiesz, że to niebezpieczne?

– Dobrze! Nigdzie nie pójde! Będę tu siedzieć z wami, zawsze tak się kończy. Bo ty się denerwujesz, a ja nie mogę mieć normalnego życia. Co mi się stanie? No co?! – Z wrzaskiem wstaję z krzesła, idę do swojego pokoju i trzaskam drzwiami.

Z przedpokoju dobiega zgrzyt klucza w zamku. Pies zaczyna szczekać z radości, że pan wrócił do domu.

Po godzinie opuszczam malutki pokój, którego ściany od góry do dołu pokrywają śmieszne malowidła dużych rozmiarów z korpusami

kolorowo ubranych aktorów i piosenkarzy, którym przyklepam wycięte z plakatów głowy.

Matka siedzi na krześle na wprost wejścia do kuchni, dziwnie pochylona, w pozie mającej wyrażać rezygnację. Ze zboloną miną pali papierosa. Spogląda na mnie z niechęcią, krzywiąc usta w gorzkim grymasie.

– Co ci jest? – pytam butnym tonem.

W głębi serca czuję niepokój, że coś się stało.

– Nic... Piecze mnie w mostku. To pewnie zawał – wzdycha matka.

Zaczynam się naprawdę bać. Żeby to tylko nie był zawał! Jestem przerażona i żałuję swojego zachowania. Dlaczego tak krzyczałam? Nie zależy mi aż tak bardzo na tych urodzinach. I tak nigdzie nie chodzę.

Siadam przy kuchennym stole i pytam miękko:

– Może zrobić ci herbaty?

Antonówka, sierpień 1943 roku

Kiedy wieczorem Błońscy i Wasiakowie dotarli do małego drewnianego kościółka w Antonówce, ksiądz Leszek powitał ich bardzo serdecznie i zapewnił, że są mile widziani i bezpieczni. Gospodyni księdza poczęstowała ich gęstą zupą z zacierkami i przydzieliła miejsce w kącie świątyni, gdzie mogli rozłożyć sobie koce i worki z zabranym z domu dobytkiem.

W kaplicy koczowało już ponad trzydzieści osób, a do następnego ranka przybyło niemal drugie tyle. W nocy mężczyźni pełnili wartę, uzbrojeni w kosy i widły, kobiety nieustannie się modliły i śpiewały nabożne pieśni. Rankiem ksiądz odprawił mszę, co trochę podniosło na duchu ludzi, których większość opłakiwała zmarłych w ostatnim czasie bliskich.

Władysław był bardzo niespokojny, przez całą noc nie zmrużył oka, mimo że okropnie dokuczało mu kolano, które bolało go, od kiedy został ranny w nogę w czasie wojny. Wacek się nie pojawił, co bardzo go niepokoiło. W pewnym momencie podjął decyzję, że przejdzie lasem tych kilka kilometrów i tylko zobaczy, czy zabudowania w kolonii Marusia wciąż stoją nietknięte, czy też Ukraińcy już zdążyli ograbić i podpalić osadę.

Konstancja wpadła w panikę, gdy usłyszała, że Władek chce iść sam do kolonii, ale ten się uparł: musi zobaczyć swój dom i koniec. Może Wacek tam na niego czeka i ich siostra potrzebuje pomocy?

Obiecał, że wróci przed zmrokiem.

Sierpniowy dzień był bardzo ciepły i pogodny, Władysław szybko pokonał drogę przez gęsty las. Gdy wyszedł na pola pokryte sięgającym piersi rzepakiem, zobaczył mężczyznę na rowerze. Wiedział, że musi to być Ukraińiec, Polakom nie wolno było mieć i używać rowerów.

Padł czym prędzej na ziemię, ale było za późno – mężczyzna zdążył go już zauważyć i krzyczał coś w jego kierunku. Władysław ścisnął mocniej rękę noża i wyłonił się z gęstwiny rzepaku.

Ku jego zdziwieniu okazało się, że zna osobę na rowerze. Był to stary Ukraińiec, gospodarz nazwiskiem Orczuk, z którego synem Władek chodził do szkoły powszechnej w Czarukowie i którego często

spotykał na targu w Skurczach. Odpowiedział więc na przywitanie i nie chcąc wdawać się w rozmowę, ruszył przed siebie, w kierunku kolonii.

– Nu, poczekajcie, Błonski! – zawołał za nim Orczuk. Podeszedł bliżej, a kiedy stanęli oko w oko, kazał mu kucnąć pośród łodyg rzepaku i opowiedział szeptem straszne rzeczy.

Ponoć banderowcy ukradli z niemieckiego magazynu dużą ilość broni, szykują się na mocne uderzenie na okoliczne polskie wioski. Wszystkie osady będą napadnięte, żadnej nie odpuszczą.

Ukrainiec mówił to ze łzami w oczach. Zapewnił, że nie podoba mu się to, co się tu dzieje, ale nic nie może zrobić. Działacze UPA zwoływali wszystkich chłopów na zebrania, na których nakazywali walczyć o wolną Ukrainę i wybić wszystkich Lachów do szóstego pokolenia. Nawet pop ostatnio święcił kosy, piły, widły i tasaki przygotowane na Polaków. Wstyd mu było za syna, Władysław go dobrze przecież zna, bo i on, i jego synowie, i żona nawet, wszyscy uczestniczą w napadach na wioski.

– A kościół w Antonówce? – zapytał Władysław.

– W nocy zostanie podpalony! – oświadczył Ukrainiec.

Władysław podziękował za ostrzeżenie. Zdawał sobie sprawę, jak wiele ryzykuje stary Orczuk, przekazując mu te informacje. Nie miał powodu, aby mu nie wierzyć. Widać opatrność boska sprawiła, że spotkał go tu i teraz. Władysław przeżegnał się i zmówił *Ojciec nasz*, dziękując Bogu za ten znak. Byle tylko zdążył na czas do Antonówki.

Czym prędzej zawrócił do lasu i ile sił w nogach popędził ku kościółkowi, który pękał już w szwach od zgromadzonych w nim uciekinierów z okolicznych kolonii i wsi. Odszukał księdza Leszka i przekazał mu informacje uzyskane od starego Orczuka. Ale zarówno sam ksiądz, jak i większość mężczyzn, którzy usłyszeli o planowanych napadach, podeszli do tych wieści bardzo sceptycznie.

Ponoć wielu Ukraińców specjalnie przekazywało Polakom takie wiadomości, bo chcieli, aby opuszczali swoje osady i ułatwiali zadanie banderowcom, którzy najpierw łupili wioski, podpalali je, a potem szukali dużych grup chowających się po lasach Polaków, by ich wytłuc. Ksiądz Leszek zapewniał, że Ukraińcy z Antonówki obiecali go ochronić, jego matka była Ukrainką, a dziadek poważanym przez całą

miejscową społeczność lekarzem.

Władysław czuł jednak, że stary Orczuk był szczery. Co prawda mógł nie wiedzieć, że Błońscy już zdążyli uciec z kolonii Marusia, ale łzy w jego oczach wydawały się prawdziwe.

Konstancja też nie wierzyła w słowa Ukraińca. Błagała męża, aby zostali, przekonywała, że ludzie czują się tu bezpiecznie, ale Władysław wiedział, że musi jak najszybciej opuścić Antonówkę i uciekać dalej. Pospiesznie zebrali swoje rzeczy, gospodyni księdza dała im trochę sucharów na drogę i tuż przed zapadnięciem zmroku ruszyli w stronę lasu. Wraz z nimi na opuszczenie kościoła zdecydowało się jeszcze tylko pięć rodzin.

Konstancja była niezadowolona i na każdym kroku wyładowywała wściekłość na mężu. Musieli spać w ciemnym lesie, na paprociach, Halina cały czas kwiliła, twierdząc, że boi się leśnych potworów.

– I co dalej zrobimy? Co my teraz zrobimy?

Nieustanne zawodzenie żony doprowadzało Władysława do szewskiej pasji. Musiał przywołać kobietę do porządku. Zamachnął się na nią, skuliła się, ale nie uderzył. Nigdy jeszcze jej nie zbił, chociaż nieraz ręka go świerbiła.

– Nu, masz ty przecie w Łucku ciotkę, musimy spróbować, może nas przyjmie?

– Ale jaka to ciotka, ja jej nigdy nie odwiedzała. To wdowa, druga żona mojego wuja ze strony ojca. Raz ją może w życiu widziałam. Nie wiem nawet, czy ja trafię do jej domu... – martwiła się Konstancja.

– A rodzinę tej ciotki znasz?

– No znam...

– To ją znajdziemy!

Po nocy spędzonej w lesie rankiem zjedli suchary i resztki wędzonej słoniny, po czym ruszyli z workami na plecach na wschód, w kierunku Łucka. Mieli do pokonania około trzydziestu kilometrów.

Kiedy zmęczeni upałem zatrzymali się w miasteczku Ozdów, aby coś zjeść, napić się i uzupełnić zapasy, dowiedzieli się, iż minionej nocy banderowcy napadli na piętnaście polskich osad i zamordowali ponad tysiąc osób.

W nocy podpalono też kościółek w Antonówce.

Wszyscy koczujący w nim ludzie spalili się żywcem.

* * *

W opowieściach matki często przewijała się ta spalona świątynia, z której w ostatniej chwili wyszli dziadkowie. Dobrze pamiętam te wielokrotnie powtarzane słowa, że niewiele brakowało, a cała rodzina zginęłaby w kościele spalonym przez banderowców.

Nie potrafię niestety określić, gdzie znajdowała się ta świątynia. Kolonia Marusia należała do parafii Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny i Świętego Jana Chrzciciela we wsi Skurcze, ale tamtejszy kościół nie został podpalony w 1943 roku. Był to stary obiekt ufundowany przez podkomorzego łuckiego Jana Charłęskiego z Charłęża, dziedzica skureckiego. W 1609 roku wzniesiono najpierw kaplicę, w XVIII wieku murowany kościół, którego fotografię odnalazłam w jednej z ksiązek poświęconych wydarzeniom na Wołyniu. Zbudowany na planie okręgu, otynkowany na biało budynek przypominał nieco świątynię Świętego Aleksandra na placu Trzech Krzyży w Warszawie.

Kościół w Skurczach spłonął po tym, jak tamtejszy oddział samoobrony opuścił wieś, ale dopiero czternastego stycznia 1944 roku. Został splądrowany tak jak cała wieś, ale ludzie zdążyli uciec przed banderowcami. W czasie wojny proboszczem był tam Stanisław Grzesiak, który wraz z parafianami uciekł w styczniu 1944 roku na zachód. Dotarłam do informacji, iż został zamordowany kilka dni po opuszczeniu Skurczy w kościele w Porycku.

Może matka niedokładnie zapamiętała nazwę miejscowości, może też ta nazwa nie miała aż takiego znaczenia. Na tamtych terenach spłonęła większość kościołów. Te drewniane zniknęły doszczętnie, po niektórych murowanych do dzisiaj zostały jakieś fragmenty. Wielu ludzi instynktownie chroniło się w świątyniach, licząc na to, iż Domy Boże – a w końcu i prawosławni Ukraińcy, i katolicy Polacy wyznawali wiarę w tego samego Boga – zostaną oszczędzone. Banderowcy wykorzystali tę naiwność i zgromadzonych na mszy ludzi z łatwością uśmiercali, blokując drzwi wyjściowe i podpalając budowle, wrzucając do środka granaty albo otwierając ogień w kościele, z którego nie było ucieczki.

Jednak Błońskim udało się uniknąć śmierci, choć niewiele

brakowało, aby podzielili los sześćdziesięciu tysięcy Polaków zamordowanych w latach 1942–44 na Wołyniu. We wrześniu 1943 roku mogli się czuć w miarę bezpieczni, ale rzeź na Polakach trwała nadal i zbierała krwawe żniwo jeszcze przez kolejne miesiące, aż do marca 1944 roku.

Mimo wydanego przez Niemców w połowie sierpnia 1943 roku zarządzenia, aby ludność polska opuściła wsie i małe miasteczka i tymczasowo przeniosła się do miast powiatowych, wielu Polaków nie miało dokąd uciec i starało się na własną rękę bronić przed atakami.

Jesienią 1943 roku UPA dokonała podziału ziem po Polakach między ukraińskich chłopów. Święta Bożego Narodzenia tego roku zapisały się w historii jako krwawe świętowanie, tak wielu Polaków masowo wymordowano w te dni.

W lutym 1944 roku napadnięto klasztor karmelitów w Wiśniowcu, gdzie przebywały tysiące ludzi, którzy opuścili swoje wioski, szukając tam schronienia. Ukraińcy wykorzystali moment, kiedy klasztor opuściła wycofująca się armia niemiecka, i podstępem – podając się za partyzantkę radziecką – dostali się za klasztorne mury. Zamordowano zakonników, kobiety, dzieci, w sumie osiemset osób.

Jeszcze w marcu 1944 roku napadnięto i zamordowano ludzi chroniących się w klasztorze w Podkamieniu.

Swoje cudowne ocalenie Błońscy zawdzięczali dobremu sercu i sumieniu starego Ukraińca, ale też instynktowi Władysława, który w odpowiednim momencie podjął właściwą decyzję. Trzeba oddać też sprawiedliwość Ukraińcom: było wśród nich wielu takich jak ten znajomy dziadka, którzy nie poddali się nacjonalistycznej indoktrynacji, nie zapomnieli, czym jest przyzwoitość, i z narażeniem życia swojego i swojej rodziny pomagali prześladowanym Polakom. Niektórych UPA zabijała nawet za to, że pożyczili Polakowi konia albo ukryli w domu polską rodzinę.

Trzeba pamiętać, że byli dobrzy Ukraińcy, ale znaczna większość uległa szalowi mordy i nawet jeśli czynnie nie zabijała, z zadowoleniem obserwowała to, co dzieje się z polską mniejszością. Ludobójstwo było niejako sankcjonowane przez ukraińskich popów, którzy w cerkwiach święcili narzędzia zbrodni i rozgrzeszali morderców. Tym większy

szacunek budzą ci, którzy w tamtym czasie potrafili zachować człowieczeństwo.

Błońscy przeżyli, ale widząc ogrom cierpienia i bestialstwa, jakie rozgrywały się na ich oczach, mogli się czuć niesłusznie wyróżnieni. Dlaczego im się udało, a siostrze Władysława, jego rodzicom, rodzinie Konstancji nie? Jak wielu cudownie ocalonych, oni też czuli się winni wobec ofiar.

Ciągle zadawali sobie te podstawowe pytania, jakie zadaje sobie większość ocalonych: „Dlaczego ja?”, „Dlaczego zginęło tylu ludzi, dlaczego tamta i jej niewinne dzieci, a nie ja?”.

Konstancja uważała, że taka była widać wola boska. Władysław nie widział żadnej przyczyny, dla której Bóg miałby akurat na nich spojrzeć łaskawszym okiem. Zadręczał się i nieustannie roztrząsał sens swojego życia. Może powinien w podzięcie dokonać jakiegoś szlachetnego czynu? Może powinien spłacić ten dług. Tylko jak?

Zapewne dlatego oboje obsesyjnie uczestniczyli w pogrzebach zamordowanych, które odbywały się niemal każdego dnia w różnych miejscowościach w letnie i jesienne miesiące 1943 roku. Zgodnie z obrządkiem katolickim chowano tych, którzy uciekli z napadanych wiosek, ale później zmarli na skutek odniesionych ran. Grzebano znalezione w zgliszczach palonych osad szczątki pomordowanych, starano się zapewnić godny pochówek każdej zabitej osobie.

Wielu ludzi po prostu zniknęło, niekiedy całe wioski, i można było tylko się domyślać, jak potoczyły się ich losy, czy udało się im uciec, czy też zginęli i zostali pochowani w bezimiennym masowym grobie.

Na te pogrzeby dziadek woził babkę w odległe zakątki powiatu łuckiego. Dzień w dzień jeździli do wiosek i miasteczek, gdzie starano się godnie pożegnać pomordowanych i okazać wsparcie ocalałym z masakry. Wiele było osieroconych dzieci, które zostały same, kalek i samotnych matek, niebędących w stanie samodzielnie poradzić sobie bez dachu nad głową.

Zapewne opowiadano sobie ze szczegółami przebieg poszczególnych zbrodni, losy zmarłych, sposób, w jaki zakończyli życie. Odprawiane w czasie takich uroczystości zbiorowe modły miały pomóc udźwignąć świadomość tego, co działo się na Wołyniu, i znaleźć siłę,

aby żyć dalej i zacząć wszystko od nowa, nie mając dosłownie nic swojego.

Na te wszystkie pogrzeby babka zabierała ze sobą Halinkę. Dziecko patrzyło na otwarte trumny, w których eksponowano nie zawsze kompletne szczątki zamordowanych, i słuchało relacji o potwornych zbrodniach. Zbiorowa trauma musiała odcisnąć nieusuwalne piętno na psychice dziewczynki, która nie mogła rozumieć tego, co się dookoła niej działo.

Trudno się dziwić, że mała Halinka zaczęła miewać koszmary w nocy, przestała jeść, niemal się nie odzywała i zamknęła się w sobie. Ktoś w końcu uświadomił babce, że z jej córką dzieje się coś niedobrego.

– Niech pani przestanie wreszcie ciągać dziecko na te pogrzeby! Nie widzi pani, jak dziewczynka jest przerażona tym wszystkim? Chce pani, żeby była chora psychicznie? – powiedziała jakaś spotkana na jednym z pogrzebów kobieta.

* * *

Moja matka bardzo często wspominała o tym wydarzeniu. Dopiero gdy ktoś obcy zwrócił babce uwagę, ta w końcu zrozumiała, jak wielkie spustoszenie w psychice dziecka pozostawił widok okaleczonych zwłok, opowieści o najstraszliwszych formach mordu. Zaszczepiono w niej lęk przed cierpieniem, przed najbardziej potwornymi sposobami zadawania przemocy i śmierci.

Nigdy się od tego lęku nie uwolniła.

Warszawa, czerwiec 2016 roku

W wieku dwunastu lat postanowiłam, że będę artystką. Do dziś nie wiem, skąd wzięło się we mnie to rozpaczliwe pragnienie piękna.

Od siódmego roku życia mieszkałam na warszawskim osiedlu Gocław, które przez całe lata osiemdziesiąte było jednym wielkim placem budowy. Nasze trzypokojowe mieszkanie znajdowało się na szóstym piętrze w liczącym kilkanaście klatek bloku łamańcu z wielkiej płyty przy ulicy Złotej Wilgi 8. Wokół olbrzymiego budynku nie było drzew, początkowo nawet trawników, tylko liczne, ogrodzone płotami tereny budowy. Wszystko, co wówczas mnie otaczało, budziło we mnie wstręt, zwłaszcza nasze sześćdziesięciometrowe mieszkanie o typowym rozkładzie, z płytami PCW w łazience i balkonem o żółtych szybach wychodzącym na elewację drugiego bloku.

Ściany pokoi pokryte były tapetami w ohydne kwiaty i szlaczki, podłogi zaś przykryte pstrokatymi dywanami o odrażających motywach. W oknach wisiały śnieżnobiałe firanki w kwiatowy wzór i ciężkie zasłony. Nieśmiertelna meblościanka i zestaw wypoczynkowy w dużym pokoju, telewizor Rubin i zdobiące ściany w kuchni fajanse z charakterystycznymi kwiatkami z Włocławka, wszystko to napawało mnie wstrętem.

Mieliśmy w domu to co większość innych Polaków w tamtych czasach. Trwały przygnębiające lata osiemdziesiąte, na ulicach królowały plastikowe kolczyki, tapirowane „włoszki” na głowach i kupowane na bazarach tureckie swetry. Czego więc mogłam oczekiwać?

W domu nie było wielu książek (nie licząc lektur mojej siostry, na półce leżały właściwie tylko albumy otrzymane przez rodziców jako prezenty w zakładach pracy), nie słuchało się muzyki ani nie chodziło do teatru czy nawet do kina. Nikt z rodziny, a była ona bardzo liczna, zwłaszcza po stronie ojca, nie był artystą ani nie interesował się szeroko pojętą sztuką. Jedynie dziadek taty nazwiskiem Zarzycki, pracujący przez lata jako kustosz zamku w Chęcinach, pisał ponoć wiersze. Nigdy nie zostały opublikowane i nawet nie wiem, czy któryś z członków rodziny ma w swoim posiadaniu rękopisy.

W domu, gdzie za najważniejsze uznawano kwestie materialne i podchodzono do życia nadzwyczaj pragmatycznie, wymyśliłam sobie siebie jako pisarkę, potem malarkę, aby ostatecznie trzymać się kurczowo marzenia o pisaniu, które zrealizowane zostało dopiero kilka lat po śmierci rodziców.

W rodzinnym gronie zawsze czułam, że jestem przegrana i nie będę w stanie zostać tym, kim chciałabym być. Rodzice nie omieszkali na każdym kroku dawać mi do zrozumienia, iż nie spełniałam wymagań, wyglądałam nie tak jak należy i ogólnie nie rokowałam – według nich – w kwestii życiowego sukcesu.

– Ja się nigdy niczego nie dorobiłam, do tego trzeba się było wżenić w bogatą rodzinę albo wyjść za operatywnego chłopca. A twój ojciec... – narzekała matka.

Jej zawiedzione nadzieje i zarzuty pod adresem taty znałam od lat na pamięć. Już jako mała dziewczynka dzień w dzień wysłuchiwałam skarg i uwag matki odnośnie do wyglądu i zachowania ojca. Być może robiła to przez wrodzoną złośliwość, chcąc obrzydzić mi tego, którego tak kochałam? Zanim weszłam w wiek dojrzewania, wprost uwielbiałam tatę i potrafiłam w histerii ucześcić się jego nogi, kiedy przed wyjazdem na poligon zamierzał się pożegnać i wyjść z mieszkania. A może po prostu byłam jej jedynym słuchaczem i tylko mnie mogła poskarżyć się na męża. Bo przecież to jego obarczała odpowiedzialnością za życie, które nie spełniało oczekiwań.

Swojemu mężowi nigdy nie powiedziała wprost, czemu ją zawiódł. Choć nie musiała mówić tego, co było oczywiste. Oboje świetnie zdawali sobie sprawę, jak bardzo nieudany jest ich związek, i każde obarczało to drugie winą za życiowe niepowodzenia.

Ojciec przez wiele lat starał się o stopień generalski i nigdy go nie zdobył, ostatecznie pokonany przez innego pułkownika, który napisał na niego donos, dzięki czemu sam zdobył upragniony awans.

Matka miała wieczne pretensje do losu. Zachowywała się jak ktoś oszukany, jakby w młodości obiecano jej złote góry, a ona nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego obietnica nie została dotrzymana.

Największym marzeniem życia był i dla niej, i dla ojca majątek, którego nigdy nie zdobyli. Co więcej, nigdy nie podjęli nawet realnej

próby jego pozyskania, chociaż pozostawał dla nich najważniejszym wyznacznikiem dobrego życia.

Dokładnie pamiętam dojmującą obcość, jaką czułam, gdy byłam młodą dziewczyną. Pamiętam ten wręcz fizyczny ból, jaki wywoływało poczucie zupełnego osamotnienia w moim rodzinnym domu, w którym byłam całkowicie niezrozumiana i niedoceniona.

Moi rodzice z trudem dźwigali ciężar własnych zgryzot. Myślę, że oboje mieli świadomość nieudanego życia i nigdy nie próbowali odpowiedzieć sobie na pytanie „dlaczego?”.

Przez całe życie chciałam się uwolnić od ich natarczywej opiekuńczości, krytykowania mnie i wtrącania się we wszystkie moje sprawy, a jednak latami toczył się we mnie pojedynek między chęcią sprostania ich oczekiwaniom a pragnieniem artystycznej wolności.

Kiedy oboje zachorowali i zmarli, natychmiast ujawniły się u mnie symptomy nerwicy. Świadomość, iż na tę właśnie chorobę cierpiała matka, pogłębiała tylko moje przerażenie.

Dokładnie widzę tamtą siebie – dużo szczuplejszą, niż jestem teraz, gustownie umalowaną, elegancko ubraną (codziennie w inną sukienkę), z piękną włoską torebką (miałam ich zdecydowanie zbyt wiele), zawsze na obcasach. Przemierzam ulicę Francuską, która dziesięć lat temu miała nieco bardziej kameralny charakter niż dzisiaj. Spieszę się odebrać dzieci z przedszkola, potem razem z córką i synem idziemy do naszego z pietyzmem urządzonego w szarościach i fioletach mieszkania, które kupiliśmy niedawno na kredyt w nowym apartamentowcu nieopodal.

Patrząc na mnie, nikt nie byłby w stanie odgadnąć, jakim piekłem było moje życie.

Miałam trzydzieści dwa lata, dwójkę małych dzieci, pracowałam jako menedżer zarządzający zespołem prawników w jednej z największych spółek telekomunikacyjnych. Przestałam sobie radzić z rzeczywistością. Każdy dzień był polem bitwy i gdy się kończył, cieszyłam się tylko z tego, że zdołałam go jakoś przetrwać.

Objawy psychosomatyczne, takie jak palpitacje serca, zawroty głowy, problemy z oddychaniem, bóle żołądka, trudności z przełykaniem, zamieniały każdy dzień w koszmar. Niespodziewanie dopadały mnie panika, że zaraz zabraknie mi oddechu, oraz

obezwładniający niepokój. Czułam, że za chwilę stanie się coś strasznego, że umrę na ulicy.

Lekarz przepisał mi tabletki uspokajające, których nigdy nie wzięłam, tak bardzo bałam się pójść w ślady matki. Żeby zasnąć, wypijałam pół butelki czerwonego wina, a po kilku godzinach snu i tak się budziłam z galopującym sercem i poczuciem, że zaraz, dokładnie teraz, przestanę istnieć.

Męczyłam się miesiącami, dzień w dzień walcząc z napadami paniki, które atakowały mnie w przeróżnych momentach. Zdarzało się to w wielu miejscach, na plaży, w tramwaju, w sklepie, w samolocie, nawet w trakcie spotkań biznesowych. Musiałam dusić to w sobie i resztkami sił panować nad wyrazem twarzy i przyspieszonym oddechem, chociaż serce tłukło mi w piersiach jak oszalałe i chciało mi się krzyczeć.

Nie umiając sobie radzić z codziennością, wpadłam w zakupoholizm. Kupowałam ubrania, dodatki, rzeczy dla dzieci, wszystko, czego nabycie wiązało się z kilkudziesięciominutową wizytą w centrum handlowym. Kiedy odwiedzałam sklepy, zajęta przeglądaniem ubrań czy kosmetyków przestawałam tak kurczowo trzymać się swojego chorego „ja” i zapominałam na moment o niepokojach. Oczywiście odganiałam go tylko na chwilę – chwilę, która bardzo drogo mnie kosztowała. Z długów na kartach kredytowych wychodziłam przez następne sześć lat.

Poddałam się w końcu terapii, jednak zrezygnowałam z niej, gdy pani psycholog za wszelką cenę chciała, abym podążała narzuconym przez nią tropem i wyartykułowała złość na matkę. Być może przyniosłoby mi to ulgę, nie wiem. Czułam jednak ogromny dyskomfort i niesmak w związku z obarczaniem winą za swoje niepowodzenia osoby, która dopiero co zmarła. Nie nienawidziłam jej. Była postacią tragiczną.

Być może, gdyby minęła trauma, jaką przeżyłam w trakcie jej choroby, byłabym w stanie przejść przez ten proces, ale zamiast tego typu analizy pomogłam sobie sama, pisząc książkę *Złudzenia, nerwice i sonaty*.

Tuż po śmierci matki moje nerwy były tak rozstrojone, męka tak potworna, iż zaczęłam myśleć o uldze, jaką byłaby śmierć. I wtedy skądś

się dowiedziałam, że często po stracie kogoś bliskiego ludzie starają się o dziecko. Jego przyjście na świat koi ból.

Nie byłam przekonana co do tej idei, ale jako że najbardziej skuteczna jestem wówczas, gdy działam spontanicznie, któregoś dnia powiedziałam mężowi, żebyśmy dali sobie spokój z antykoncepcją. I stało się.

W czasie ciąży nerwica ustąpiła. Endorfiny produkowane w mózgu ciężarnej kobiety potrafią zdziałać cuda. Moje trzecie dziecko uratowało mi życie i swoim pojawieniem się na świecie bardzo nas uszczęśliwiło.

Co jakiś czas nerwica się uaktywnia. Nauczyłam się zarządzać jej objawami, chociaż czasami bywa ciężko. Natura wrażliwa i nerwowa nigdy zapewne ostatecznie nie pozbędzie się tego – tkwiącego w niej niczym rdzeń – lęku przed nieistnieniem.

Świadomość przemijania wywołuje trwogę w momentach, kiedy zupełnie nie jestem na to przygotowana. Zmęczona i zmarznięta siadam przy stoliku w miłej restauracji, zamawiam posiłek, czuję, że mi dobrze, i wtedy... Bolesne ukłucie. Dziecko obejmuje mnie w pasie, składa głowę na moim brzuchu i nagle przychodzi ten impuls. Jedziemy na wycieczkę, szczęśliwi i otoczeni pięknem budzącej się przyrody. I wtedy atakuje dreszcz trwogi. Świadomość, że wszystko przeminie, ten moment, my, droga, drzewa, nawet ten świat. Wszystko to jest tylko na chwilę.

* * *

Czerwcowy wieczór w dniu, w którym wybrałam się na koncert do filharmonii, jak na tę porę roku był wyjątkowo chłodny i deszczowy. Czekając na spotkanie z koleżanką, schroniłam się w pachnącej świeżo wypiekanym pieczywem francuskiej kawiarni, gdzie w blasku nastrojowych lamp wypełniający szczelnie lokal goście radośnie rozprawiali przy małych stolikach. Zamówiłam kieliszek wina i espresso z odrobiną mleka, a także czując, iż w taki dzień nie warto odmawiać sobie pocieszenia, wzięłam spontanicznie deser o dziwnej nazwie.

Wkrótce kelnerka przyniosła do mojego mikroskopijnego stolika kieliszek z winem, filiżankę z kawą oraz słoiczek z malowniczymi warstwami beżowego kremu, biszkoptów i truskawkowego musu,

udekorowany na wierzchu liściem mięty i przekrojoną truskawką. Wypiłam łyk kawy i zanurzyłam łyżeczkę w słoiku. Wzięłam odrobinę do ust i poczułam eksplozję – zupełnie jak bohater powieści Prousta smakujący zamoczoną w herbacie magdalenkę. W mgnieniu oka odnalazłam swoją chwilę z przeszłości.

To był dokładnie ten smak – smak bloku lodów cassate, które kupowaliśmy w latach osiemdziesiątych w nieistniejącym już barze Horteksu u zbiegu ulicy Koszykowej i placu Konstytucji. Nagle byłam tam znowu, na opustoszałym, zalanym gorącym słońcem socrealistycznym placu. Przyjeżdżaliśmy tam z Gocławia naszą żółtą syrenką. Taka wyprawa bywała zwykle spontanicznym pomysłem matki. Bardzo rzadko chodziliśmy gdzieś we trójkę, ale w gorący letni dzień zdarzało się, że chęć zjedzenia lodów cassate była impulsem, aby pojechać do centrum.

Kupowaliśmy spory kawałek podłużnego, zwarteo, pakowanego w sreberko bloku lodowego, który składał się z trzech warstw: białej, różowej i brązowej. Innych nie sprzedawano. Wracaliśmy czym prędzej do domu. Ponaglany przez matkę ojciec mknął Trasą Łazienkowską. W mieszkaniu matka szybko kroić grube plastry lodów i przekładała na talerze. Zjadaliśmy je w ciszy, z poczuciem wyjątkowego zadowolenia.

Przez wszystkie te lata nie byłam w stanie odtworzyć składu tamtych lodów – deseru, którego wspaniałego smaku nie przebił żaden inny, ani suflet czekoladowy we Francji, ani spożywane we Włoszech *gelati*.

Dopiero teraz przypadkowo odkryłam sekret smaku, jakim było połączenie smaku truskawek, wanilii oraz kawy! To był ten zaskakujący, wspaniały melanz. Niespodziewanie odnalazłam tamten smak i tak rzadkie chwile, kiedy rodzice się nie kłócili, ja nie byłam pogrążona w rozpacz i byliśmy wszyscy w miarę szczęśliwi. Było gorąco, jedliśmy lody... Czyż może być coś bardziej zwyczajnego?

Wybierając łyżeczką resztkę deseru ze słoiczka, poczułam, jak po policzkach płyną mi łzy. Do kawiarni weszła moja znajoma. Była cała przemoczona, z włosów i płaszczu ściekały jej strugi wody.

– Dlaczego płaczesz? Co się stało? – zapytała wystraszona, siadając przy stoliku.

– Nie, nic... Przypomniałam sobie rodziców – odparłam,
wycierając chustką oczy.

Warszawa, grudzień 2014 roku

Przez niemal całe lata siedemdziesiąte matka zagłuszała ból egzystencji alkoholem. Co prawda w 1974 roku była w ciąży ze mną i podobno na ten czas odstawiła nie tylko alkohol, ale nawet papierosy. Nudę w okresie, gdy zajmowała się niemowlakiem, urozmaicała piciem wódki, potem zaś leczyła chore nerki, wypijając po kilkanaście piw dziennie.

Definitywnie przestała pić po tym, jak na weselu mojej siostry w 1980 roku potwornie się upiła i swoim niestosownym zachowaniem – tańcami i awanturą z ojcem – wywołała skandal. Nigdy nie widziałam, aby wzięła choć łyk jakiegokolwiek trunku. Zawsze stanowczo mówiła, że nie pije. Naprawdę nie tykała alkoholu.

O tym wszystkim rozmawiam z siostrą, która przyjechała w odwiedziny na święta Bożego Narodzenia. Agata wiele przeszła, nie tylko rodzice i teściowie zmarli na raka, wszyscy czworo w ciągu trzech lat, ale niedawno z powodu nowotworu odszedł także jej mąż. Właśnie zakończyła psychoterapię, która pozwoliła jej uporać się z demonami przeszłości. Jak mówi, wreszcie wyrzuciła z siebie całą złość na matkę, którą tłumiała przez kilkadziesiąt lat.

Dopiero teraz, mając prawie sześćdziesiąt lat, poradziła sobie z poczuciem krzywdy, którego źródłem była matka.

– Zmarnowała mi życie. Byłam nastolatką i potrzebowałam wsparcia matki, a ona zniknęła na całe dni, balowała do rana albo przyprawiała do domu facetów, podczas gdy ojciec był ciągle w rozjazdach. A ona była zajęta piciem i romansowaniem. To był koszmar. Zostawiała mi na parapecie gołąbki w słoiku, żebym nie umarła z głodu. Za jedyny swój obowiązek uważała to, żeby nas nakarmić. Trudno się dziwić, że obie jesteśmy takie grube. Takie byłyśmy i takie będziemy – mówi z żalem.

Agata nawet nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo jest podobna do matki.

Czy ja też taka jestem? Zapewne tak, chociaż nieustannie przekonuję siebie, że jestem inna – nie przesadzam, opisując swoje doświadczenia, nie koloryzuję, nie przeinaczam faktów i nie nadaję im

sensacyjnego wymiaru.

Właściwie niewiele nas łączy, mieszkaliśmy pod jednym dachem do czasu skończenia przeze mnie czterech lat, potem Agata wyjechała na studia do innego miasta. My przeprowadziliśmy się do Warszawy i nasze więzi jeszcze bardziej się rozluźniły. Odwiedzaliśmy się sporadycznie, spotykaliśmy na ślubach, chrztach i komuniach, ale nigdy nie byliśmy naprawdę razem.

W dzieciństwie nieustannie słyszałam od rodziców peany na cześć Agaty, stawiano mi ją za niedościgniony wzór postępowania i wyraźnie dawano do zrozumienia, że to ona zasługuje na miano lepszej córki. Agata zaś nieustannie miała wrażenie, że to ja jestem dla rodziców najważniejsza – byłam mała i zawsze to moje potrzeby były na pierwszym miejscu. Obie żyłyśmy z poczuciem, że to ta druga jest faworyzowana przez rodziców.

Powiedziałyśmy sobie o tym dopiero niedawno.

Najbardziej bliskie byłyśmy sobie w czasie choroby rodziców i po śmierci matki. Okres jej choroby oraz śmierć poczyniły w nas obu ogromne spustoszenie i pozostawiły ciężką traumę.

– Boże, jakie to było straszne, jaki ona dała spektakl na koniec! – Agata kiwa głową, zapalając papierosa.

Każda z nas bardzo przeżyła te chwile, oskarżenia o kradzież pieniędzy, wyrzuty, niemożliwe do spełnienia wymagania. Trzy opiekujące się matką osoby zrezygnowały z pracy zaledwie po kilku dniach, a jedna bez słowa po prostu zostawiła chorą i uciekła nocą, nawet mnie nie informując. Nikt nie był w stanie wytrzymać emocjonalnych huśtawek, jakie serwowała matka.

Lekarka z hospicjum domowego, która pojawiała się codziennie w mieszkaniu przy Złotej Wilgi, tłumaczyła, że ten typ choroby „rzuca się na głowę” i chory nie jest już sobą. Mimo wszystko trudno było zachować spokój.

Agata w każdej niemal rozmowie wraca do tych ostatnich, najgorszych chwil, choć jak twierdzi, dopiero po terapii jest w stanie mówić o tym bez emocji.

Ja zaś teraz, po dziesięciu latach od postawienia diagnozy, najczęściej pamiętam zarówno matkę, jak i ojca w tym szczególnym

momencie, gdy w ostatniej fazie choroby, tuż przed śmiercią, z przejmującą determinacją czepiali się tego doczesnego życia. Widać w większości przypadków następuje taki czas, kiedy chory chwilowo odzyskuje siły i czuje nagły impuls do życia.

Ojciec dwa miesiące przed śmiercią, tuż przed operacją, po której nie wstał z łóżka, zapragnął kupić sobie nowy płaszcz. Matka nie śmiała mu wybijać z głowy tego pomysłu i towarzyszyła w wędrówce po sklepach. Było zupełnie jak kiedyś, tata z wielką uwagą przymierzał różne modele, długo wybierał, aż w końcu kupił drogi elegancki płaszcz. Nigdy go na siebie nie włożył.

Matka w roli opiekunki chorego męża przez rok trwania jego choroby zdawała się swoim poświęceniem, opiekuńczością, cierpliwością wynagradzać ojcu wszystkie trudne lata ich małżeństwa. Teraz spłacała dług za ataki hysterii, jego nocne rajdy po aptekach, ostentacyjne okazywanie niezadowolenia i wszelkie inne ułomności swojego charakteru.

Nie było bardziej oddanej, wytrwałej żony, która opiekowałaby się mężem z takim bezgranicznym poświęceniem jak matka. Całkowicie skupiła się na nim, niemal zapomniała o swoich licznych dolegliwościach i wtedy, gdy jej organizm naprawdę atakowała poważna choroba, nie zwróciła uwagi na żadne sygnały ostrzegawcze.

Kiedy mniej więcej półtora miesiąca przed śmiercią tatę zabierano na drugą operację, wieszony szpitalnym korytarzem powiedział do idącej obok matki: „Nie martw się, jeśli umrę, to zaraz cię za sobą pociągnę”.

Jego przepowiednia się sprawdziła.

Było mi bardzo żal matki w okresie jej wdowieństwa, chociaż radziła sobie nadzwyczaj dobrze jak na osobę, która od dwudziestu lat nie zapłaciła samodzielnie rachunku ani nie korzystała z bankomatu. Kursowała po mieście taksówkami, a największą przyjemność – o ile tak to można określić – sprawiały jej wyprawy na cmentarz Północny, na Wólkę, gdzie znajdował się świeży grób ojca.

Przywoziliśmy ją często do nas, bawiła się z dziećmi, wykazując anielską cierpliwość. Była dla nich bardzo dobra i hojna. Ale wieczorami cierpiała z powodu samotności. Oglądała w kółko westerny w telewizji, bo – jak twierdziła – właściwie każdy z tych filmów był taki sam

i wydawało jej się, że ogląda cały czas ten sam tasiemiec o kowbojach. Mówiła też, że często rozmawia z ojcem, który przychodzi ją odwiedzić. Niepokoiłam się tymi wyznaniem.

Przerazała mnie perspektywa mieszkania z nią pod jednym dachem, ale czułam się zobowiązana i zaproponowałam, że sprzedamy nasze mieszkanie, a ona to w bloku przy Złotej Wilgi, spłacę siostrę i kupimy wspólne, większe lokum, gdzie matka będzie miała oddzielny pokój. Obiecowałam, że wynegocjuję z mężem zgodę, żeby paliła papierosy w swoim pokoiku, przy oknie.

Ale matka nie chciała być u kogoś i pozbyć się własnego mieszkania, co nie przeszkadzało jej przy byle okazji docinać mi, jak to inne córki dbają o matki i zabierają je do siebie na starość.

A potem zdiagnozowano u niej raka, który musiał zapewne rozwijać się w płucach od dawna. Jeszcze zanim ujawniona została choroba taty, matka ciągle kaszlała i lekarz rodzinny zdiagnozował u niej przewlekłą obturacyjną chorobę płuc. Nie została wysłana na żadne specjalistyczne badania ani na bronchoskopię, ani nawet na prześwietlenie. Lekarka z przychodni na Gocławiu za każdym razem, kiedy słyszała szmery w płucach, stwierdzała zapalenie oskrzeli. Zapisywała antybiotyki, który pewnie już w ogóle nie działał. Historia z bronchitem powtarzała się co trzy tygodnie. I trwało to latami.

Pamiętam szczególnie pewien ponury dzień. Musiał być już koniec listopada 2006 roku, końcowy etap choroby. Pojechałam z matką do szpitala przy Szaserów, gdzie miała mieć wykonany rezonans magnetyczny, tomografię i serię innych badań. Przygotowując się do każdego z nich, rozbierała się z trudem, opowiadając lekarzom i pielęgniarkom o swojej chorobie, o tym, że chodzi na naświetlania i one przynoszą świetne rezultaty, ona jednak czuje się z każdym dniem gorzej.

Kiedy po kilku godzinach czekania w kolejkach i badań mogliśmy wrócić do domu, matka nagle zapragnęła pójść do szpitalnego sklepiku i kupić sprzedawaną tam stefankę – podłużne, krojone na plastry ciasto składające się z warstw biszkoptu przełożonego kakaowym kremem i oblane polewą czekoladową. Z jakimś przedziwnym ożywieniem poleciła mi kupić cały ważący ponad pół kilo kawałek. Patrzyłam

zdumiona, jak po chwili siada przy plastikowym stoliku w rogu pomieszczenia i jednorazowym widelcem zaczyna jeść słodkie, wyjątkowo tłuste ciasto.

Nawet nie zaproponowała, że podzieli się ze mną tym przysmakiem. Nie wierząc własnym oczom, patrzyłam, jak pochłania słodką masę. Jadła i jadła, pakując do ust widelec za widelcem. Co chwila wydawało mi się, że zaraz przestanie i powie, że jest jej niedobrze. Ostatnio prawie nic nie jadła, tak wielka ilość ciasta musiała wywołać u niej mdłości.

– Mamo, nie jedz tak dużo naraz, będzie ci niedobrze – mówiłam, ale ona nie przestawała łapczywie jeść. Ku mojemu zdziwieniu zjadła cały kupiony kawałek! Nie mogłam wprost w to uwierzyć.

Kiedy wyszliśmy ze szpitalnego sklepiku, powiedziała:

– Chodź jeszcze na dół, jest tutaj targ odzieży.

Zeszliśmy schodami do pomieszczeń w piwnicy szpitala, gdzie w holu na stolikach leżały stosy chińskich koszul, swetrów, majtek, legginsów i tego typu rzeczy. Spory tłumek pacjentek buszował w tym kramie i oglądał ciuchy. Matka w jakimś niepojętym amoku ruszyła ku stołom zaścielonym stertami ubrań i zaczęła wybierać rzeczy dla siebie.

Trwało to kilkanaście minut i przypomniało mi te potworne chwile dzieciństwa, kiedy matka oglądała ubrania w sklepach – Universamie Grochów albo Latawcu, w których asortyment był nieatrakcyjny, a ekspedientki bardzo niemiłe dla klientów. Z nudów liczyłam wówczas kafle na podłodze albo chodziłam w kółko, stając tylko na określonych elementach posadzki. Koszmarem było to czekanie, aż matka przymierzy wybrane ubrania, przeprowadzi rozmowy ze sprzedawczynią, powie coś niemiłego („U pani w sklepie nigdy jeszcze nie kupiłam niczego dobrej jakości”), zakończy wymianę zdań ostentacyjnym grymasem ust, który wyrażał pogardliwą dezaprobatę, po czym wróci do przymierzalni z kolejną porcją typowej dla lat osiemdziesiątych tandety.

Tamtego dnia w szpitalu matka kupiła dwa swetry, dwie bluzki i jakąś tanią bieliznę. Dziesięć dni później już nie żyła. Wszystkie te ubrania leżały nieruszone, zawinięte w białą siatkę na szafce w pokoju, w którym stało jej łóżko. Przez lata mieszkania w rodzinnym domu był to mój pokój.

Łuck, wiosna 1945 roku

Z końcem 1944 roku, gdy wszyscy mówili o tym, że alianci zdobywają przewagę nad Niemcami i niedługo wojna się skończy, Konstancja zorientowała się, że jest brzemienna. Początkowo chciała iść do felczera i pozbyć się ciąży, ale ciotka przekonała ją, że Bóg nigdy nie wybaczyłby jej takiego czynu, zwłaszcza po tym, jak ochronił ją i jej dzieci przed śmiercią.

Bała się powiedzieć o swoim stanie Władysławowi. Nie mieli przecież dachu nad głową, stracili wszystko i nie wiedzieli, jak dalej potoczą się ich losy.

Na początku roku w powiecie łuckim banderowcy wreszcie zaniechali bestialskich mordów na Polakach. Błońscy już wiedzieli, że ich dom, podobnie jak cała osada, został splądrowany i spalony, stracili dorobek całego życia i nie mieli po co tam wracać. Władek jednak uparł się, aby pojechać do kolonii Marusia i wydobyć przynajmniej zakopane w ogrodzie za domem kosztowności i pamiątki.

Załamał się, kiedy zobaczył zgliszcza po swoim gospodarstwie. Nie mógł sobie darować owinięcia skrzyni w cholerne dywany, które szybko zajęły się ogniem, tak że to, co było zakopane w ziemi, uległo całkowitemu zniszczeniu. Ogień stopił stare wartościowe monety, które Władysław dostał w spadku po swoim ojcu, srebrną zastawę ślubną i osiemnastowieczne kielichy, jedyną pamiątkę po przodku, który zapłacił za udział w powstaniu zsyłką na Sybir. Ogień pochłonął też kupione jeszcze przed wojną akcje banku i obligacje. Ze sterty dokumentów, pamiątkowych fotografii, aktów chrztu, pamiątek pierwszej komunii cudem zachował się jedynie nadpalony wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej.

Zdruzgotany tym, co zobaczył, Władek wrócił do Łucka tylko z tym cudownie zachowanym obrazkiem. Konstancja uznała ten niemal nietknięty przez ogień wizerunek Maryi za oczywisty znak boskiej interwencji, która uratowała jej rodzinę przed banderowską siekierą.

Władysław nie umiał się podnieść po tym wszystkim, co ich spotkało. Całymi dniami siedział osowiały, twierdząc, że noga za bardzo go boli i nie jest w stanie pracować. Żyli tylko dzięki łasce ciotki, która

sama miała niewiele i cudem była w stanie nakarmić nie tylko siebie i swoich synów, ale też rodzinę Błońskich.

W mieście coraz częściej mówiono o nowej granicy Polski, która zostanie ustalona po zakończeniu wojny. Ponoć polski Rząd Tymczasowy prowadził uzgodnienia z władzami ZSRR. Mówiono, że Wołyń nie będzie już polski i że ludność zostanie wywieziona na tereny rdzennie należące do Drugiej Rzeczypospolitej, w okolice Lublina albo Zamościa, dostanie tam ziemię i domy, które w czasie wojny zostały przydzielone ludności niemieckiej.

Ta wiadomość zrodziła pewną nadzieję na przyszłość i sprawiła, że Konstancja odważyła się powiedzieć mężowi o tym, że jest brzemienna. Władek nic nie odpowiedział, tylko wybuchnął płaczem. Szlochał przez długie godziny – nie wiedziała, czy z rozpaczy, czy też może ze szczęścia, ale nazajutrz jakby wstąpiło w niego nowe życie. Oznajmił, że muszą zbierać trochę grosza, aby się przygotować na narodziny kolejnego dziecka.

Wziął się w garść, zaczął handlować; najpierw przywoził ze wsi do miasta sery i nabiał, wkrótce zajął się sprzedażą wielu różnych produktów. Tu coś kupił, tam sprzedał, zawsze wychodził na swoje. Konstancja pomyślała, że koniec końców powinna być wdzięczna za tak zaradnego męża.

Kiedy w marcu urodził się Tadzio – słodki drobny chłopczyk o ciemnych włosach – sytuacja materialna Błońskich była już na tyle dobra, że mogli podziękować ciotce za lokum w dawnej służbówce i wynająć sobie małe mieszkanie w suterenie starej kamienicy na obrzeżach miasta.

Zawarty w lutym 1945 roku traktat w Jałcie ustanowił przebieg granicy wzdłuż linii Curzona i potwierdził to, o czym mówiono od dawna: Kresy Wschodnie należeć będą po wojnie do ZSRR. Teraz wszyscy Polacy z terenów Wołynia musieli opuścić ziemię, na których przyszli na świat. Mogli zabrać ze sobą odzież, bieliznę, pościel, żywność, sprzęty domowe. Nie wolno im było wnieść do pociągu gotówki, banknotów, złota, kamieni szlachetnych, dzieł sztuki, urządzeń mechanicznych ani mebli. Oczywiście ten, kto miał jakiegokolwiek kosztowności, próbował w przemyślny sposób ukryć dobytek

i przewieźć do Polski.

Błońscy nie mieli nic kosztownego poza złotym łańcuszkiem z Matką Boską, który Konstancja miała na sobie w dniu ucieczki z kolonii Marusia, i pierścionka ze szmaragdem, przywiezionego jeszcze przez Władka z Ameryki. Kupił go w Chicago z myślą o tym, że kiedy wróci wreszcie na Wołyń i wybierze sobie żonę, da go swojej wybrance jako pierścionek zaręczynowy. Dostała go Konstancja. Miała go zawsze przy sobie i ukryła nawet przed mężem, aby nie oddał go Rosjanom, kiedy chcieli wysłać Błońskich na Sybir.

Teraz nie było wyjścia – trzeba było sprzedać te drobne kosztowności i kupić ciepłą odzież dla Konstancji i dzieci, a także zapas jedzenia, które – jak podejrzewał Władysław – będzie niezbędne, aby przetrwać podróż.

Nawet nie podejrzewali, jak długa i tragiczna okaże się ta droga do Polski.

W połowie października 1945 roku Błońscy otrzymali decyzję o przydziale kawałka ziemi w wiosce oddalonej dwadzieścia kilometrów od Zamościa. Wraz z kilkunastoma innymi rodzinami zostali upchnięci w bydłowym wagonie pociągu, który ruszył z dworca w Łucku z początkiem listopada.

W cuchnącym zwierzęcymi odchodami wagonie było tłoczno i zimno. Ludzie kłócili się o dostęp do ustawionej na środku wagonu kozy, jedyne źródła ciepła. Konstancja znowu w myślach dziękowała Bogu za zaradnego męża – dzięki kożuchom, które im sprawił przed wyjazdem, nie marzli tak bardzo, chociaż i tak dzieci zaraz złapały katar.

Podróż trwała wieki. Czasami pociąg po prostu zatrzymywał się w polu i stał godzinami, a niekiedy całymi dniami. Wówczas mężczyźni wyskakiwali z wagonów i szli szukać najbliższych wsi, aby dostać chleb i mleko dla dzieci. Czas dłużył się bezlitośnie. Dzieciaki uwięzione w zatłoczonym wagonie bawiły się i spędzały każdą chwilę razem. Konstancja całe dni siedziała, tuląc do piersi ślicznego małego Tadzia, którego reszta dzieci traktowała jak maskotkę.

Pociąg toczył się na zachód już piąty tydzień, gdy niespodziewanie jedno z dzieci, dwunastoletni Jasiek, zachorowało na tyfus. Wśród pasażerów wybuchła panika. Bydłące wagony były zawszone, a to

właśnie wszy przenosiły zarazki choroby. Wszyscy dobrze wiedzieli, jak tragiczna w skutkach może być epidemia tyfusu. Na Wołyniu nieustannie wybuchały ogniska tej choroby, często zbierając krwawe żniwo, zwłaszcza wśród starszych osób i dzieci.

Pociąg zatrzymał się na terytorium Polski i chory chłopiec trafił do tymczasowego lazaretu, gdzie ponoć zmarł. Zbadano pobieżnie resztę pasażerów i nie stwierdzono oznak choroby. Ruszyli dalej.

Konstancja nie mogła spać, tak bardzo się bała, że tym razem nie uda im się uchronić przed nieszczęściem. Uniknęli rzezi, ale teraz wykończy ich tyfus. Nie mieli żadnych możliwości walki z tą chorobą. Najsilniejsze jednostki potrafiły ją przetrwać, ale dzieci w większości przypadków umierały. Konstancji wciąż stawał przed oczami obraz chłopca, który zachorował – bardzo często bawił się z jej małym Tadziem, łąpał go za rączkę i zagadywał. Pamiętała, że często podchodził do prowizorycznego łóżeczka, które zrobiono Tadziowi w wyścielonej poduszkami drewnianej skrzynce. Mały rwał się do chodzenia i czasami puszczali go, by raczkował po zasłanej sianem podłodze wagonu. Niby starała się myć mu rączki po każdym takim „spacerze”, ale jak można było zadbać o higienę w zatłoczonym bydlęcym wagonie?

Po sześciu tygodniach podróży wydawało się, że niebezpieczeństwo choroby zostało zażegnane, gdy niespodziewanie któregoś ranka Tadzio obudził się rozpalony. Konstancja i Władysław jeszcze się łudzili, że to może zwykłe przeziębienie, jednak stan dziecka pogarszał się z godziny na godzinę. Jego słodka buzia zaczerwieniła się, oddychał z trudem, łapiąc gwałtownie powietrze, i przeraźliwie płakał.

Następnego ranka było jeszcze gorzej, a w trzeciej dobie na języku dziecka pojawiła się wysypka. Już wiedzieli, że to tyfus.

Pozostałe dzieci odseparowano od chorego i zgromadzono na końcu wagonu. Kobiety modliły się na głos, okadzały wagon dymem z zabranych z Wołynia ziół. Konstancja padała ze zmęczenia, bez przerwy zajmując się bardzo marudnym, cierpiącym dzieckiem. Stan Tadzia pogarszał się w zastraszającym tempie.

W szóstej dobie choroby zgasł.

Władysław szlochał tak strasznie, że niektórzy bali się, iż postradał

zmysły. Konstancja znosiła ból w ciszy. Wiedziała już, że nigdy, przenigdy nie otworzy serca na ten bezmiar miłości, który odczuwała po narodzinach Tadzia. Był ich światłem w te ponure, naznaczone świeżą traumą dni, był ich pocieszeniem i nadzieją na przyszłość. A teraz odszedł.

Ułożyli jego ciało w opróżnionym kufrze na ubrania, które Konstancja wyścieliła najbielszym prześcieradłem. Wszyscy pasażerowie wagonu uczestniczyli w prowizorycznym nabożeństwie, ktoś odczytał odpowiednie wersety z Biblii i pożegnali go w ten najprostszy sposób.

Gdy pociąg się zatrzymał, Władysław z pomocą innych mężczyzn zakopał kufer gdzieś przy torach, nie wiedząc nawet dokładnie, w jakiej miejscowości chowa swoje dziecko.

Znowu ruszyli i po kilku dniach dotarli pod Zamość. Tam furmanka zawiozła ich do opuszczonego poniemieckiego gospodarstwa.

Zaczęli wszystko od nowa.

Warszawa, listopad 2006 roku

Sobota. Zaskakująco dużo słońca jak na listopadowy dzień. Do matki przyjechała Agata w towarzystwie swoich dorosłych dzieci.

– Nie wiem, po co ona tu przyjeżdża, nie zapowiadała, że będzie. Poprosiłam, to chociaż firanki wymienili mi na świeże – mówi matka, otwierając mi drzwi.

Potem siada na krześle w kuchni, między stolikiem a szafką słupkiem, w której od podłogi po najwyższą półkę od zawsze leżały stopy leków, w większości już przeterminowanych, i pali w milczeniu.

Przez głowę przechodzi mi myśl, że trzeba będzie te stopy lekarstw sprzątnąć, w zasadzie zniszczyć, gdy będzie po wszystkim. Besztam sama siebie za takie refleksje, ale przecież wiem, że tak to będzie wyglądało. Te wypchane po brzegi szafy z ubraniami (nigdy niczego nie wyrzucała), te dziesiątki kryształów, szafki pełne garnków, starych patelni i przeterminowanych przypraw...

Siostra jakby czytała mi w myślach. Kiedy matka znika w toalecie, Agata wzdycha:

– Umiera, a myśli o świeżych firankach. Wczoraj o niczym innym nie chciała rozmawiać.

Matka bardzo źle się czuje. Porusza się samodzielnie, choć bardzo powoli, skulona, chudsza i mniejsza niż dotąd. Jest po czterech zabiegach naświetlania guza, które mają zniszczyć nowotwór w jej lewym płucu.

Tuż po postawieniu diagnozy opowiadała, że to koniec, że umiera, ale mimo to walczyła. „Ja wszystko potrafię załatwić!” – mawiała i tym razem rzeczywiście świetnie jej poszło: opowiedziała kilku osobom o ciężkiej sytuacji, w jakiej znalazła się po śmierci męża, o swoich dolegliwościach i dotarła do odpowiedniego profesora. Chciała, abym towarzyszyła jej podczas tej pierwszej wizyty i koniecznie ładnie się ubrała, bo „ten lekarz to ponoć pies na baby”.

Wzięłam urlop. Włożyłam tego dnia zwyczajne rzeczy, jak do biura: czarne spodnie i jedwabną koszulę w kolorze kości słoniowej. Matka nie była zadowolona, ale przecież w czym mogłoby pomóc pokazanie się w klinice onkologicznej z dekoltem? Zresztą, jak się

okazało, lekarz był zainteresowany wyłącznie kwestiami finansowymi i prosto z mostu powiedział, że jedno naświetlanie kosztuje u niego tysiąc pięćset złotych. Rzecz jasna, mowa była o zabiegu w szpitalu publicznym. Matka zaczęła opowiadać, że jest wdową na rencie i żyje z emerytury po mężu. „No ale ma pani przecież dzieci!” – powiedział wesołym tonem lekarz, patrząc mi w oczy.

Matka każe nam wszystkim: mnie, mężowi, dzieciom, siostrze i jej dorosłym córce i synowi, usiąść w salonie wokół stolika kawowego, otoczonego przez zwaliste fotele obite pluszem w brązowe kwiaty i wersalkę, na której co noc sypiał kiedyś ojciec. Pali papierosa umoszczona w jednym z foteli, ubrana w różowy szlafrok i patrzy na nas z wyraźną niechęcią. Nie śmiem nawet zwrócić uwagi, że dzieci kaszlą od dymu.

Dyryguje nami, wydaje polecenia w nieprzyjemny sposób, każe przynieść herbatę, otworzyć paczkę herbatników. Wnuczka przynosi tacę ze szklankami, ale widok ciemnej cieczy wywołuje grymas niesmaku na pomarszczonej twarzy matki.

– O nie! Za mocna, ja takiej nie wypiję! – stwierdza dobitnie.

Córka Agaty wraca do kuchni przygotować napój od nowa.

– Dlaczego obie przyciągnęłyście tu dzieci? Myślicie, że nie dożyję jutra? – pyta, patrząc badawczo to na mnie, to na siostrę.

– Tak się złożyło po prostu... – mówię potulnie, bojąc się wymiany zdań z matką.

Na szczęście mogę skupić uwagę na własnych dzieciach, które biegają po mieszkaniu – nie sposób utrzymać w bezruchu pięciolatkę i dwulatka.

– Tam niech nie wchodzi, jeszcze się moich tabletek nałykają! – Matka podnosi głos i mój mąż zrywa się, by zamknąć drzwi sypialni i wyjaśnić dzieciom, żeby tam nie wchodziły. – A twój małżonek? Czemu mnie nie odwiedził? Nawet w szpitalu się nie pokazał... Boi się widoku chorych, co? Nigdy nie wiadomo, co kogo w życiu spotka... – mówi do Agaty z ironią i widać po jej nerwowym przebieraniu palcami, że jest coraz bardziej podminowana.

– Nie mógł przyjechać. Po prostu. – Siostra jest już poirytowana. Zapala papierosa.

– Mamo, może się położysz do łóżka? Chodź, pomogę ci wstać – proponuję, ale matka rzuca mi wściekłe spojrzenie i się nie rusza.

Siostra pyta, czy zje klopsiki, które dla niej rano ugotowała, ale matka tylko kręci głową.

– Nie lubię klopsów z wieprzowiny, jem tylko cielęcinę – odzywa się wreszcie. – O! Widzę, że zmieniłaś kolor włosów... – Matka patrzy na starszą córkę, jakby zobaczyła ją po raz pierwszy od dłuższego czasu. – W rudym fatalnie wyglądasz. Przefarbuj się szybko, lepiej ci w ciemnych.

Agata szepcze mi na ucho:

– Od miesiąca mam ten kolor.

– Może dzisiaj przyjedzie do mnie lekarka z hospicjum. Niezbyt mi pomaga, taka jest rozlazła jakaś, uśmiecha się głupawo, ale chcę, żeby mi recepty wypisała. Skocz, Sylwia, do sklepu i kup dużą kawę rozpuszczalną, taką droższą, i jakieś ptasie mleczko do tego. Dla pielęgniarki też jakieś słodczy. Widać, że lubi sobie dogodzić, gruba taka...

Zsadam z kolan synka, proszę, żeby poszedł do taty. Podnoszę się, żeby włożyć płaszcz, i wtedy matka dodaje tym swoim przesyconym złością głosem:

– Pieniądzy ci już nie daję, bo przecież ostatnio, jak pożyczyłam ci moją kartę do bankomatu, to sobie tysiąc złotych ukradłaś!

Czuję, jakby mnie raził grom. Krew napływa mi do twarzy. Ostatkiem sił maskuję gwałtowne wzburzenie. To, co mówi matka, jest straszną obrazą. Owszem, dwa tygodnie wcześniej dawała mi swoją kartę do bankomatu, żebym podjęła pieniądze i kupiła jej nowy szlafrok i piżamę do szpitala. Wzięłam dwieście złotych, zresztą i tak dołożyłam ze swoich na różne inne rzeczy, które kazała mi kupić. Nieustannie dajemy jej gotówkę na leki, na łąpówki dla lekarzy, wykupujemy recepty. Mąż, słysząc słowa matki, nie wytrzymuje:

– Niech mama nie opowiada takich rzeczy, nikt niczego mamie nie ukradł!

– Jak nie? Myśleliście, że nie sprawdzę sobie, taka głupia czy nieprzytomna jestem? Kiedy dawałam ci kartę, na rachunku było o tysiąc więcej. – Matka patrzy na nas oboje z niesmakiem.

Siostra woli nie uczestniczyć w tej rozmowie, wychodzi do kuchni, a jej dzieci za nią.

– Mamo, po prostu wcześniejsze operacje na rachunku zostały zaksięgowane z opóźnieniem – tłumaczy mój mąż, wyraźnie poirytowany i wściekły.

– Nieważne... Ja wiem swoje, wzięłaś sobie gotówkę, trudno! Ale teraz kawę chociaż mi za to kup! – Matka macha ręką i próbuje wstać z fotela.

Podnoszę się, żeby jej pomóc. Podtrzymuję pod łokieć. Spociła się, ciężko dyszy. Widzę, że cierpi.

– Tłumaczę ci, że niczego nie ukradłam. To bardzo przykre, co mówisz, mówiłam ci dokładnie, co kupiłam... – W środku cała się trzęsę, nie mogę opanować wzburzenia. Mam ochotę krzyknąć, wyliczyć pieniądze, które wydaję na nią z każdej swojej pensji.

– Więcej mnie już nie okradaj, zobacz, jaka jestem chora... – Matka ociera łzę z kącika oka. Mówi cicho, drżącym głosem, jakby miała się rozplakać. Z łatwością potrafi wzbudzić litość.

W powietrzu aż wibrują emocje. Widzę, jak mój mąż stara się nie wybuchnąć. Chce wyjść na moment na balkon, ale kiedy podchodzi do drzwi, matka rzuca ostro:

– Nie otwieraj mi tu teraz żadnych okien, chcesz, żebym dostała zapalenia płuc? Za ostre powietrze dla mnie.

– Poprosiłam córkę, poszła po tę kawę i słodycze – mówi siostra i siada na brzegu wersalki.

Siedzimy więc w milczeniu nad szklankami z zimną już herbatą. Niezręczną ciszę przerywa nagle dzwonek do drzwi. Przyjechały lekarka oraz pielęgniarka z domowego hospicjum z Pragi. Obie są korpulentnymi paniami po pięćdziesiątce, o łagodnych obliczach i radosnym wyrazie twarzy. Być może ten spokój i uśmiech, jakie wnoszą do domów chorych, są największym darem, jaki mogą ofiarować pacjentom i ich zgnębionym rodzinom.

– Jak się dzisiaj czujemy? – pyta lekarka, bada matkę i spokojnie słucha jej litanii żalów, opisu dolegliwości i problemów.

Opowiadając o swoim złym samopoczuciu po naświetlaniach, matka patrzy prosto w oczy – to lekarce, to nam, córkom. W jej

spojrzeniu wyraźnie widać wyrzut i pretensję.

– Trzeba tu okno otworzyć, pani Halino, potworny zaduch! Nic dziwnego, że ciężko pani oddychać – rzuca lekarka, a matka mierzy ją morderczym wzrokiem.

Syn siostry bez słowa podchodzi do okna i je uchyla.

Pielęgniarka robi matce jakiś zastrzyk, który ma jej pomóc przy dusznościach.

– Zaraz poczuje pani ulgę i będzie się mogła przespać.

– Boję się zasnąć, kiedy jestem sama w mieszkaniu... – wzdycha matka.

– A przecież ma pani wokół siebie tyle dzieci i wnuków! – Lekarka się uśmiecha.

– Tylko chwilowo. – Matka spogląda na córki z wyraźnym wyrzutem i dodaje: – Starsza córka mieszka w innym mieście, dzisiaj przyjechała z dziećmi na chwilę tylko, a młodsza... Blisko tu mieszka, nad jeziorkiem.

– Nie weźmie pani mamy do siebie? – Lekarka spogląda na mnie z dezaprobatą.

– Proponowałam przecież... – szepczę, wstydliwie spuszczać wzrok.

– Tak, proponowałaś... – mówi matka tonem, który oznacza: „to nie była szczerza propozycja”. – Cóż, ja niestety nie mogę mieszkać u córki – ciągnie. – Wysokie trzecie piętro bez windy to nie dla mnie, nie daję rady wchodzić po tych schodach. A poza tym papierosy... Pani doktor widzi, dwoje malutkich dzieci, jak tu palić przy nich? Córka jeszcze do tego pracuje na cały etat jako kierowniczką w telekomunikacji. Prawnikiem jest, ale takim bez aplikacji niestety – mówi teraz już normalnym tonem.

Wszyscy zgromadzeni patrzą na mnie, ja zaś nie wiem, gdzie podziąć oczy. Czuję się winna. Ale matka rozdziela ciosy sprawiedliwie:

– Druga córka, ta tutaj, stomatolog. Ale też specjalizacji nie zrobiła...

Siostra z zaciętą miną odwraca się w stronę okna. Widzę, że z całych sił powstrzymuje się od sprostowania słów matki. Nikt nie odpowiada na zgryźliwe komentarze. Lekarka i pielęgniarka pakują

swoje torby, żegnają się. Matka koniecznie chce je odprowadzić do drzwi, zapewne po to, aby wręczyć kawę i słodczyce oraz poprosić o dodatkowe recepty na relanium czy inne lekarstwo.

– Proszę się trzymać i nie przejmować tym, co pani mama mówi. Przy tej chorobie tak bywa. Nie wolno się dać sprowokować, bo potem się żałuje awantur z chorym – mówi niemal szeptem lekarka, żegnając się ze mną i z siostrą.

Gdy na moment zostajemy z Agatą same w pokoju, zakrywam twarz dłońmi i pozwalam sobie na jęk:

– Nie wiem, jak to wszystko wytrzymać.

Chce mi się płakać. Bardzo mi żal matki, ale widać, że przepełnia ją złość – zwykła zawiść – na tych, którzy są zdrowi.

– Powiedziała mi dzisiaj, że byłaś bardzo niezadowolona, bo kiepskie prezenty twoim dzieciom przywiozłam... – mówi Agata.

– Mnie powiedziała, że mnie obgadałaś. Nie chcesz u mnie nocować, bo mam bardzo marną pościel...

Siostra kiwa głową.

– Najgorsze, że nie wiadomo, jak długo to jeszcze potrwa – dodaje, zapalając papierosa.

Nagle do pokoju wchodzi matka. Patrzy na nas badawczym wzrokiem.

– Idźcie już dzieci, idźcie. Musicie jakiś obiad zjeść, ja nie miałam jak przygotować... Ja się teraz położę, jak się obudzę, to zadzwonię. Tak mi was żal, musicie siedzieć tu z chorą gderliwą osobą. Wiem, że jestem uciążliwa, ale tak bardzo źle się czuję. – Szłocha rozdzierająco.

Przysiada na brzegu wersalki, kuli się i płacząc, kołysze się jak w transie.

Czuję ukłucie w sercu. To wszystko jest nie do wytrzymania.

Warszawa, czerwiec 2016 roku

Matka zawsze powtarzała, że nigdy nie wpuściłaby żadnego Ukraińca pod swój dach. Myślałam o niej, patrząc na transmitowane na żywo w telewizji sceny z kijowskiego Majdanu jesienią 2014 roku.

„Ech, do Europy im się zachciało należeć, Putin nie daje pieniędzy, chcieliby, żeby Unia sypnęła groszem”.

Niemal widziałam skrzywioną twarz matki, kiedy wypowiada podobny komentarz. Ginący w Doniecku młodzi Ukraińcy nie wzruszyliby jej serca.

„Teraz oczekują pomocy, ale po tym, jak nas na Wołyniu mordowali, nie padło nawet słowo «przepraszam»!”.

„Ale mamó, przecież byli też dobrzy Ukraińcy, nie każdy był banderowcem. Sama mówiłaś, że wielu pomogło wam przetrwać”.

Tak sobie dyskutuję z matką w myślach. Ona zaciąga się papierosem, przewraca oczami, zaciska wargi w grymasie oznaczającym sceptycyzm.

„Tak, byli i tacy. Tak jak z Niemcami, niektórzy też dla Polaków byli dobrzy w czasie wojny. Twój ojciec zapamiętał przecież dobrego niemieckiego żołnierza, który przynosił mu cukierki i pomógł babce, kiedy ją przyłapano na szmuglowaniu wędlin do Warszawy. Dzięki niemu jej nie zastrzelili. Ale ilu takich było? Fakt, że niektórzy Ukraińcy wstydzili się za swoje dzieci, za swoich sąsiadów i nie chcieli zabijać. Jednak to ich nie rozgrzesza. Jako naród chcieli nas wytępić i zawsze, nawet teraz, każdy Ukrainiec ma zakodowaną w genach nienawiść do Polaka!”.

Matka była niereformowalna i nigdy nie dałaby się przekonać, że przyjaźń między naszymi narodami jest możliwa. Nie po tym, co się stało, nie w sytuacji, kiedy do tej pory nie przeprosili za ludobójstwo.

Czy nie jest tak, że do dzisiaj my, Polacy, uważamy Ukraińców za naród gorszy od naszego?

Kibicuję Ukraińcom i popieram ich europejskie aspiracje, ale czuję niedosyt prawdy. Kiedyś, w czasach komunizmu, w ogóle się nie mówiło o rzezi wołyńskiej, w wolnej Polsce przywrócono pamięć o tamtych wydarzeniach, a jednak do tej pory obecne relacje

polsko-ukraińskie były ważniejsze niż publiczne nazwanie rzeczy po imieniu.

Rozmawiam o tych kwestiach z moją serdeczną przyjaciółką, prawdziwą kosmopolitką, osobą niezwykle odczytaną i mądrą. Siedzimy w ogródku ulubionej kawiarni przy Francuskiej i pijemy doskonałą kawę. Opowiadam jej o zrodzonym spontanicznie pomysle opisania historii rodziny matki i wydarzeń na Wołyniu, z których cudem uszli z życiem. K. zaskakuje mnie swoim komentarzem.

– Po co grzebać w przeszłości? Po co teraz to robić? Oni nas mordowali, my ich, może tylko w ramach odwetu, ale jednak, Turcy mordowali Ormian, Niemcy Żydów, a co się działo w byłej Jugosławii... Minęło tyle lat od tamtych wydarzeń na Wołyniu. Po co jątrzyć rany? Jaki to ma sens? Marzę o tym, aby w końcu ludzie odcięli się od przeszłości i zaczęli żyć przyszłością. Boję się tego filmu Smarzowskiego, który ma wejść do kin jesienią.

Jej słowa sprawiają mi przykrość.

– Zrozum, przecież my tam na Wołyniu byliśmy najeźdźcami! – zauważa K.

Nie chcę zemsty ani odwetu, nie chcę, aby relacje z Ukrainą się popsuły. Czuję po prostu, że historia upomni się o prawdę bez względu na to, kiedy doszło do ludobójstwa.

– Ale o tym trzeba mówić, nie możemy zapomnieć o haniebnie wyrzynanych ludziach, niewinnych dzieciach, kobietach, mężczyznach. Nie można zapomnieć o formalnie podjętej decyzji dowództwa UPA o eksterminacji polskiego narodu. I to się działo siedemdziesiąt trzy lata temu, nie dwieście!

– Chcesz pisać o Wołyniu, ale tak naprawdę ciągle czujesz potrzebę pisania o swojej matce? – pyta K.

– Tak, masz rację. Tak naprawdę piszę o matce... Nie byłaby tym, kim była, gdyby nie trauma Wołynia. A gdyby nie jej skrzywiona psychika, ja byłabym inna, a także moja siostra, jej córka i moja córka... – mówię.

Kiedyś psycholog powiedział wprost, że jestem typem, którego nic i nigdy w pełni nie zadowoli, i widzę, że moja córka może być taka sama.

Ostatnio uświadomiłam sobie z bólem, iż głęboko tkwiący we mnie lęk przed życiem i tym, co może ono przynieść, chyba przekazałam własnemu dziecku. Nie wiem, czy to jest coś zakodowanego w genach, czy też nieumiejętność radzenia sobie z samą sobą...

– To jest tylko kwestia tego, jakie mamy oczekiwania wobec życia; jeśli niezbyt wygórowane i w miarę konkretne, ich realizacja daje satysfakcję. Musisz pokazać to córce. Napisz książkę o tym, że nosisz w sobie to ciągle niespełnienie, ale nauczyłaś się je tłumaczyć i znalazłaś w życiu coś, co daje zadowolenie.

– Dziękuję. Masz rację...

Warszawa, 3-4 grudnia 2006 roku

Byłaby raczej zadowolona z tego, jak wyglądał jej koniec.

Najbardziej się bała tego, że tak jak przepowiadali lekarze, któregoś dnia po prostu się udusi. Chorzy na raka płuc kończą często na podłodze szpitalnej łazienki w kałuży wylewającej się z ust krwi. Na szczęście jej to nie spotkało.

W niedzielę trzeciego grudnia od rana źle się czuła. Dzień był pochmurny i nieprzyjemny. Siedziałam w domu z dziećmi, zdaje się, że mój dwuletni synek był przeziębiony. Telefonowałam do matki i chciałam pójść ją odwiedzić, ale niespodziewanie pojawiła się u niej moja siostra, więc nie było sensu tam iść. Ugotowałam obiad, nie pamiętam, co to takiego było. Pamiętam, że rozmawiałam też z lekarzem onkologiem, panią M.; zaledwie dwa dni wcześniej wręczałam jej na korytarzu szpitala prezent w postaci perfum, których sama sobie zażyczyła.

– Proszę zrozumieć, pani Znojek jest w takim stanie, że niewiele jej mogę pomóc, naświetlania znacznie zmniejszyły guz, ale zapewne efekty uboczne wpłynęły na ogólne samopoczucie. Pani matka może w każdej chwili umrzeć, zdaje sobie pani z tego sprawę? – powiedziała, gdy udało mi się w końcu do niej dodzwonić.

Po południu zatelefonowała moja siostra. Okazało się, że jest już w drodze powrotnej do domu. Matka była tego dnia nie do wytrzymania. Zachowywała się tak, jakby nienawidziła wszystkich tylko dlatego, że nie cierpią tak bardzo jak ona. Była nieprzyjemna, okrutna, złośliwa.

Gdy matka zasnęła, siostra musiała już wyjść, aby zdążyć na pociąg. Wieczorem miała przyjść zamówiona na noc opiekunka.

Kiedy matka się obudziła, zadzwoniła do mnie. Była bardzo zdenerwowana po burzliwej wizycie Agaty i źle się czuła. Udało mi się ją namówić, aby mój mąż podwiózł ją do najbliższego szpitala, gdzie zrobiono by jej EKG. Czuła pieczenie w klatce piersiowej i obawiała się zawału.

Gdy mąż przyjechał do mieszkania przy Złotej Wilgi, długo dzwonił i pukał, ale bez skutku. Pchnął drzwi – nie były na szczęście zamknięte – i wszedł do przedsionka, który prowadził do dużego

przedpokoju. Tam znalazł matkę. Leżała na podłodze, nie mając siły wstać. Kiedy się obudziła sama w domu, zatelefonowała do mnie, a potem chciała iść do łazienki i zasłać.

Pojechali do szpitala przy Szaserów, gdzie wykonano badania. Wyniki zdawały się nie wskazywać na nic niepokojącego, ale ponieważ matka źle się czuła, zaproponowano jej pozostanie w szpitalu. Brak było wolnych miejsc, pozostawało tylko łóżko na korytarzu.

– Błagam, zabierz mnie stąd – prosiła przerażonym głosem mojego męża.

Za nic nie chciała tam zostać. Być może już czuła, że to jej ostatnie chwile, i chciała umrzeć we własnym domu.

Mój mąż odwiózł ją do mieszkania przy Złotej Wilgi, poczekał na przybycie opiekunki, po czym wrócił do domu. W tym czasie nasz synek dostał gorączki, z trudem zbiłam mu temperaturę i położyłam spać. Zasnęłam tuż po nim.

W nocy, około trzeciej nad ranem, zbudził mnie dzwonek komórki. Telefonowała opiekunka, powiedziała, że matka się nie rusza i nie można jej obudzić, a powinna zaraz zażyć lekarstwo. Powiedziała też, że matka do późna w nocy nie mogła zasnąć, źle się czuła i przez kilka godzin opowiadała historię całego życia – była to swego rodzaju spowiedź. Matka prosiła ponadto opiekunkę o przekazanie rodzinie, aby pochowano ją w szarej garsonce i perłach, czyli stroju, który nosiła na moim weselu.

– Pani mama opowiedziała mi o różnych sprawach. Skarżyła się na wiele osób, ale akurat do pani nie miała żalu ani pretensji – powiedziała opiekunka.

Mój mąż postanowił czym prędzej pojechać do mieszkania przy Złotej Wilgi. Oboje podejrzewaliśmy, co właśnie się stało, ale żadne z nas nie powiedziało tego na głos.

– Zostań, jak się obudzi mały, nie zaśnie bez ciebie, będzie strasznie płakał, a ja go nie uspokoję – powiedział mąż.

Byłam i jestem do tej pory ogromnie mu wdzięczna za to, że tamtej nocy mnie wyręczył i oszczędził potwornych przeżyć.

Po kilkunastu minutach od wyjścia z domu zadzwonił i potwierdził to, o czym w głębi serca już wiedziałam. Mama umarła.

Najbardziej bałam się w tamtej chwili reakcji mojej pięcioletniej wówczas córki, która w ostatnim okresie była bardzo związana z babcią. Matka okazywała jej tyle czułości, cierpliwości i serca, że niekiedy, patrząc, jak bawi się z Marianką, czułam ukłucie zazdrości. Ja nie pamiętałam, aby poza chwilami, gdy byłam chora, matka okazywała mi choć odrobinę takiej czułości, jaką potrafiła obdarzyć wnuczkę.

Kiedy Marianka miała półtora roku, podjęłam pracę i do czasu, kiedy zaszłam w kolejną ciążę, czyli przez piętnaście miesięcy, ojciec z matką odpłatnie opiekowali się moją córeczką. Dziadkowie z wnuczką byli sobie bardzo bliscy. Dziecko mocno przeżyło odejście dziadka, a teraz czekał je kolejny cios. Bałam się więc przekazać smutną informację, chociaż Mania oczywiście wiedziała, że babcia jest bardzo chora.

Rankiem w poniedziałek czwartego grudnia powiedziałam jej prawdę. Ku mojemu zaskoczeniu Marianka przyjęła smutną wiadomość bez specjalnych emocji.

– Wiem – przyznała. – Babcia przyszła do mnie w nocy i powiedziała, żebym się nie martwiła, ale ona już musi iść do nieba. Mówiła, że będzie zawsze obok mnie i na pewno kiedyś się spotkamy.

Griante di Cadenabbia, 20 lipca 2016 roku

Gdyby żyła, właśnie dzisiaj skończyłaby siedemdziesiąt dziewięć lat. Właściwie jej urodziny przypadały podobno dziesiątego lipca 1937 roku, ale dziadek pomylił się, podając dane do aktu urodzenia córki, i w dokumencie błędnie wpisano datę o dziesięć dni późniejszą.

Patrząc na toń otoczonego górami jeziora, które zapewne bardzo by się matce podobało, myślę o tym, że głównym czynnikiem, który ukształtował jej dorosłe życie, były nie tylko przeżycia na Wołyniu. Matka była typowym wytworem tradycyjnej patriarchalnej kultury, w której rola kobiety sprowadza się do obowiązków matki i żony.

Zapewne tak właśnie wychowana była babka. Zdeterminowany przez macierzyństwo los kobiet czynił z każdej z nich męczennicę. Rolę tę odgrywały z poczuciem krzywdy, przez całe życie rozpamiętując swe niespełnione marzenia. Babka nie śmiała się przeciwstawić się woli rodziców, wyszła za mąż za dużo starszego mężczyznę, świadomie rezygnując z szansy na miłość. Konstancji Błońskiej nigdy nawet nie przyszłoby do głowy, aby odrzucić życiową rolę matki Polki męczennicy. Tak też wychowała córkę, w przekonaniu, że nie ma nic ważniejszego niż wykonywanie narzuconych kobiecie obowiązków wobec męża i dzieci. Stąd głęboko zakorzenione przeświadczenie, że jej los jest z góry przesądzony i w pewnym sensie przegrany.

Tradycyjne role społeczne matka wpajała także swoim córkom, zaszczepiając we mnie i w siostrze przeświadczenie, że naszym podstawowym obowiązkiem na tym świecie jest poświęcenie dla rodziny, w tym dbanie o dom, przygotowywanie posiłków, pranie i sprzątanie. Pamiętam, jak często narzekała na swój los, na to, że chciała skończyć studia prawnicze. Miała nawet propozycję z zakładu pracy, aby podjąć naukę na studiach wieczorowych. Jednak odmówiła, bo kariera i szkoła oficerska ojca były ważniejsze od jej ambicji.

– Mogłabym być niezłym prawnikiem, gdybym tylko miała skończone te studia! Ach, wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej. Nie byłabym teraz takim popychłem i traktowaną jak wariatka starą babą. W związku ten rozdaje karty, kto zarabia pieniądze. Zapamiętaj na zawsze moje słowa! Kobieta musi mieć własne pieniądze, inaczej nigdy

nie zazna szacunku mężczyzny! Ja popełniłam wielki błąd i dopiero teraz go zrozumiałam. Nie wolno rezygnować z pracy zawodowej, nie wolno być całkowicie zależną finansowo od chłopa!

Te słowa matka powtarzała mi do znudzenia. W końcu jej życie stanowiło przykład tego, jak bardzo można się czuć nieszczęśliwą, gdy ogranicza się swoją aktywność wyłącznie do roli żony i matki.

I to mnie pierwszej w rodzinie udało się przerwać ten łańcuch niespełnionych losów kobiet, przez całe życie głęboko nieszczęśliwych i rozdartych pomiędzy własnymi pragnieniami a potrzebami innych. Ja pierwsza w rodzinie mam odwagę powiedzieć, że moje ambicje są ważne. Mam trójkę dzieci, staram się je wychować na ludzi kulturalnych, wrażliwych, dobrych i szanujących innych. Ale będąc żoną i matką, stałam się pisarką i wierzę, że spełniając wszelkie potrzeby rodziny, mogę jednocześnie realizować własne cele.

– Pamiętaj, rodzina jest najważniejsza! – upomina mnie ostrym tonem siostra, gdy wspominam o tym, że mam plany dotyczące swojej twórczości i nie zrezygnuję z nich po to, by jako „żona przy mężu” wynieść się z Polski i zamieszkać w obcym kraju.

– Nie zrezygnuję z siebie – odpowiadam.

Prawda jest taka, że nieustannie walczę z tą głęboko we mnie zakorzenioną życiową rolą matki Polki męczennicy. Miotam się między kurą domową i artystką – niekiedy szala przechyla się w jedną, innym razem w drugą stronę. Ale wiem, że muszę zrobić wszystko, aby połączyć te dwa – zdawałoby się – nieprzystające do siebie światy. Mogę mieć wszystko: rodzinę i sztukę!

Dzisiaj w nocy śnili mi się matka, ojciec i siostra. Matka była niezadowolona, że piszę o niej książkę i poruszam w taki właśnie sposób temat Wołynia. Potwornie się kłóciłam w tym śnie z moją siostrą. Książka stała się pretekstem, by uruchomić cały arsenał od lat tłumionych zastrzeżeń i wyrzutów, które wykrzykiwałyśmy sobie zajadle i z bolesną złośliwością. Agata żądała, abym porzuciła swój projekt i nigdy więcej nie pisała o rodzinie, o Wołyniu ani o prawdziwym życiu osobistym.

Po przebudzeniu czułam się emocjonalnie wypalona. Było mi bardzo źle.

W trakcie popołudniowego wypadu do upalnego Mediolanu modłę się za spokój duszy matki w ozdobionym cudownymi freskami kościele San Maurizio przy Corso Magenta, który powstał w XVI wieku jako klasztor żeński. Spoglądają na mnie przepelnione łagodnością oblicza świętych kobiet i Marii Panny. Szepczę nieodmawianą od dawna modlitwę *Zdrowaś Mario*.

Wiem, że jeśli matka teraz na mnie patrzy, wcale nie jest zadowolona. „Ma trójkę dzieci, zajęłaby się porządnie rodziną, ale nie, wymyśla jakieś książki, które i tak mało kto czyta” – słyszę w głowie jej głos. Ta nuta dezaprobaty zawsze przeważa w jej komentarzach. Słyszę je niemal codziennie, jakby matka ciągle była gdzieś blisko i z tej drugiej strony krytykowała mnie i moje życie.

A może się mylę? Nie bardzo wierzę w inny wariant, ale może powiedziałyby z dumą: „Wiedziałam, że będziesz kimś... Opowiadałam ci, że kiedyś taka pani zaczepiła mnie na ulicy, kiedy szłam z tobą za rękę. Miałaś sześć czy siedem lat. To było już tutaj, w Warszawie. Zatrzymała nas i powiedziała: «Ta dziewczynka będzie kiedyś kimś wielkim, zobaczy pani». I poszła sobie. Miała rację!”

W tym roku w grudniu mija dziesięć lat od jej śmierci. Kiedy pytam różne osoby, jaka myśl nasuwa im się pierwsza, gdy mowa o mojej matce, większość wspomina jej przesadzoną, nieco śmieszną gościnność i to, w jaki sposób karmiła innych ludzi.

Ileokroć ktoś pojawiał się w domu, matka stawiała na wysokości zadania. W czasach, gdy mało kto miał telefon, często zjawiali się u nas bez wcześniejszej zapowiedzi rozmaici członkowie rozsianej po Polsce rodziny, przyjeżdżali załatwiać różne sprawy w stolicy i potrzebowali noclegu. Zawsze – nawet w okresie, gdy żywność kupowało się na kartki – w naszym domu zamrażarka wypełniona była po brzegi mięsem. W sytuacji alarmowej na hasło „gość” w matce uaktywniały się niespożyte pokłady energii. Kursowała między kuchnią a dużym pokojem, gdzie sadzała gości w masywnych fotelach obitych ohydną tkaniną w kwiaty i serwowała im herbatę, zupę i ciepłe dania, donosiła widelczyki, serwetki, dawała, zabierała, nieustannie uśmiechnięta, schylona wpół niczym stara służąca, wręcz podbiegała do stołu.

– Halinka, usiądź z nami, zjedz coś, porozmawiaj z nami chwilę –

prosil goście, a ona odpowiadała:

– Tak, tak, zaraz, tylko przyniosę jeszcze... – I znowu biegła do kuchni.

Tam, w swoim królestwie, zapalała papierosa i skarżyła się z kwaśną miną jedynej osobie, której mogła opowiedzieć o swoich prawdziwych odczuciach, czyli mnie:

– Boże, ile oni żrą! Jakie ilości! Zjedli wszystko! A Stefan dwa kotlety wrębał!

– Sama pytałaś, czy chce dokładkę...

– Tak z uprzejmości pytałam przecież! Ja to z domu wyniosłam. U nas się mówiło „gość w dom, Bóg w dom”! – odpowiadała z dumą. Gasła papierosa i znowu biegła do salonu, sprzątnąć talerze, a potem z wściekłą miną je zmywać. Bo przecież nigdy się nie zgadzała, aby ktoś pomógł jej przy sprzątaniu. Wszystko musiała zrobić sama, a potem przez wiele dni wspominać ostatnią wizytę: „Ależ mnie umęczyli!”.

Nawyk karmienia był silniejszy niż zdrowy rozsądek. Porcje, jakie nakładała na talerze, ważyły tyle co trzy normalne posiłki. Ludzie po zjedzeniu ciężkich dań wychodzili z naszego domu z bolącymi brzuchami, objedzeni jak bąki. Matka była tak natarczywa, że każdy zjadał wszystko, na co go namawiała, aby tylko się od niego odczepiła.

Wystarczało, aby do mnie przyszła koleżanka albo kolega (zwłaszcza w tym drugim przypadku bywało to bardzo krępujące), a matka – nieważne, jaka była akurat pora dnia – proponowała talerz zupy (zawiesistej zalewajki z oczkami tłuszczu i skwarkami), bigos (kapusta stanowiła w nim element śladowy, tak wiele było tam mięsa i wędlin) albo kawałek pieczeni rzymskiej (z gotowanym jajkiem ukrytym w tłustej masie mielonego mięsa) i nie zważając na nieśmiałe protesty gościa, przynosiła do mojego pokoju talerz z gorącym jedzeniem.

– Nie, nie, już jadłem, dziękuję – bronił się mój kolega.

– Mamo! Przestań!!! Daj spokój! – pokrzykiwałam.

– No tylko troszeczkę, niedużo, tak dla spróbowania – zachęcała matka z przymilnym uśmiechem, zarezerwowanym tylko dla obcych. Naprawdę jej zależało.

– Nie, nie, nie dam rady, innym razem... – Wreszcie opór gościa

słabł.

– Ale to świeża pieczeń, dopiero wyłączyłam prodiż. – Matka nadal wpatrywała się w gościa z błagalnym spojrzeniem i nie odpuszczała. Nigdy nie nauczyła się poprawnie wymawiać pewnych słów, w tym wyrazu „prodiż” albo „maligna”, która w jej ustach była „magliną”.

– Mamo, daj już spokój! On nie chce jeść! – krzyczałam, ale nie mijało dziesięć minut, a matka i tak pojawiała się z talerzem i z miną uległej służącej mówiła:

– Jeśli nie będzie smakowało, to proszę zostawić.

Nieszczęsny gość patrzył skonsternowany to na mnie, to na matkę i zapewne marzył tylko o tym, aby uciec z tego dziwnego domu.

Obsesja karmienia obejmowała, rzecz jasna, wnuki – dzieci mojej siostry i moje. Kiedy urodziła się moja córka i rodzice przez większą część dnia opiekowali się półtoraroczną dziewczynką, matka wzniosła się na wyżyny nieustępliwości oraz pomysłowości w kwestiach karmienia niejadka. Kiedy nie skutkowały żadne sposoby i mała za nic nie chciała jeść, matka sięgała po swoją broń ostateczną – wkładała kawałeczki parówki albo kostki szynki w miejsca po czekoladkach w kalendarzu adwentowym i zabawiając dziecko otwieraniem kolorowych okienek, potrafiła wcisnąć mu każdą porcję jedzenia.

Zupełnie nie dostrzegą, że postępuje dokładnie tak samo jak babcia Konstancja. Wielokrotnie słyszałam opowieść matki o tym, jak mieszkając w Olsztynie, nie mogła zostawić dziecka pod opieką swoich rodziców, aby wyjść do kina czy na imieniny. Ilekroć bowiem córka była tylko z nimi, po kilku godzinach spędzonych u dziadków mała była przekarmiona jak indor, całą noc skarżyła się na ból brzucha i wymiotowała. „Mówiłam matce, żeby tak jej nie karmiła, ona kiwała głową, obiecywała, a potem za każdym razem było tak samo!”.

Dziwne, że matka nie zauważała tego podobieństwa...

Dzisiaj myślę, że ta obsesja karmienia wszystkich wokół, przy jednoczesnym głodzeniu się, była kolejnym sposobem zwrócenia na siebie uwagi i podkreślenia swoich cierpień. Oto ja, wychudzona, żyjąca latami dzięki klopsikom z cielęciny i bułkom z masłem (taką dietę stosowała przez kilka lat w związku z dolegliwościami wynikającymi ze

zweżenia odźwiernika), a oto wy, przejedzeni, grubi, folgujący swoim przyjemnościom.

Nawet takimi sposobami zapewniała sobie – być może nieświadomie – triumf, który karmił się poczuciem winy innych.

* * *

Czego się boję? Świat zwariował, dzień w dzień pojawiają się doniesienia o kolejnych atakach terrorystycznych. Wszyscy się zastanawiają, do czego to wszystko zmierza. Kolejna wojna właściwie już trwa. Ale mój strach ma charakter abstrakcyjny. Ten lęk pojawia się niespodziewanie, jest jak oślizgły wąż, który zaczyna mnie oplatać swoim niewidzialnym ciałem, wieszcząc nadejście czegoś złego.

A przecież wszystko dookoła napawa spokojem. Sączę chłodne *vino rossato* na tarasie Villa Nicolo w ciepły wieczór. Od kilkadziesiąt minut trwam tak, patrząc na wodę jeziora Como – mogę to robić godzinami, jak matka. Na tle błękitno-zielonych zarysów gór pastelowe, piętujące się domy i wille wyglądają jak pocztówka z miejsca, do którego zawsze chciałam pojechać. I oto jestem. Zapach bujnej roślinności po upalnym dniu jest oszałamiający. Mimo to nadchodzi fala lęku.

Zza wierzchołków gór niespodziewanie wychyla się zarys miodowej tarczy. Po kilku minutach na różowo-szary nieboskłon w całej krasie wysuwa się wielki księżyc w pełni. Jego odbicie na tafli jeziora tworzy szeroką plamę migotliwego złota, zupełnie jakby nad wodą zachodziło właśnie słońce. Z którejś z knajp nad brzegiem Como dobiega wesola muzyka. Gładką powierzchnię wody od czasu do czasu przecinają rozświetlone promy kursujące między miasteczkami rozrzuconymi u stóp gór nad brzegami jeziora. Ten uroczy obrazek można kontemplować non stop.

„Nie znoszę, kiedy nic ci nie pasuje. Z niczego nie jesteś zadowolona! Wszystko jest źle i nic ci się nie podoba!” – brzmia mi w uszach wciąż słowa wykrzyczane przez męża w trakcie kłótni, która wybuchła, gdy w południowym upale przemierzaliśmy ulice i place Mediolanu. Ilekroć słyszę coś takiego, dopowiadam sobie zaraz w myślach: „jak twoja matka”, i czuję się tak, jakbym była jedną wielką

porażką.

Każde do niej podobieństwo uznaję za potwierdzenie życiowego niepowodzenia. Nic nie mogę na to poradzić. Był okres w moim życiu, zaraz po śmierci matki, kiedy z przerażeniem wpatrywałam się w lustro. Wydawało mi się, że widzę ją we własnym odbiciu. Bardzo się bałam, że skończę jak ona. Nie realizowałam recept wypisywanych przez terapeutów, obawiając się uzależnienia od leków psychotropowych. Nie znoszę łykać jakichkolwiek tabletek i robię to wyłącznie, kiedy jest to niezbędne. Wiele lat temu rzuciłam papierosy i chociaż czasami o nich śnię, nigdy nie będę już palić.

Fizycznie w ogóle nie jestem i nie będę do niej podobna, z moimi szerokimi biodrami, krągłą czerstwą twarzą o grubej skórze, która ma tę zaletę, że dużo wolniej się starzeje. Widzę to po siostrze, która nie wygląda na swój wiek. Dziadek miał rację, dominują we mnie geny Znojków. Chociaż czasami – jak mawia żartem mój mąż – z kwaśnym wyrazem twarzy i skrzywieniem ust zamieniam się w matkę.

Jeśli chodzi o moją psychikę, jest skomplikowana, jak u wszystkich Błońskich. „Ty to taka uczuciowa jesteś – mawiała czasami matka, patrząc na mnie z mieszaniną podziwu i politowania. – Ciężko ci będzie w życiu” – dodawała.

Zapewne nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że dla osób wrażliwych i naznaczonych traumą szansą na szczęście jest obcowanie ze sztuką. Szkoda, że o tym nie wiedziała.

Epilog

Łuck, 7 sierpnia 2016 roku

Wbrew różnym przeciwnościom w końcu dotarłam na Ukrainę.

Kiedy po dwudniowym pobycie we Lwowie jedziemy z mężem dziurawą szosą na północ kraju, z uwagą patrzę na mijane pola, wypatruję widocznych co jakiś czas cerkwi z ich nienaturalnie błyszczącymi w słońcu baniastymi kopułami, i podekscytowana ciągle pytam:

– Czy to już Wołyń?

Czas wyraźnie się tu zatrzymał – patrzę na rozpadające się drewniane domy, zrujnowane komunistyczne budowle; brak reklam i bannerów, wzdłuż drogi spacerują gęsi, w trawie leżą kozy. Zanedbane, opustoszałe o tej porze dnia miejscowości, przez które przejeżdżamy, sprawiają przygnębiające wrażenie – jest biednie, brudno i szaro, jak u nas w latach osiemdziesiątych. Na poboczach dziurawej szosy co kilka kilometrów koczują grupki ubranych jak na odpust ludzi – czekają na autobus, który zawiezie ich na poranną mszę.

Wreszcie mijamy komunistyczny obelisk z nadszarpniętą zębem czasu tablicą „Volynskaya oblast”. Od stolicy regionu – Łucka – dzieli nas pięćdziesiąt kilometrów.

Jest pełnia lata, słoneczny i ciepły niedzielny dzień. Światło kładzie się na gigantycznych połaciach stepu w kolorze słomy, nad którym po błękitnym niebie beztróska suną chmurki o idealnych kształtach. Mijamy ciągnące się po horyzont puste przestrzenie. Nigdzie żywej duszy, żadnych fabryk, elektrowni, śladów cywilizacji. Z pół dzień czy dwa dni temu musiano zebrać plony. Żniwa właściwie są już skończone. Co chwila wzrok natrafia na kopiaste stogi siana przykryte płachtami materiału, przypominające impresjonistyczne obrazy Moneta.

Zatrzymujemy się w jakiejś wiosce. W ten wolny od pracy czas wszystko wydaje się zastygłe w bezruchu. Ciszę czasami zakłóca głos wydawany przez krowę czy gęś. Wielka pustka. Widać tylko przydrożnych sprzedawców arbuzów i ludzi wychodzących z maleńkich drewnianych cerkwi – z reguły pomalowanych na jaskrawy niebieski kolor. Kobiety w zakietach z jaskrawych materiałów, w obowiązkowych

chustkach na głowie schodzą ze stopni świątyni i patrzą na nas – przybyszów z innego świata – z wyraźnym niepokojem. Mężczyźni, na ogół bardzo biednie ubrani, spoglądają z jawną wrogością. Widzą samochód z polską rejestracją i doskonale wiedzą, po co tu przyjechaliśmy. Jadąc tu, myślałam o tym, żeby zagadnąć spotkanych mieszkańców o kolonię Marusia. Odczytując tak jawną niechęć na tych twarzach, nie mam odwagi o nic zapytać.

Przyroda zachwyca swoim pięknem, ale wszystko, co stworzył tutaj człowiek, wyraźnie szwankuje. Widać od razu, jak biedne są te tereny, zacofane i zaniedbane bardziej jeszcze niż te, które widzieliśmy wokół Lwowa.

Ten kraj sprawia wrażenie, jakby chylił się ku upadkowi. Panuje tu wielka bieda, o czym świadczą zaniedbane, w większości drewniane chałupy, skorodowane trzydziestoletnie samochody marki Łada, wyglądające jak eksponaty ze skansenu drewniane wozy, rozpadające się drewniane płoty, wszechobecny bałagan i stosy nieużywanych zepsutych sprzętów walających się na podwórkach. Tylko kwitnące wiejskie kwiatki – głównie malwy – łagodzą nieco wrażenie rozkładu, podobnie jak stada kacząt przecinające szutrową drogę, na której podskakuje samochód.

Stare, rozpadające się domy przeważnie pomalowane są na jaskrawe kolory – okiennice najczęściej są żółte, ściany niebieskie lub ciemnozielone, a pas odpowiadający poziomowi podmurówki brązowy. Na zabałaganionych podwórkach zalegają sterty siana i bele słomy, obok przechadzają się kury i gęsi. Rzadko który dom otoczony jest płotem, z reguły ogrodzenie stanowią drewniane, prowizoryczne konstrukcje.

Gdyby z tej scenerii usunąć stare słupy energetyczne, okolica wyglądałaby jak wiejski pejzaż z XIX wieku.

Mijamy wioski, których nazwy wyryły mi się w pamięci, gdy studiowałam historię rzezi wołyńskiej. Wszędzie tutaj mordowano Polaków. Wielu z tych, którzy w czterdziestym trzecim dokonywali czystek etnicznych, nadal tu żyje. Staję na ziemi, która spłynęła krwią, i niemal słyszę wycie bestialsko zarzynanych ofiar.

Docieramy do miejscowości Czaruków, ówczesnej siedziby gminy, do której należała kolonia Marusia. Proszę męża, aby na moment

zatrzymał samochód. Wsiadam, stawiam stopy na poboczu kiepskiej, pooranej dziurami szosy. Po lewej stronie ohydny pawilon z napisem „Magazin”, nieuporządkowane pobocze, obok otoczona płotem cerkiew z malutkim, drewnianym niebieskim domkiem.

Jedziemy do wsi Czarny Las – kilku otoczonych kępą drzew i krzewów ubogich gospodarstw, potem dalej drogą wiodącą przez złote, falujące pola do wioski Skurcze. Pomalowany na niebiesko drewniany krzyż, do którego przywiązano różnobarwne wstążki, jest jedynym akcentem kolorystycznym na tle złocistych połaci pól. W miejscu, gdzie od głównej drogi odchodzi wiodąca przez równinę dróżka, wyraźnie odcinająca się od prostokątów uprawnej ziemi kępa drzew skrywa pozostałości starego polskiego cmentarza.

Gdzieś pomiędzy wsiami Czarny Las, Skurcze a Mychlin znajdowała się kolonia Marusia. Być może dom dziadków stał w miejscu jednej z drewnianych chat, które widzę przed sobą? A może tam, w pobliżu niewielkiego zagajnika?

Z każdą kolejną godziną spędzoną na tej ziemi jestem bardziej poruszona, jakbym zbliżała się do odkrycia jakiejś rodzinnej tajemnicy. Krążymy po wiejskich drogach, między polami. Sięgam do notatnika i czytam wiersz Czechowicza.

Na wsi²

Siano pachnie snem

siano pachniało w dawnych snach

po południu dzwoni w rzekę z rozbłyskanych blach

życie – pola – złotolite

Wieczorem przez niebo pomost

wieczór i nieszpór

mleczne krowy wracają do domostw

*przeżuwać nad korytem pełnym zmierzchu
nocami spod ramion krzyżów na rozdrogach
sypie się gwiazd błękitne próchno
chmurki siedzą przed progiem w murawie
to kule białego puchu
dmuchawiec
Księżyc idzie srebrne chusty prać
świerszczyki świergocą w stogach
czegoż się bać
Przecież siano pachnie snem
a ukryta w nim melodia kantyczki
tuli do mnie dziecięce policzki
chroni przed złem*

Sporej wielkości wieś Skurcze jest dla mnie szczególnie ważna z uwagi na polski kościół z XVII wieku, w którym ochrzczeni byli moja matka i jej starszy brat. To tutaj Błońscy przyjeżdżali na msze, na miejscowym cmentarzu leżeli członkowie ich rodziny.

Jedziemy wyboistą szutrową drogą, po której obu stronach stoją nędzne chałupy. Przy większości z nich zauważam ziemianki z wystającą ponad powierzchnię ziemi drewnianą piwnicą o spadzistym daszku. Na ten widok ogarnia mnie uczucie trwogi – w takich

drewnianych piwniczkach ludzie byli paleni żywcem.

Po prawej stronie drogi mijamy jednopoziomowy biały budynek szkoły – sprawia wrażenie starego. Zakładam, że to właśnie jest miejsce, gdzie przed wojną uczył się brat mojej matki i inne dzieci z kolonii Marusia, a potem, owego krwawego lata na Wołyniu, mordowano tam polskich mieszkańców wsi Skurcze.

Wypatruję miejsca, w którym stał kiedyś katolicki kościół, ale nie mogę go zlokalizować. Dojeżdżamy do stawu, ale nie widzimy drogi wiodącej do błyszczącej w oddali niebieskiej cerkwi.

Jest niezwykle cicho i błogo. Aż trudno uwierzyć, że ta ziemia spłynęła krwią tysięcy pomordowanych ludzi.

Wsiadamy do samochodu i zawracamy drogą, którą tu przybyliśmy. Po przejechaniu kilkunastu metrów pod groźnym spojrzeniem jakiegoś mężczyzny, który wprowadza na podwórze wóz z sianem, na niewielkim wzniesieniu zauważam katolickie krzyże.

Mąż zatrzymuje auto na poboczu. Przez porośnięte chwastami zbocze wchodzimy na wzniesienie, z którego roztacza się widok na malowniczy staw i pasma pól. Widzimy pozostałości cmentarza: fragmenty porośnięte mchem kamiennych krzyży, leżące na ziemi części nagrobnych płyt. Z trudem odczytujemy inskrypcje wyryte na polskich XIX-wiecznych grobach. „Władziu Topolnicki” – czytam na jednym z uszkodzonych nagrobków.

Na skromnym żelaznym krzyżu stojącym na lekkim wzniesieniu pośród zmurszałych rzędów cegieł – jedyne śladu po spalonym budynku starego kościoła – wisi tablica, na niej napis: „Pamięci Polaków mieszkańców parafii Najświętszej Marii Panny w miejscu kościoła i cmentarza w Skurczu na wieczną pamięć rodacy”. Napis ten powtórzony jest niżej cyrylicą. Pod krzyżem bukiet białych sztucznych kwiatów i wypalony znicz. Ktoś pamięta o tym miejscu...

Stojąc tam, czuję się tak, jakbym niespodziewanie odzyskała coś cennego. To tutaj chrzczono moją matkę, tutaj dziadek i babka przyjeżdżali na niedzielne msze. W tym właśnie miejscu mam wrażenie, jakbym nawiązała z nimi jakąś więź, której nigdy w prawdziwym życiu nie miałam okazji doświadczyć. Mam na ręku srebrną bransoletkę, która należała do mojej matki. W ten tylko sposób jakaś jej część na moment

wróciła do miejsca, w którym przyszła na świat.

Wzrusza mnie ten tchnący spokojem zdewastowany cmentarz. Skąpana w słońcu sceneria otaczającej go przyrody oszałamia skromnym pięknem. Z łatwością wyobrażam sobie tę krainę taką, jaką widział ją poeta – idylliczny Wołyń sprzed wojny. Te „chaty pachnące stepem”, „złote kołacze”, „perłowy step nieba”, o których pisał Józef Czechowicz – to wszystko tu jest, czar przyrody i falujących pól. Czuję te „gałęzie pachnące szczęściem”, to „senne pożycie”. Widzę idylliczną krainę, którą na wieczność skaziły krwawe żniwa i krzywda pomordowanych.

– Pięknie tutaj – wzdycham, nie mogąc nasycić wzroku widokiem smukłych wierzb nad brzegiem malowniczego stawu. W jego spokojnej wodzie odbijają się chmury.

– Tak, dopóki nie przyjdzie sąsiad z siekierą... – rzuca mój mąż.

Wsiadamy do samochodu i ruszamy, żegnani nieprzyjaznym spojrzeniem starszego mężczyzny, który wyszedł na ganek swojej drewnianej chałupy i patrzy na nas jak na intruzów.

Na ławce przed jednym z pstrokato pomalowanych domów siedzi stara kobieta w zawiązanej pod brodą chuście. Patrzy na drogę, obok niej kilkunastoletnia dziewczyna rysuje coś patykiem na ziemi. Tak właśnie mogłaby wyglądać teraz moja matka, gdyby nigdy nie opuściła Wołynia i dożyła obecnych czasów.

Kiedy przechodzimy obok, babcia patrzy na nas hardo. Myślę, że ta Ukrainka musiała żyć tutaj w czasie wojny, być może jest córką oprawców, którzy brali udział w napadach na polskie wsie. Jej ojciec zabijał siekierą mężczyzn, wrzucał niemowlęta do studni, a jej matka wraz z innymi kobietami plądrowała domy w poszukiwaniu kosztowności.

Opuszczam te okolice z mieszanymi uczuciami. Już wiem, dlaczego pamięć o wołyńskiej idylli zarówno dziadkowie, jak i matka mieli w swoich sercach przez całe życie i nigdy żadne inne miejsce na ziemi nie mogło zostać ich prawdziwym domem. Czuję też wielki żal z powodu tego wszystkiego, co się tutaj działo, jakąś niezrozumiałą miłość do tej ziemi, a jednocześnie radość, że udało mi się zobaczyć to miejsce, pobyć tu przez chwilę.

Po południu docieramy do Łucka, który wprost poraża brzydotą

komunistycznych budowli. Właśnie dzisiaj trwa tutaj festiwal Bandery – mordercy i jednego z przywódców UPA. Tutaj, w Łucku, podobnie jak we Lwowie, młodzi ludzie manifestują swoją ukraińskość poprzez ludowe gadzety, które kupić można na każdym kroku: wianki z plastikowych kwiatów i koszule stylizowane na chłopskie, z charakterystycznym haftem wokół szyi, bardzo chętnie noszone przez tutejszych mężczyzn.

Przechadzam się szerokim „prospektem” – najokazalszą ulicą miasta – i nie dostrzegam tu żadnych śladów przeszłości. Dzisiejszy Łuck w niczym nie przypomina przedwojennej stolicy regionu.

„Ukraina nie była państwem, o które walczone. Ukraina była produktem geopolitycznych okoliczności i – po prostu wydarzyła się. Tworzono ją i tworzy się nadal, pracując jak na żywym, niepodległym ciele. To nie ukraiński naród stworzył Ukrainę. To bardziej Ukraina tworzy ukraiński naród” – napisał Ziemowit Szczerek w swojej książce *Tatuaż z tryzubem*. Bardzo trafnie napisał.

W trakcie kilkudniowej wyprawy na Ukrainę bardzo źle sypiałam, właściwie męczyłam się każdej nocy, nie mogąc w żaden sposób zasnąć po gwałtownym przebudzeniu około trzeciej nad ranem. Po powrocie do domu zasnęłam jak kamień i spałam przez ponad osiem godzin. W pewnym momencie stanęła przede mną matka. Zakładałam, że stało się to we śnie, chociaż jej głowa jest tak blisko mojej, że wydaje mi się, iż czuję zapach dymu papierosowego, którym przesiąknięte były jej włosy. Ona nic nie mówi, ale wyciąga do mnie ręce. Chce, abym wzięła od niej naręczne ubrań, które trzyma w dłoniach. Budzę się nagle z bijącym sercem. Za oknem wstaje szary świt.

To był pierwszy od niemal dziesięciu lat życzliwy gest ze strony matki. Być może jednak mój wyjazd na Wołyń zyskał jej przychylność. Może w końcu przez krótką chwilę była zadowolona?

Od autorki

Temat Wołynia i historii mojej rodziny ze strony matki – Haliny Znojek, z domu Błońskiej – towarzyszył mi przez całe dzieciństwo. Jeszcze jako młoda dziewczyna, niemająca pojęcia o tym, jak ukształtować swoją przyszłość, wiedziałam że pewnego dnia opiszę to wszystko, te historie opowiadane mi przez matkę w tym szczególnym momencie dnia, kiedy ja byłam już po lekcjach, a ojciec jeszcze nie wrócił z pracy.

W mojej pierwszej opublikowanej powieści *Złudzenia, nerwice i sonaty* (tytuł pierwotnie brzmiał *Perłowy step nieba* i był cytatem z wiersza Józefa Czechowicza o Wołyniu) po raz pierwszy zmierzyłam się z tematyką historyczną i podjęłam próbę opowiedzenia rodzinnej historii. W czasie pisania książki w roku 2008 czytałam wiele relacji świadków tamtych wydarzeń, także prac historycznych o rzezi wołyńskiej. Mimo to temat mi się wymykał.

Z dzisiejszej perspektywy uważam, że w *Złudzeniach...* dotknęłam zaledwie powierzchni zagadnień, jakie naprawdę chciałam poruszyć. Nie byłam też wówczas na tyle odważna, aby pisać o moich prawdziwych przodkach i autentycznej Halinie Znojek – nadałam mojej opowieści formę beletrystyczną, modyfikując niektóre z wydarzeń. Już wówczas chciałam pojechać na Ukrainę, aby odnaleźć miejsce, w którym przeszło osiemdziesiąt lat temu żyli moi dziadkowie i gdzie urodziła się moja mama. Niestety, do podróży tej z różnych przyczyn nie doszło.

Być może potrzebny był czas – czas niezbędny do tego, abym przedstawiła historię Błońskich w sposób intymny i autentyczny na tyle, na ile jest to możliwe. Ta opowieść tkwiła we mnie gotowa od dawna i czekała, abym przelała ją na papier.

Potrzebny był impuls, dzięki któremu poczułam potrzebę, aby właśnie TERAZ wyrzucić z siebie historię utkaną z opowieści mojej mamy, faktów historycznych, moich przemyśleń na temat losu matki, kwestii dotyczących dziedziczenia traumy i własnej wiwisekcji.

Tym impulsem okazał się niezwykle projekt „Miejsca, których nie ma” realizowany przez dziennikarkę i fotografikę Magdalенę i Maksymiliana Rigamontich. Na czarno-białych, przejmujących

zdjęciach zobaczyłam naznaczony piętnem przeszłości współczesny Wołyń, mimo iż w miejscach, gdzie znajdowały się polskie osady, dzisiaj zobaczyć można „tylko” puste pola. Magda opowiedziała mi o tym, jaki ślad pozostawiły w niej wizyty w tych miejscach. Powiedziała mi o dziwnym wrażeniu, jakie miała, stojąc na ziemi, na której mordowani byli Polacy. „Tam czuje się śmierć” – stwierdziła, a ja pomyślałam, że w końcu muszę tam pojechać.

Dzięki projektowi „Miejsca, których nie ma” poczułam, że historia rodziny Błońskich powinna zostać opowiedziana w sposób właśnie taki, w jaki gotowa jestem ją przekazać. Dziękuję Magdzie i Maksymilianowi za twórczy impuls i za to, że dzięki ich pracy Wołyń znowu odżył w mojej pamięci.

Chciałam też podziękować mojemu mężowi Bartłomiejowi, który tak dobrze zna mnie i historię mojej rodziny – ogromnie mi pomógł w okresie choroby i po śmierci mamy. Dziękuję za to, że zgodził się odbyć wyprawę na Ukrainę i zawiózł mnie na Wołyń. Zawsze mnie wspierał w moich twórczych projektach, tak było i tym razem.

Dzisiaj, kiedy wiedza dotycząca ludobójstwa na Wołyniu staje się coraz bardziej powszechna – przyczynia się do tego nie tylko ogromna liczba publikacji książkowych, stanowisko Sejmu RP wyrażone w uchwale z 22 lipca 2016 roku, ale też film Wojciecha Smarzowskiego – wreszcie można powiedzieć, iż robimy właściwy krok ku temu, aby godnie upamiętnić ofiary bestialskich mordów.

Nie rozdrapujmy ran, nie szukajmy zemsty. Po prostu pamiętajmy o naszej wspólnej historii.

¹ Cyt. za: Władysław Filar, *Wołyń 1939–1944. Eksterminacja czy walki polsko-ukraińskie*, Toruń 2003, ss. 375–376. Pisownia oryginalna.

² Wiersz z tomu *Kamień*, Lublin 1927 r.

Redakcja: Ewa Rojewska-Olejarczuk

Korekta: Anna Jagiełło, Magdalena Matuszewska

Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © Comstock/Stockbyte/Getty Images; © ZenShui/Alix Minde/PhotoAlto Agency RF Collections/Getty Images; © Mark Pruitt/E+/Getty Images

Zdjęcie Haliny Znojek pochodzi z archiwum rodzinnego autorki.

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Skład i łamanie: www.pagegraph.pl

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3758-8

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

virtualo

